SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 25 (447) 2021
21–27 czerwca 2021
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

KULISY AFERY

CYBER ATAK NA POLSKI RZĄD

AGRESORZY MIELI UZYSKAĆ DOSTĘP DO 4,5 TYSIĄCA KONT. ICH CELEM JEST ZŁAMANIE ZAUFANIA DO PAŃSTWA I ARMII

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269106 25

11. URODZINY PORTALU

wPolityce.pl

oglądaj w czwartek o 19:00

na W POLSCE PL

Sprawdź, kogo nagrodzimy statuetkami
Biało-Czerwonych Róż portalu wPolityce.pl

PARTNER ZŁOTY

ORLEN

PARTNERZY GŁÓWNI

Bank Pekao

BGK BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

LOTOS

PGNiG

PZU

TOTALIZATOR SPORTOWY | 65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

PARTNERZY

ALIOR BANK

30 lat arp Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

KGHM POLSKA MIEDŹ

PFR Polski Fundusz Rozwoju

oprasa.pl f739b9f5aa

Szczerość Chutnik

Sylwia Chutnik, polska pisarka i feministka, która w zeszłym roku zrobiła coming out, ogłaszając światu, że jest lesbijką, udzieliła wywiadu, który wbił mnie w fotel.

Kiedy czytamy rozmowę z Chutnik, naprawdę możemy powiedzieć, że jest to swego rodzaju odkrywanie prawdy. Chodzi o odkrywanie prawdziwych celów ruchu LGBT w Polsce, które dotychczas, przynajmniej w większości przypadków, były maskowane przez „wyższe cele", takie jak walka z dyskryminacją i tym podobne.

„Kiedy czasem mówi się: »Homoseksualiści przyszli z siekierami na naszą polską rodzinę«, część osób ze środowiska mówi: „Nie, absolutnie, jesteśmy tacy jak wy". Ja mówię inaczej: jesteśmy tu, by podważyć tradycję polskiej rodziny – patriarchalnej, przemocowej, toksycznej, obrzydliwej, w której toczą się potworne rzeczy, bo ktoś chce, by działy się za zamkniętymi drzwiami" – stwierdza Chutnik w rozmowie z Onetem.

Polskę i rodzinę, wyjaśnia pisarka, trzeba „przewietrzyć": „Otworzyć okna na oścież, żeby ten przeciąg wywalił całą toksynę, żeby wreszcie ludzie przestali ściemniać... Po co to całe udawanie? Mówi się czasem, że to państwo jest z tektury, a ja mam wrażenie, że heteroseksualizm jest z tektury".

Chutnik należy podziękować za szczerość i przyznać, że jest na swój sposób uczciwa. Nie ukrywa swoich przekonań za opowieścią o walce z dyskryminacją i wyjaśnia, co ją naprawdę interesuje. To głęboka rewolucja społeczna, której celem jest wyeliminowanie instytucji postrzeganych jako źródło represji.

Wśród tych instytucji znajduje się tradycyjna rodzina z mamą i tatą oraz heteroseksualność. No i oczywiście Kościół („Kościół jako instytucja powinna zostać rozwiązana" – mówi). Chodzi zatem o instytucje, które przytłaczająca większość Polaków wciąż uważa za normalne wzorce i ramy swojego życia.

To właśnie te normalne wzorce w świecie, do którego należy Chutnik, są postrzegane jako coś, co należy zmienić, a najlepiej zniszczyć. Kiedy pisarka krytykuje tych ze „środowiska", którzy próbują mówić pojednawczym tonem, w rzeczywistości mówi, że rację mają ci, którzy myślą, iż „homoseksualiści idą z siekierami na nasze rodziny".

Szczerość Chutnik przypomina innego działacza LGBT, rosyjsko-amerykańską aktywistkę Mashę Gessen i jej słowa, które wypowiedziała podczas panelu zorganizowanego w 2012 r. w Australii (tak, to ta sama Gessen, która opublikowała skandaliczny tekst w „New Yorkerze", w którym ogłosiła, że Polacy są współodpowiedzialni za śmierć 3 mln polskich Żydów): „Walka o małżeństwa homoseksualne wiąże się ze szczególnym kłamstwem. To kłamstwo dotyczące tego, co zrobimy z małżeństwem, gdy skorzystamy z prawa do niego. Kłamstwem jest to, że instytucja małżeństwa się nie zmieni. Ona się musi zmienić. Nie powinna istnieć" – powiedziała szczerze Gessen.

Nie chodzi w tym wszystkim o dyskryminację, o wizyty partnerów w szpitalach, nawet nie o adopcję dzieci (swoją drogą, ciekawie byłoby zobaczyć, ile par homoseksualnych w Polsce naprawdę chce adoptować dzieci, jestem pewien, że to niewielka liczba). Nie.

Chodzi o całkowitą zmianę tradycyjnej rodziny, wielkiego wroga współczesnej lewicy i, według niej, źródła wszelkich niesprawiedliwości społecznych.

Otwartość Chutnik jest więc momentem przełomowym, ponieważ dowiadujemy się o prawdziwych celach dużej części środowisk lewicowych. Nikt nie będzie mógł już mówić, że nie wie, o co w tym wszystkim chodzi.

Goran Andrijanić

Autopromocja

eprasa.pl f739b9f58a

SIECI spis treści

30 *Ostatnia akcja Donalda Tuska* *Jan Rokita*

64 Jak odnieść sukces w rozmowach na szczycie *Marek Budzisz*

71–78 Polacy poza horyzontem *odc. 5*

NA POCZĄTEK

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 BUDKA TUSKA
Krzysztof Feusette

9 TOUR DE OPOZYCJA
Dorota Łosiewicz

10 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

12 SEKS WYZWOLONY OD PIĘTNA PŁCI
Jan Pietrzak

12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU
Dominik Zdort

13 NIENAWISTNICY PRZECIW NIENAWIŚCI
Bronisław Wildstein

14 WALIZKA ALICJI SĘKOWSKIEJ
Michał Korsun

16 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

17 POLSKI ŁAD I ARCHITEKTURA
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 DWA TAJNE RAPORTY W JEDNEJ SPRAWIE
Jerzy Jachowicz

TEMAT TYGODNIA

22 TO JEST ATAK NA POLSKĘ
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

26 Z MARKIEM SOŁONINEM
rozmawia Marek Pyza

30 OSTATNIA AKCJA DONALDA TUSKA
Jan Rokita

34 LEKCJA RZESZOWA
Stanisław Janecki

38 TANDETA W WARSZAWIE
Konrad Kołodziejski

40 POŻEGNANIE BOHATERA
Marzena Nykiel

44 ZATRZYMAĆ WYMIERANIE POLSKI
Dorota Łosiewicz

OPINIE

47 REFLEKSJE POSTPANDEMICZNE
Bronisław Wildstein

HISTORIA

56 SAMOBÓJCZA POLSKA LUDOWA
Romuald Szeremietiew

62 Z DR. PIOTREM SZOPĄ
rozmawia Jaromir Kwiatkowski

ŚWIAT

64 JAK ODNIEŚĆ SUKCES W ROZMOWACH NA SZCZYCIE. KRÓTKI PORADNIK
Marek Budzisz

MUZEA W POLSCE

67 MUZEUM II WOJNY ŚWIATOWEJ W GDAŃSKU
Dodatek historyczny

SIECI KULTURY

79 PIĘKNO W MROKU
Jolanta Gajda-Zadworna

82 POTWÓR PANA COGITO
Robert Tekieli

83 WOJNA CYWILIZACJI
Robert Tekieli

84 POLECA
Łukasz Adamski

ZDROWIE

86 DZIAŁAJMY RAZEM DLA DOBRA PACJENTÓW
Debata III Forum wGospodarce

PODRÓŻE

90 MOJE SZLAKI: TYTUS BRZOZOWSKI
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

91 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

92 NAIWNOŚĆ WUJKA SAMA
Wojciech Reszczyński

93 WIECZÓR I RANEK
Aleksander Nalaskowski

96 APOTEOZA GŁUPOTY
Ryszard Makowski

97 PRZYPOWIEŚĆ Z PIWONIAMI
Leszek Długosz

98 HERAKLIT, KOŁAKOWSKI I MENTZEL
Andrzej Zybertowicz

Reklama | 53/0421/F

eprasa.pl f739b9f58a

Liczymy się dla Polski

Co zmieniło się w naszym kraju w ciągu ostatnich 10 lat? Jaka jest średnia wieku i poziom wykształcenia statystycznego mieszkańca Polski? Właśnie takich informacji dostarczy nam Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań 2021 – najważniejsze badanie statystyczne realizowane przez Główny Urząd Statystyczny. Spis powszechny trwa od 1 kwietnia do 30 września 2021 r.

Co warto wiedzieć?

Spisy powszechne przeprowadzane są w Polsce i w innych krajach Unii Europejskiej w celu uzyskania rzetelnej i obiektywnej wiedzy o liczbie osób przebywających na danym terenie, ich wieku, potrzebach oraz warunkach życia. Zgodnie z zaleceniami ONZ i UE, spisy powszechne odbywają się co 10 lat.

Jaki jest cel spisów powszechnych?

Spis to jedyne źródło danych o całej zbiorowości rodzin i gospodarstw domowych w kraju. Zebrane dane posłużą przede wszystkim do analiz i opracowań statystycznych. Wyniki są również niezbędne podczas podejmowania strategicznych decyzji i projektowania planów rozwojowych. W efekcie wyniki spisu przyczyniają się do poprawy warunków życia wszystkich osób mieszkających na terenie Polski.

Kto jest objęty obowiązkiem spisowym?

Zgodnie z Ustawą o Narodowym Spisie Powszechnym Ludności i Mieszkań w 2021 r. jest to badanie obowiązkowe dla wszystkich osób mieszkających w Polsce (tj. stale zamieszkałych oraz czasowo przebywających), a także Polaków czasowo przebywających za granicą. Dane podawane w spisie dotyczą stanu na 31 marca 2021 r. **Za odmowę lub brak udziału w spisie, zgodnie z ustawą grozi kara grzywny**.

Wygodna formuła

Zgodnie z ustawą o spisie powszechnym, wychodząc naprzeciw współczesnym realiom, obowiązkową metodą spisu jest samospis internetowy na stronie **spis.gov.pl**. Główny Urząd Statystyczny przygotował prostą aplikację, która daje możliwość spisania się o dowolnie wybranej porze. Wypełnienie formularza spisowego zajmuje jedynie kilka minut. W razie potrzeby zawarte w nim dane można poprawić do 14 dni od pierwszego poprawnego zalogowania.

Inne metody spisu

Przez Internet spisać się można również w urzędach miast lub gmin oraz wojewódzkich urzędach statystycznych na specjalnie przygotowanych w tym celu stanowiskach spisowych. Podkreślamy, że urzędy funkcjonują przy zachowaniu reżimu sanitarnego. Można również spisać się, dzwoniąc na infolinię spisową obsługiwaną przez pracowników statystyki publicznej – **22 279 99 99***.

Z osobami, które nie spiszą się samodzielnie, skontaktują się rachmistrzowie. **Należy pamiętać, że nie można odmówić im podania danych spisowych**. W związku z sytuacją epidemiczną – do odwołania – wywiady rachmistrzów będą realizowane wyłącznie przez telefon. Rachmistrzowie będą dzwonić z numeru **22 828 88 88** lub infolinii spisowej.

Pytania w spisie

Pytania zebrane są w ośmiu blokach tematycznych. Dotyczą między innymi stanu cywilnego, poziomu wykształcenia, wykonywanego zawodu oraz aktualnego miejsca zamieszkania. Kilka pytań ma charakter dobrowolny – wówczas respondent może zaznaczyć opcję „nie chcę odpowiadać na to pytanie". Co ważne, Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań 2021 nie obejmuje tzw. danych wrażliwych dotyczących poglądów politycznych czy wielkości dochodów.

Bezpieczeństwo danych

Wszystkie dane przekazane w spisie są objęte tajemnicą statystyczną regulowaną przez ustawę o statystyce publicznej i służą wyłącznie zbiorczym analizom statystycznym. Każda osoba biorąca udział w spisie ma zapewnioną pełną anonimowość.

Dobrze spisać się wcześniej

Udział w spisie powszechnym jest obowiązkowy, co określa ustawa. Nie warto odkładać tego obowiązku na ostatnią chwilę, tym bardziej, że spisowi towarzyszy loteria. Mogą wziąć w niej udział osoby pełnoletnie, które samodzielnie spiszą się przez Internet i wygenerują unikatowy kod uprawniający do udziału w loterii. Więcej informacji na stronie **loteria.spis.gov.pl**.

Aktualne informacje o spisie powszechnym dostępne są na stronie **spis.gov.pl** oraz na profilach GUS w mediach społecznościowych.

W przypadku pytań lub braku możliwości udziału w samospisie internetowym prosimy o kontakt z infolinią: **22 279 99 99***.

* Koszt połączenia zgodny z cennikiem operatora.

Więcej na **spis.gov.pl**

Liczymy się **DLA POLSKI!**

GUS | Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań 2021

eprasa.pl f739b9f58a

Sygnalista nadaje

Ambasador Niemiec w Polsce Arndt Freytag von Loringhoven zaczął używać określenia „niemieckie zbrodnie". W ostatnich dniach uczynił to dwukrotnie: najpierw w czasie składania wieńców z okazji Narodowego Dnia Pamięci Ofiar Niemieckich Nazistowskich Obozów Koncentracyjnych i Obozów Zagłady, a następnie w czasie wizyty prezydenta Niemiec Franka-Waltera Steinmeiera. Presja ma sens.

Trzeba jednak walczyć dalej. Gesty dobrej woli w tej sprawie cieszą, ale ważne, by prawdę o sprawcach bezprecedensowych zbrodni na Polakach znała cała Europa. A z tym niestety bywa różnie. I wreszcie, cóż nam po słowach, skoro Berlin z uporem maniaka buduje rurę na dnie Bałtyku, którą w jedną stronę popłynie gaz, a w drugą pieniądze na rosyjskie zbrojenia i rosyjską agresję? Słowa są ważne, ale fakty ważniejsze.

Zagrożenie rosyjskie narasta, a ambasada USA zajmuje się właściwie jednym tematem: LGBT. „20-letni Alireza z Iranu został ścięty przez rodzinę za to, że był gejem. 14-letni Kacper z Polski odebrał sobie życie z powodu hejtu, którego doświadczył, podobnie jak 14-letni Jamey z Buffalo w stanie NY. Dyskryminacja i zastraszanie mają realne, przerażające konsekwencje" – to jeden z przykładowych wpisów. Chyba żyjemy w innym kraju niż amerykańscy dyplomaci.

Z jednej strony Rosja nam zagraża, z drugiej – a może właśnie dlatego – portal Onet przygotował quiz wiedzy o Władimirze Putinie, przekonując, że „jego biografia to gotowy scenariusz na film". Wśród pytań także takie: „W którym ze sportów walki Putin ma czarny pas?"; „Jaki fotomontaż z Putinem stał się tak popularny, że Kreml go zaakceptował?"; „Co powiedział Putin, kiedy chciał dostać się do KGB?". Ciekawe, czy to tylko głupota, czy też nowa linia. Przekonamy się szybko.

A Węgry przyjęły ustawę, w której zapisano m.in., że szkolne zajęcia podejmujące kwestie seksualności nie mogą propagować zmiany płci ani homoseksualizmu, a także że państwo chroni prawo dziecka do zachowania tożsamości odpowiadającej płci w chwili urodzenia. W ustawie zakazano też udostępniania osobom poniżej 18. roku życia treści popularyzujących zmianę płci oraz homoseksualizm. Węgrzy to odważni ludzie.

Orbána oczywiście ostro zaatakowano, a ten odpowiedział: „Liberalne walce kolejny raz ruszyły przeciwko Węgrom. Spójrzmy prawdzie w oczy: to jest ruch, którego natura się nie zmienia, ale który zamiast hasła »Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!« ma dziś na sztandarach hasło »Liberałowie wszystkich krajów, łączcie się!«". Święte słowa. Niestety, wciąż jesteśmy przed rokiem 1956. A nawet przed 1953. Do odwilży bardzo daleko.

Węgrzy są jednymi z gospodarzy tegorocznego Euro. Gdy grali z Irlandczykami, w przeciwieństwie do gości nie klęknęli, by oddać hołd ruchowi Black Lives Matter. A kibice – których było wyjątkowo wielu – wygwizdali Irlandczyków. Orbán sprawę skomentował tak: „Węgrzy klęczą tylko w trzech sytuacjach: przed Bogiem, ojczyzną i prosząc o rękę ukochanej. Ten gest jest wymyślony przez kraje, które brały udział w niewolnictwie, my nigdy w tym nie uczestniczyliśmy. Poza tym nie prowokuje się gospodarza, kiedy jest się w gościach".

Rafał Trzaskowski został zapytany w Radiu Zet, czy to prawda, że lider Platformy Obywatelskiej Borys Budka ma ksywkę „Rocky III". Prezydent Warszawy z kamienną twarzą odpowiedział: „Pierwsze słyszę". Prowadząca wyjaśniła: „W rok i trzy miesiące rozłożył Platformę". „Nie wiem, czy ktokolwiek inny w tym bardzo trudnym okresie poradziłby sobie lepiej" – odpowiedział Trzaskowski. Pseudonim Budki zabawny, ale pamiętajmy: Rocky to był ktoś, heroicznie walczył i wygrał z potężnym bokserem radzieckim.

eprasa.pl f739b9f58a

Celne, ale warto pamiętać, że marksizm kulturowy nigdy nie czuje się gościem. To brutalny, zawsze głodny łupu kolonizator.

Prof. ***Krystyna Pawłowicz***, sędzia Trybunału Konstytucyjnego, komentując – prawdopodobnie – kolejną rezolucję Parlamentu Europejskiego wymierzoną w Polskę: „5 byłych polskich lewackich PREMIERÓW razem z Niemcami, klęczy w UE na gardle Polski, symbolicznie pomagając im znieść szlaban na naszej granicy. Żebrzą o zabicie Polski, Polaków, polskości. Jak to się dzieje, że mimo tej tradycji zdrad, żywej wśród części narodu, Polska jeszcze trwa?". Tak, to jest zdumiewające. Boża Opatrzność?

Opozycja – zwłaszcza Platforma – potwierdza smutne diagnozy właściwie każdego dnia. Zobaczmy choćby reakcje na cyberataki, o których piszemy w tym numerze tygodnika „Sieci". Jeszcze zanim premier przekazał posłom informację w tej sprawie na tajnym posiedzeniu Sejmu, Budka zagrzmiał: „Wnoszę o niezwłoczne przejście do udzielenia informacji przez pana premiera w świetle kamer przy pełnej jawności". To był jasny komunikat: część opozycji jest gotowa sprzymierzyć się także z Rosją, byle tylko obalić rząd. Także, bo z drugim sąsiadem jest sprzymierzona od dawna.

Cyberataki „skomentował" także ***Donald Tusk***. „Nie bądź bezpieczny. Internet pamięta. Spisane będą czyny i rozmowy. I maile, i zdjęcia". Jak dotąd żadne zdjęcie nie wypłynęło. Były premier powtarza plotki czy ma wiedzę o sprawie? A przecież to sprawa, która – cytując jego mowę sprzed lat – wyraźnie była pisana cyrylicą.

„Rzeszów dał nam przykład", „Ważny sygnał dla całej Polski", „Jaskółka odnowy" – tak politycy opozycji skomentowali wyniki wyborów w Rzeszowie, w których w pierwszej turze wygrał kandydat niemal całej opozycji Konrad Fijołek. Czy to rzeczywiście przełom? Niekoniecznie. W 2019 r. PiS dostało w stolicy Podkarpacia 43 proc., czyli tyle, ile w całym kraju. Dziś dwaj kandydaci Zjednoczonej Prawicy – Ewa Leniart i Marcin Warchoł – zebrali 35 proc., czyli tyle, ile obóz władzy ma średnio w całej Polsce. Warto pamiętać: Rzeszów nigdy nie był twierdzą PiS.

Te wybory są jednak cenną lekcją. Deszcz obietnic, pieniędzy i inwestycji nie wpłynął, jak się zdaje, w żaden sposób na wyniki głosowania. Wniosek jest jasny: duże miasta – a Rzeszów jest duży – są dziś nie do zdobycia dla rządzącej prawicy. Na pewno nie w czasie dwóch lat, które pozostały do kampanii 2023 r. Bez maksymalnej mobilizacji tradycyjnej bazy Zjednoczonej Prawicy nie ma więc co myśleć o reelekcji.

Czy jednak rząd przetrwa do 2023 r.? Przy okazji głosowania nad kandydaturą Lidii Staroń na funkcję Rzecznika Praw Obywatelskich policzono szable. I wyszło, że przy Jarosławie Gowinie, który poparł kandydata opozycji, stanęło dziewięcioro posłów. Oznacza to, że rządowi brakuje trzech posłów do większości. Od osoby dobrze zorientowanej słyszymy, że gdyby doszło do ostatecznego wyboru, przy liderze Porozumienia pozostałaby piątka. Tak czy siak, wartość poselskiego głosu rośnie. Jest on na wagę złota. Co najmniej na wagę złota.

Sam ***Jarosław Gowin*** ma taką oto refleksję po wyborach w Rzeszowie: „Rzeszów to jest trochę dzwonek alarmowy, jeżeli nie przekroczymy tych podziałów, które nie z winy Porozumienia i nie z mojej winy spiętrzyły się w Zjednoczonej Prawicy, to wyborcy, którzy wczoraj pokazali nam w Rzeszowie żółtą kartkę, mogą w wyborach parlamentarnych pokazać nam kartkę czerwoną". W tej logice kontestowanie Polskiego Ładu, pod którym złożyło się podpis, czy też głosowanie z opozycją przeciwko kandydatce na RPO, którą się namówiło do głosowania, to jak samobój Szczęsnego w meczu ze Słowacją.

Krzysztof Kwiatkowski, senator, były prezes NIK, spotkał się w Senacie z białoruską aktywistką Janą Szostak. Oboje krzyknęli, bo – jak wiadomo – pani Jana krzyczy, walcząc w ten sposób o wolność. „WOLNA BIAŁORUŚ – te słowa dzisiaj zostały wykrzyczane w SENACIE. W tej sprawie wszyscy musimy mówić jednym głosem. SZANUJMY tych, którzy walcząc o wolność, narażają życie swoje i bliskich" – przekonuje Kwiatkowski. Celne. Szanujmy, nie róbmy głupawej hucpy wokół ludzkiego cierpienia.

„Gazeta Wyborcza" sprawdziła, ile książek odesłano Oldze Tokarczuk w ramach akcji #OdeślijOldzeKsiążkę, zainicjowanej w internecie po wywiadzie dla włoskiego dziennika, w którym noblistka przekonywała, że sytuacja w Polsce przypomina tę na Białorusi. „Nie przyszła ani jedna. Z wielkiej akcji wyszła kolejna stępka" – kpi „Wyborcza". Cóż, pomysł od początku był niemądry, ale słomiany zapał prawicowego internetu też jest faktem.

Tymczasem wojna „Wyborczej" z Agorą trwa w najlepsze. Naczelni dziennika sprzeciwiają się połączeniu redakcji z pionem internetowym, czyli z portalem gazeta.pl, na zaproponowanych warunkach. Trwający konflikt określili mianem „największego w historii kryzysu" w relacjach dziennika z zarządem spółki. W sumie brutalne starcie. Najbardziej zdumiewa, że zarząd firmy nie pękł, ale dzielnie wojuje. To koniec świata. To śmierć etosu.

Fot. Andrzej Wiktor (2x), Julita Szewczyk, Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl f739b9f58a

Budka Tuska

KRZYSZTOF FEUSETTE

Budka: Dzień dobry, witam cię serdecznie, kochany nasz wodzu, przywódco, honorowy przewodniczący, no, pozwól, że cię uściskam nasza nadziejo ostatnia, tak się cieszę...
Tusk: A co ty tu robisz?
Budka: No, jak to? Umawialiśmy się przecież w pierwszym wolnym terminie, tak powiedziałeś, no to ja mam dzisiaj wolne, a sprawy, jak wiesz, są palące...
Tusk: K... mać. Jak ja ci mówię, że w pierwszym wolnym, to chodzi o moje terminy!
Budka: A co, nie pasuje ci dzisiaj tak totalnie?
Tusk: Tak totalnie to ty jesteś oderwany od rzeczywistości. Czyli PiS ma rację. Przecież zaraz jest mecz!
Budka: No, wiem. I tak pomyślałem, że możemy razem...
Tusk: Ale razem z kim?
Budka: No, ty i ja. Że możemy wspólnie...
Tusk: My coś możemy wspólnie? Tobie już zupełnie odbiło. Co mogą zrobić wspólnie wieloletni prezes Rady Ministrów z nieudolną podróbą towarzysza Wiesława, któremu nawet Schetyna podłożył świnię?
Budka: Jaką? Gdzie?!
Tusk: W urnę. Dobrze, że udało się tamte wybory przełożyć i te wszystkie Kosiniaki, Hołownie i Czarzaste tak się nas boją...
Budka: No właśnie, to się troszkę zmieniło...
Tusk: Cicho teraz, bo hymny grają!
Budka: Ale to słowacki...
Tusk: No i super. Co mnie polski obchodzi, tysiąc razy słyszałem...
Budka: No, tak. To co, mógłbym wejść na chwilę? Bo teraz to już nie mam nawet gdzie obejrzeć...
Tusk: Sondaże sobie, k..., obejrzyj. A potem jeszcze raz tylko od tyłu. Widzisz różnicę?
Budka: No właśnie, ja w tej sprawie...
Tusk: W jakiej sprawie ty tu jesteś, to ja ci zaraz powiem. Ty tu przyszedłeś, żeby przynieść pecha, prawda?
Budka: Ale ja nie mam pecha.
Tusk: A ja nie jestem rudy. Chłopie, czego się dotkniesz, idzie się jumać!
Budka: Jeśli uważasz, że to moja osoba stanowi przeszkodę...
Tusk: Czyja osoba? Twoja? Ty widziałeś kiedyś przeszkodę? Nie sądzę. Ty jesteś jak ten ślepy koń, co wygrał, bo nie widział przeszkód.
Budka: No nie wiem, trudno być sędzią we własnej sprawie...
Tusk: A widzisz. A Grodzki musi. I ja też. I Gawłowski. Tylko Nowak nie musi, bo już nie może. Ale my wszyscy musimy być sędziami we własnej sprawie. Przez tę..., no, jak to się nazywa...
Budka: Niezawisłość.
Tusk: Tak jest, niezawisłość sędziowską. Co ma nie wisieć, nie utonie.
Budka: Tam jest: „Co ma wisieć".
Tusk: A mnie to wisi. Co to ma do rzeczy, jak się kiedyś mówiło? Czasy są dynamiczne, Budka. A wy tego nie ogarniacie.
Budka: Ależ ogarniam. Przecież mnie się od tych tęczowych już w głowie kręci. Ja jestem otwarty na nich, jak... Jak... Jak... No, nie wiem, do czego to porównać...
Tusk: Już lepiej nie porównujcie. Zadam wam pierwsze i ostatnie pytanie: macie jakiś plan?
Budka: Ale na co?
Tusk: Na kobyle caco. Z wami właśnie jest taka rozmowa. Ja was o plan, wy mnie o dzban. Wiecie, kto to jest „dzban"?
Budka: Oczywiście. Pomaska mi powiedziała.
Tusk: Czerpcie dalej wiedzę od Pomaski, to będziecie rowerem do tyłu jechać. Powtórzę: macie jakąś koncepcję?
Budka: Mam.
Tusk: Zdradźcie.
Budka: No, to jest taka... jakby... antykoncepcja...
Tusk: To znaczy?
Budka: „Anty", bo jesteśmy na „nie" w stosunku do pisowskiej władzy. A koncepcja jest taka, że trzeba się zabezpieczyć...
Tusk: To ma być kampania prezerwatyw?
Budka: Tak przyciągniemy lewicę...
Tusk: Chyba na wrotkach. Wy jednak nie powinniście być przewodniczącym. Może samorządu uczniowskiego, ale też tylko w szkole cyrkowej. Niestety odchodzenie z polityki bywa bolesne, zwłaszcza gdy się niczego innego nie umie. I wtedy pozostaje tylko jedno...
Budka: Do Brukseli?
Tusk: Oj, głupiście. Wam się wydaje, że ja uciekłem? Że bałem się wyborów? Dobre, ha, ha...
Budka: To dlaczego nie startowałeś... To znaczy nie startowaliście w prezydenckich?
Tusk: Bo miałem mecz!
Budka: Jaki?
Tusk: Sraki! Z kolegami. Haratamy w gałę, bo po tym się lepiej myśli. Raz byś poharatał, to byś zrozumiał.
Budka: Ja biegam.
Tusk: I bardzo dobrze. To leć po piwo, bo nuda na tym boisku. Idę do toalety...
Budka: Jasne. Kurczę, ale się cieszę, że będę mógł z wami... To znaczy z tobą śledzić to istotne wydarzenie sportowe... Oj, chyba gol!
Tusk: Kto strzelił?!
Budka: Nasi!
Tusk: Który?
Budka: Szczęsny! Ale do swojej!
Tusk: To co mnie straszycie?! Że też nie mieliście kiedy przyleźć. Przecież wy mi odbieracie całą radość porażki!

eprasa.pl f739b9f58a

WIEŻA BAB

Tour de Opozycja

Okazało się, że w trakcie „wykładu" dzieci usłyszały, że walka z „turystyką aborcyjną jest niezgodna z konstytucją"

Ciekawe skutki edukacyjne przynosi Tour de Konstytucja. Głównie dla organizatorów akcji.

Przypomnijmy, że Tour de Konstytucja to projekt Fundacji Kongres Obywatelskich Ruchów Demokratycznych. W ramach akcji przez dwa miesiące po kraju podróżować ma tourbus, na którego trasie zaplanowano ponad 90 wydarzeń promujących rzekomo wiedzę o polskiej konstytucji. W akcji biorą udział m.in. prawnicy i artyści, patronuje jej zaś rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar. Według organizatorów rzecz ma być apolityczna i pewnie dlatego wokół imprezy kręci się tylu przeciwników rządu.

Pewnie państwo pamiętają, że przy okazji jednego z takich spotkań, konkretnie w Dobczycach, na pogadankach z tegoż cyklu pojawiły się nie tylko dzieci z pobliskiej szkoły, ale nawet grupa przedszkolaków. Pewnie dlatego, że dorosłych uczestników tego spotkania można było policzyć na palcach jednej ręki. Dzieci otrzymały chorągiewki, panie z przedszkola – egzemplarze konstytucji. Dzieci zachęcano do skandowania „Konstytucja!". I wszystko byłoby dobrze, gdyby nagrania z dziećmi nie opublikował Komitet Obrony Demokracji. Okazało się, że w trakcie „wykładu" dzieci usłyszały, że walka z „turystyką aborcyjną jest niezgodna z konstytucją". „Ścigamy za wszystko. Był tutaj przykład aborcji. Jedziecie do Czech, a my jako prokuratura zatrzymujemy was na granicy, bo takie jest rozporządzenie. Cóż z tego, że jest ono niezgodne z konstytucją" – mówił do dzieci krakowski prokurator Bolesław Laszczak.

Swój wykład wygłosił także apolityczny sędzia Waldemar Żurek, który mówił: „Prezydent powinien być strażnikiem konstytucji (...), ale niestety pan prezydent zaprzysiągł takich nielegalnych sędziów w Trybunale Konstytucyjnym. Zrobił to w nocy. Prawnicy mu powiedzieli, że łamie konstytucję. Wszyscy nad tym bolejemy, bo prezydent powinien nas bronić. W konstytucji jest taki sąd dla polityków, Trybunał Stanu, także dla pana prezydenta. Ten Trybunał może go kiedyś osądzić (...). Zapamiętasz? Prezydent nie jest bezkarny" – mówił sędzia Żurek. Nagranie wciąż wisi w internecie, więc tłumaczenie, że nic takiego nie miało miejsca z ust uczestników spotkania, brzmi mało wiarygodnie.

A ponieważ Tour de Konstytucja ma popularyzować wiedzę o Konstytucji RP, to przypomnijmy art. 48 ustawy zasadniczej, czyli zasadę ochrony władzy rodzicielskiej: „Rodzice mają prawo do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami. Wychowanie to powinno uwzględniać stopień dojrzałości dziecka, a także wolność jego sumienia i wyznania oraz jego przekonania. 2. Ograniczenie lub pozbawienie praw rodzicielskich może nastąpić tylko w przypadkach określonych w ustawie i tylko na podstawie prawomocnego orzeczenia sądu".

Czy piewcy konstytucji złamali ten artykuł? Wiceminister edukacji i nauki Tomasz Rzymkowski poinformował, że rodzice uczniów z Dobczyc nie zgodzili się na udział ich dzieci w Tour de Konstytucja. Według ministra z kontroli wynika, że decyzja o przyprowadzeniu dzieci na meeting polityczny została podjęta przez dyrekcję szkoły na propozycję jednej z nauczycielek, bez sprawdzenia, co to za wydarzenie i przez kogo jest organizowane. „Pozwolono uczniom klas VIII i V wziąć udział w wydarzeniu o charakterze stricte politycznym" – mówił wiceminister w sejmie. Podał także, że w rejestrze wyjść, uzupełnianym obowiązkowo przy wyprowadzaniu dzieci poza obręb szkoły, wpisano to wyjście dopiero w dniu przeprowadzenia kontroli. „Liczby dzieci w zapisach rejestru i w dziennikach są różne, czyli nauczyciele nie wiedzieli, ilu faktycznie uczniów mieli pod opieką" – poinformował minister.

W efekcie akcji do kuratorium oświaty wpłynęły skargi ze strony zaniepokojonych rodziców, a do rzecznika dyscyplinarnego wpłynął wniosek burmistrza Dobczyc o wszczęcie postępowania dyscyplinarnego wobec dyrektora Szkoły Podstawowej nr 1. Choć część rodziców broni szkoły i nauczycieli, to okazało się, że wielu całkiem nieźle zna swoje prawa. Ale chyba nie taki był zamysł organizatorów. Konstytucja! Konstytucja!

Dorota Łosiewicz

Klęska szczepień

W ostatnią środę władze Moskwy zarządziły obowiązkowe szczepienia przeciwko koronawirusowi. Szczepieniami, które mają zostać przeprowadzone podczas wakacji, będą objęci urzędnicy, a także pracownicy sektora usługowego, transportu, służby zdrowia, edukacji oraz kultury. Przyczyną jest gwałtowny wzrost zachorowań na COVID-19.

16 czerwca zarejestrowano w Rosji – według oficjalnych danych – 13 397 nowych zakażeń, z czego 5782 w samej Moskwie. Jak pisze na swoim blogu mer Moskwy Siergiej Sobianin, liczba zakażonych przebywających w moskiewskich szpitalach sięgnęła już 12 tys. osób, a więc tyle, ile notowano podczas ubiegłorocznych, jesienno-zimowych szczytów pandemii. Od początku listopada ub.r. utrzymuje się również wysoka liczba zgonów, na poziomie ok. 400 na dobę, choć zdaniem niektórych ekspertów w rzeczywistości jest ona znacznie wyższa.

Problem bierze się stąd, że Rosjanie po prostu nie chcą się szczepić. Według źródeł Radia Svoboda, w liczącej 12 mln mieszkańców Moskwie każdego dnia szczepi się zaledwie 2,5–3,5 tys. ludzi. Oficjalne dane są nieco wyższe i mówią o 8–10 tys. szczepionych na dobę. Jednak nawet gdyby przyjąć te dane za dobrą monetę, to przy takim tempie uzyskanie minimalnej 60-proc. odporności zbiorowej zajmie władzom miasta aż dwa lata. Dla porównania w Czechach, liczących mniej więcej tyle samo mieszkańców co Moskwa, w ostatnią środę zaszczepiono 84 tys. ludzi, a w Grecji 92 tys. Co ciekawe, rosyjską szczepionkę Sputnik V otrzymało już więcej mieszkańców Buenos Aires niż Moskwy. Jeszcze gorzej wygląda sytuacja ze szczepieniami poza stolicą. Łącznie dotychczas zaszczepiono w całej Rosji zaledwie 14 mln osób (z tego dwiema dawkami 9 mln). Nic więc dziwnego, że liczba zakażonych znowu wzrasta. Poza Moskwą i jej okolicami najgorsza sytuacja panuje w Petersburgu oraz na Syberii, zwłaszcza w Buriacji.

Władze są bezradne wobec powszechnej niechęci do szczepień. Początkowo kuszono ludzi loteriami, w których można było wygrać samochód lub mieszkanie. Bez większych skutków. Władimir Putin, który jeszcze pod koniec maja zapewniał, że żadnych obowiązkowych szczepień nie będzie, zrzucił problem na władze lokalne. Według Kremla na razie nie planuje się przymusowych szczepień w całym kraju, chyba że w jakimś regionie – podobnie jak w Moskwie – nastąpi nagły wzrost zakażeń. Zatem furtka do działania została otwarta.

Przy okazji okazało się również, że kremlowska propaganda nie jest tak wszechmocna, za jaką próbuje uchodzić. W kwestii szczepień poniosła bowiem porażkę. Ten precedens może się okazać kiedyś dość niebezpieczny dla władz.

Konrad Kołodziejski

Fot. StanislavSukhin/Shutterstock.com

Triumf lewicy

Mario Vargas Llosa, peruwiański pisarz, laureat Nagrody Nobla, powiedział, że wybór Pedra Castilla (na zdj.) oznacza „dyktaturę i zacofanie". Jednak peruwiańscy wyborcy w ubiegłotygodniowych wyborach prezydenckich postanowili postawić na tego 51-letniego aktywistę związkowego i byłego nauczyciela jednej ze szkół podstawowych, który z poparciem 50,2 proc. pokonał różnicą niewiele ponad 70 tys. głosów Keiko Fujimori – córkę skazanego przed laty za korupcję byłego prezydenta Peru.

Wybór Pedra Castilla, polityka powiązanego z niewielką marksistowską formacją Peru Libre, uznawany jest za kolejny dowód na przesuwanie się całego kontynentu w lewo. Ma to być skutek pandemii COVID-19, która w Ameryce Łacińskiej zebrała wyjątkowo dużo ofiar, a kryzys ekonomiczny spowodował dalsze pogłębienie silnych nierówności dochodowych.

Szefem partii, która wysunęła kandydaturę Castilla, jest Vladimir Cerrón, wykształcony na Kubie lekarz o radykalnie lewicowych poglądach, który zdaniem lokalnych obserwatorów może chcieć wprowadzić w kraju dyktaturę na wzór kubański lub wenezuelski. W kampanii wyborczej Castillo domagał się nacjonalizacji peruwiańskich bogactw naturalnych oraz zapowiadał ambitną politykę redystrybucji dochodów. To przyniosło mu popularność w regionach wiejskich, zwłaszcza tych zamieszkałych przez Indian, wśród których zdobył ponad 80 proc. poparcia.

Keiko Fujimori twierdzi, że zwycięstwo Castilla jest skutkiem fałszerstwa wyborczego, w wyniku którego „dodano" jej rywalowi ok. 200 tys. głosów. Niewiele jednak wskazuje na to, aby rezultat wyborów miał się zmienić. Organizacja Państw Amerykańskich, która przysłała na wybory do Peru swoich obserwatorów, stwierdziła, że były one uczciwe, a procedury „transparentne". Dla Fujimori, która już dwukrotnie była w więzieniu w związku z zarzutami korupcyjnymi i nielegalnym finansowaniem swej formacji politycznej, ewentualna przegrana wyborcza oznacza perspektywę ponownego znalezienia się za kratami.

Niektórzy amerykańscy eksperci uważają jednak, że Castillo może nie przetrwać pełnej kadencji u władzy. Giełda w Limie na wieść o zwycięstwie lewicowego kandydata spadła o 9 proc., a wielu zagranicznych inwestorów jest zaniepokojonych zapowiedziami nacjonalizacji bogactw mineralnych. Możemy mieć zatem do czynienia z destabilizacją sytuacji w kolejnym południowoamerykańskim kraju, tym bardziej że w ciągu ostatnich czterech lat Peru miało aż trzech prezydentów.

Marek Budzisz

Fot. Wikipedia

eprasa.pl f739b9f58a

Nie przyjeżdżajcie!

USA

Pierwsza zagraniczna wizyta Kamali Harris zakończyła się porażką. Wiceprezydent USA odwiedziła Amerykę Środkową, aby rozwiązać problem narastającej imigracji z tego regionu do Stanów Zjednoczonych.

Od kiedy duet Biden–Harris przejął władzę w Białym Domu, poszukujący lepszego życia mieszkańcy Ameryki Południowej poczuli się ponownie zaproszeni do USA. W kwietniu liczba imigrantów zatrzymanych przy próbie nielegalnego przekroczenia granicy z Meksykiem była dziesięć razy wyższa niż rok wcześniej. Efekt? Taki sam jak za prezydentury potępianego przez demokratów Donalda Trumpa. Większość dorosłych imigrantów jest odsyłana do swoich krajów, z kolei dla nieletnich brakuje już miejsca w specjalnych ośrodkach przy granicy.

Misją Harris było znalezienie sposobu na powstrzymanie imigracji z Ameryki Środkowej. Biały Dom zaproponował pomoc finansową dla lokalnych przedsiębiorców oraz dofinansowanie budowy mieszkań i rolnictwa. Amerykanie chcą na cały region (Salwador, Honduras, Gwatemala) wydać 4 mld dol. Pojawiają się jednak obawy, że skorumpowani urzędnicy szybko rozkradną te pieniądze. Kamala Harris postanowiła więc zaapelować do potencjalnych imigrantów: „Chcę, żeby ci, którzy chcą nielegalnie przekroczyć niebezpieczną granicę USA z Meksykiem, to usłyszeli: nie przyjeżdżajcie" – powiedziała na konferencji prasowej. Została za to natychmiast skrytykowana przez czołową gwiazdę lewego skrzydła Partii Demokratycznej, kongresmenkę Alexandrię Ocasio-Cortez, która stwierdziła, że skoro Stany Zjednoczone przez lata destabilizowały Amerykę Południową, to teraz mają obowiązek przyjmować stamtąd imigrantów.

Konserwatywny „National Review" stawia ciekawą tezę, że oderwanie się Harris od jej lewicowych sprzymierzeńców z partii jest bardzo na rękę Joemu Bidenowi. Dlaczego? Harris jest traktowana jako naturalna następczyni Bidena, który przy reelekcji miałby 82 lata. A co jeżeli Biden będzie chciał ponownie wystartować? Jim Geraghty z popularnego konserwatywnego podcastu „The Editors" dodaje, że Biden ma w swojej ekipie znacznie lepszych specjalistów od imigracji niż Harris, jednak zdecydował się właśnie ją obarczyć tym niewdzięcznym tematem. W czasie triumfu polityki opartej na memach obrazek Kamali Harris mówiącej do imigrantów „Nie przyjeżdżajcie", może zostać jej zapamiętany na długo.

Łukasz Adamski

Fot. Nick. Raille, 07/Shutterstock.com

Siła tkwi w małżeństwie

Obecny system tworzony przez Xi Jinpinga w Państwie Środka niektórzy sinolodzy nazywają stalinizmem 2.0. Trzymając się tego porównania, po okresie chińskiego NEP, wprowadzonego przez Deng Xiaopinga, dziś następuje konsolidacja władzy w rękach partii i jej sekretarza generalnego. Narasta konfrontacja z Zachodem, trwa przykręcanie śruby społeczeństwu, nasila się walka z religią.

Warto jednak zwrócić uwagę na jeszcze jedno podobieństwo. W 1926 r. Stalin postanowił dokonać radykalnych zmian w polityce społecznej i rodzinnej ZSRS. Zakończył eksperyment rewolucji seksualnej, której twarzą w rządzie bolszewickim była Aleksandra Kołłontaj. Zaostrzył prawo o rozwodach (dekret z 1917 r. pozwalał rozwieść się korespondencyjnie, uiszczając opłatę 3 rubli, bez konieczności powiadamiania współmałżonka). Wprowadzono też zakaz aborcji, którą zalegalizował w 1920 r. Lenin. Stalin zdał sobie bowiem sprawę, że bolszewicka rewolucja obyczajowa generuje zbyt wielkie koszty społeczne (rozpad rodzin czy kryzys demograficzny), które uniemożliwiają budowę imperium.

Dziś władze w Pekinie uświadamiają sobie, że bez przezwyciężenia plagi rozwodów i spadku dzietności nie będą w stanie podjąć globalnej rywalizacji z USA. Dlatego podjęły decyzję, by odejść od „polityki jednego dziecka" (wprowadzonej w 1979 r. i przekształconej w 2016 r. w „politykę drugiego dziecka"). Mało tego, nastąpiło odwrócenie kursu. Odtąd rząd ma wspomagać rodziny, które zechcą mieć trójkę dzieci. Pisaliśmy o tym dwa tygodnie temu.

Poza tym 1 stycznia weszła w życie nowa ustawa, która utrudnia rozchodzenie się małżonków. To sprawiło, że w pierwszym kwartale br. liczba rozwodów spadła w porównaniu z analogicznym okresem ub.r. o 70 proc. (z 1 mln do 300 tys.). Intencje władz zwięźle wyraził Yang Dzong-tao z ministerstwa spraw obywatelskich: „Małżeństwa i porody są ze sobą ściśle związane. Spadek małżeństw wpływa na wskaźnik urodzeń, co z kolei wpływa na rozwój gospodarczy i społeczny".

Grzegorz Górny

Fot. Shutterstock

eprasa.pl f739b9f58a

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Seks wyzwolony od piętna płci

Jan Pietrzak

Jest postęp, idzie nowe... Ono idzie od dawna, ale ostatnio przybiera coraz weselsze formy. Jakieś awangardowe gremia ustaliły, że o tym, czy jest się mężczyzną, czy kobietą, decyduje sam zainteresowany. W pewnym stopniu tak było zawsze, nowatorstwo polega na tym, że można decydować z dnia na dzień, w zależności od potrzeby chwili. Odbywają się właśnie w egzotycznym kraju wybory, w których obowiązuje parytet płci. Ponieważ większość kobiet ma ważniejsze sprawy na głowie niż przesiadywanie w parlamencie, niektórzy mężczyźni ogłaszają się kobietami i dużo łatwiej zdobywają miejsca w wymarzonych ławach. Mieliśmy w Polsce do czynienia z takim przypadkiem parę kadencji wstecz, lecz przeobrażenie płciowe na użytek kampanii było bardziej bolesne. Ciekawe, jak po latach ocenia sam zainteresowany/-ana poniesioną wtedy ofiarę na ołtarzu seksu wyzwolonego od piętna płci. Jeżeli mnie pamięć nie myli, nie chodziło o prywatne imponderabilia, lecz o losy społeczności umęczonej staroświeckimi przesądami.

Manewrowanie płcią w sprawach politycznych nie jest jednak najbardziej skomplikowane. W sporcie poprawność równościowa będzie bardziej spektakularna. Ta sama osoba może pierwszego dnia olimpiady dźwigać ciężary jako mężczyzna, ostatniego – bić rekord pań żabką lub robić fikołki jako transakrobatka artystyczna. Wymieszane zostaną kryteria, miary i wagi. Ale będzie heca! Może do tego ludzkość zmierza? Mamy kolejną wieżę Babel w budowie.

Na kryzys pojęciowy nakłada się sterowany chaos medialny, bo z przeróżnych powodów rozmaite korporacje biznesowe, grupy polityczne mają własne interesy w potęgowaniu zamętu. Najaktywniejsze są środowiska lewicowe, które co i rusz w dziejach naszego gatunku wyczyniają szaleńcze rewolucje, by rujnować odwieczne prawa, obyczaje, nawyki, pomniki... itd. Z tego punktu widzenia dziwić może to, że tematyka seksualna znalazła się po stronie lewactwa, jakby tradycjonalistom seks przeszkadzał. Wręcz przeciwnie, konserwatywny seks zawsze będzie górą, czego ze względu na trzecią młodość nie zamierzam publicznie roztrząsać.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Komu teraz kibicować?

Dominik Zdort

To stały problem kibiców sportowych. A na pewno stały problem polskich kibiców: kogo popierać, kiedy nasi odpadną? I nie chodzi o to, czy kibicować Niemcom, czy Rosji – bo wiadomo, że nie należy – ale o nieco inną sytuację.

No bo wyobraźmy sobie, że polscy piłkarze jadą na mistrzostwa i przegrywają z podrzędną drużyną. Albo polska tenisistka jedzie na turniej, który wygrała przed rokiem, jest tam rozstawiona z numerem 8 i przegrywa z dość przeciętną koleżanką, która rozstawiona była z numerem 17.

Nie piszę tego, żeby narzekać na naszych sportowców, na ich wieczne przegrane. Nie jestem malkontentem, każde kolejne podejście polskich piłkarzy, siatkarzy, tenisistów do wielkich wyzwań odbieram z dziecięcą naiwnością i patriotyczną nadzieją.

Ale po porażce zawsze wraca pytanie: co dalej? Czy teraz dać się ponieść emocjom i życzyć tym, którzy z nami wygrali, żeby potykali się o własne nogi? No bo w końcu jak śmieli pokonać nasze orły?

Ale potem przychodzi chłodna kalkulacja. No bo przecież czym dalej zajdzie ten, który z nami wygrał, tym mniej trzeba się wstydzić porażki. Przegraliśmy z mistrzami – to brzmi całkiem nieźle. Gdyby Greczynka, która pokonała Polkę w tenisa, ostatecznie turniej wygrała (a nie wygrała), nie byłoby nam głupio. Gdyby słaba drużyna z mistrzostw Europy, z którą poległa polska reprezentacja, doszła do ćwierćfinału albo choć wyszła z naszej grupy (małe szanse), nie byłoby wstyd...

Porażka zawsze jest mniej wstydliwa, jeśli przegrywa się z kimś, kto potem osiąga wielki sukces. Może to porównanie nie na miejscu, ale we wrześniu 1939 r. nastąpiła wielka kompromitacja piłsudczykowskiej ekipy, bezradnej wobec ataku Niemiec. Już rok później wszystkie te argumenty były śmiechu warte: niemieccy żołnierze spacerowali po ulicach Paryża i Brukseli, a niechętna sanacji ekipa premiera Władysława Sikorskiego musiała delikatniej operować argumentem nieprzygotowania do wojny, bo uderzał on także w sojusznicze rządy.

Oczywiście nikt rozsądny patriotycznie nie kibicowałby Niemcom w ich wojnie przeciw Francji po to, by klęska wrześniowa wydawała się mniej kompromitująca. Ale sukces Hitlera zmienił polską perspektywę.

Na całe szczęście w sporcie jest inaczej. Nic złego kibicować Słowacji, która wygrała z naszą reprezentacją. Choć mam wrażenie, że to sprawa równie beznadziejna, jak kibicowanie Polsce.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl f739b9f58a

BRONISŁAW WILDSTEIN

Nienawistnicy przeciw nienawiści

Czy nie za często wywodzę o tym, że żyjemy w rzeczywistości, która stoi na głowie? Od blisko trzech dekad na różne sposoby pokazuję i przekonuję, że nie tylko dominująca narracja, ale i praktyka polityczna starają się doprowadzić do odwrócenia znaczenia podstawowych pojęć i wmówić nam sprzeczne z rzeczywistością interpretacje. Wprawdzie traktuję również o innych sprawach, ale nie da się ukryć, że wątek ten stanowi leitmotiv moich komentarzy. Jak mogę jednak nie koncentrować się na tym, skoro panująca ideologia i wspierające ją siły coraz bardziej agresywnie usiłują przeistoczyć sens naszego postrzegania, innymi słowy, zbudować świat na opak?

Goran Andrijanić opublikował we wPolityce swoiste „podziękowania" dla Sylwii Chutnik za szczerość, z którą w wywiadzie udzielonym Onetowi potraktowała polską rodzinę. Fragmenty, które przytoczył, robiły wrażenie, postanowiłem więc sięgnąć do źródła. Znalazłem egzemplifikację tego, o czym ciągle piszę.

To pierwszy tekst z zamierzonego przez Onet cyklu „Odkrywamy się", współtworzonego ze stowarzyszeniem Miłość nie Wyklucza, które działa na rzecz osób LGBT+. Chutnik jest jego „pierwszą bohaterką".

Mówi rzeczniczka miłości: „Jesteśmy tu, by podważyć tradycję polskiej rodziny – patriarchalnej, przemocowej, toksycznej, obrzydliwej, w której toczą się potworne rzeczy, bo ktoś chce, by działy się za zamkniętymi drzwiami. Jesteśmy po to, by przewietrzyć Polskę, rodzinę, otworzyć okna na oścież, żeby ten przeciąg wywalił całą toksynę, żeby wreszcie ludzie przestali ściemniać, że wujek mieszka z kolegą, ciocia jest starą panną, a tata wieczorami nie chodzi do gejowskich klubów. Po co to całe udawanie? Mówi się czasem, że to państwo jest z tektury, a ja mam wrażenie, że heteroseksualizm jest z tektury".

Ten nienawistny bełkot jest śmieszny, ale i symptomatyczny. Naturalny model relacji erotycznych ma się rozpaść, jest przecież z tektury, pod ciosami „nieheteronormatywnych". Chutnik z jednej strony sentymentalnie zawodzi nad swoim strasznym losem, z drugiej – grozi rewolucyjnie: „dziś niczym jutro wszystkim my".

„Miesiąc Dumy [czerwiec dla LGBT] dla wielu osób jest miesiącem dumy, że się w ogóle przeżyło. W przypadku Polski oczywiście można dostać wpier***, można zostać zwolnionym z pracy, wyrzuconym ze wspólnoty rodzinnej, sąsiedzkiej, przyjacielskiej. Ponosi się bardzo konkretne konsekwencje, istnieje ostracyzm społeczny i ulubiony polski sport, czyli plotkowanie za plecami, który bardzo skutecznie potrafi osłabić chęć do życia w społeczeństwie. Ale ta duma, wydaje mi się, jest mimo wszystko. Człowiek, który nadal zostaje tym, kim jest, buduje swoją tożsamość, staje się silniejszy".

Wizja martyrologii LGBT z rzeczywistością ma niewiele wspólnego. Na razie słyszymy raczej o osobach, które zostają wyrzucone z pracy za to, że nie chcą przyłączyć do „gay pride" niż za swoją orientację seksualną. Wyobraźmy sobie, że ktoś dziś w Polsce, zgodnie z prawdą, mówi o ideologii LGBT, że jest „przemocowa, toksyczna, obrzydliwa". Wyobraźmy sobie nienawistne wycie domagające się wyciągnięcia wobec niego konsekwencji. Chutnik, która mówi tak o większości normalnych Polaków, nie ryzykuje niczym.

Według aktywistów LGBT każdy, kto nie realizuje ich agendy, winien ponieść tego ostateczne konsekwencje. Oto przykład, a równocześnie obraz tolerancji środowiska:

„Wsparcia osoby nieheteroseksualne nie mają ze strony Kościoła dlatego, że Kościół nie chce czy nie potrafi go dać?". Na to rozczulające pytanie prowadzącego Chutnik odpowiada: „Nie chce. Ja wiem, że istnieje ta kategoria »fajny ksiądz«, tak, też znam fajnych księży, też znam fajne siostry zakonne, jak te z Broniszewic, które zajmują się osobami z niepełnosprawnością. Ale mam na myśli Kościół jako instytucję, uważam, że powinna zostać rozwiązana".

„Boisz się PiS-u czy bardziej się go wstydzisz?" – drąży bezstronny dziennikarz.

„Wiesz, najchętniej to w ogóle bym się tym PiS-em nie zajmowała" – ogłasza Chutnik, po czym następuje długi strumień obelg i pomówień pod adresem ugrupowania, jego działaczy oraz osób funkcjonujących w strukturach rządzonego przezeń państwa, tak podsumowany:

„Partie takie jak PiS czy Konfederacja się wykruszą, bo nie będą miały do kogo mówić. Na ludzi z niebywałą agresją można zareagować poprzez odwrócenie się i zostawienie ich z tym wrzaskiem i grymasem twarzy. Ja tak robię".

Chutnik deklaruje, że najważniejsze to „dotrzeć do siebie i do swojej tożsamości". Z wywiadu dowiadujemy się, że jej tożsamość i wszelkie wybory określone są przez seksualną orientację. To również jedyny powód jej dumy. Jej język to zestaw ideologicznych klisz. Ona sama to wzorcowe wcielenie resentymentu. Model „bohaterki" największego polskiego portalu i twarz LGBT.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f739b9f58a

Walizka Alicji Sękowskiej

piosenkarki i prezenterki telewizyjnej

Od dziecka fascynowała mnie piosenka i jako dziewczynka mieszkająca w małej miejscowości Ozimek pod Opolem często zasiadałam przed telewizorem, żeby obejrzeć „Jaka to melodia?". Choć w tym czasie regularnie jeździłam na lekcje muzyki, śpiewu i aktorstwa, nigdy nie przypuszczałam, że kiedykolwiek będę występować w tym programie jako piosenkarka, że będę podróżować po świecie i przeprowadzać wywiady z gwiazdami światowego formatu, m.in. z Shaggym czy ze Stingiem. Myślę, że mogę być dowodem na to, że wszystko jest możliwe i że marzenia się spełniają, ale trzeba pamiętać o pracowitości, konsekwencji i dyscyplinie. Lubię podróżować, bo lubię poznawać ludzi, ich kulturę i kuchnię. Kierunek mojej ostatniej zagranicznej podróży to był Rotterdam, gdzie relacjonowałam 65. Konkurs Piosenki Eurowizji.

OKULARY
W okresie wiosenno-letnim lubię nosić okulary. Są z reguły czarne i mam ich całkiem sporą kolekcję.

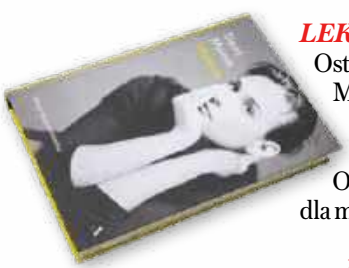

LEKTURA
Ostatnio czytam autobiografię Demi Moore, która szczerze pokazuje nie tylko jasne, ale także ciemne strony swojej kariery. Obowiązkowa lektura dla młodych aktorek.

POLSKI ZAPACH!
Autorstwa projektantki Doroty Goldpoint, której modowemu instynktowi zaufała m.in. Pierwsza Dama Agata Duda. Nuta zapachowa stworzona z kompozycji róży, paczuli i ambry jest bardzo elegancka.

MASECZKA NA OCZY
Jest to wspaniały wynalazek. Choć wpadł mi niedawno w ręce, już się zaprzyjaźniliśmy na dobre, ponieważ mam tendencję do podpuchniętych oczu. Wystarczy ją wrzucić na kilka minut do zamrażarki i założyć, co daje natychmiastową ulgę. Co ciekawe, pomaga także na ból głowy.

BUTY DO BIEGANIA
Wyjątkowe, bo bardzo, bardzo lekkie. Wygodne nie tylko do biegania, ale także do latania po mieście za sprawunkami.

eprasa.pl f739b9f58a

SASZETKA

Służy mi jako portfel. Kiedyś nosiłam duży i ciężki portfel wypchany klepakami, który zajmował mi sporo przestrzeni w torebce, ale to już jest historia. Z saszetką jest bardziej ergonomicznie.

MGIEŁKA

Jest to woda z minerałami do twarzy w aerozolu. W podróży czy na planie miło orzeźwia.

SŁUCHAWKI

Nie wyobrażam sobie jechać pociągiem albo samochodem, nie słuchając muzyki.

MISKA/KARMA/WODA

Bo Felek musi coś jeść. Mój maltańczyk jest rewelacyjnym towarzyszem podróży. Gdy jedziemy pociągiem, to z reguły wykupuję mu bilet, dzięki czemu siedzi obok mnie na swoim fotelu. Felek jest wyjątkowy, bo nie wierci się ani nie szczeka... ale muszę przyznać, że zdarza mu się chrapać.

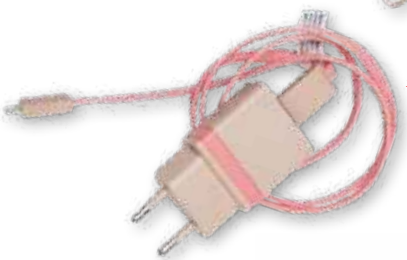

ŁADOWARKA

Musi być. Jeżdżę z nią absolutnie wszędzie, bo dla telefonu jest to totalny must have. Gdziekolwiek jestem, szukam kontaktów.

MAGNES

Na lodówkę. Przywożę je z moich zagranicznych wyjazdów. Ten pochodzi z ostatniej wycieczki do Rotterdamu.

DRES

Chodzę w nim normalnie na co dzień, dla równowagi od mojego zawodowego image'u, gdy jestem wystylizowana jak od linijki.

ZEGAREK

Punktualności nauczyłam się na dziennikarstwie. Gdy raz spóźniłam się na zajęcia, nie zostałam wpuszczona do sali. Jestem za to bardzo wdzięczna mojemu wykładowcy, który po lekcjach zapytał mnie: „A gdybyś miała program na żywo, czy też byś się spóźniła?".

NOTES

Lubię mieć go przy sobie, bo piszę dużo tekstów piosenek. Robię to dla siebie, dla przyjemności w przypływie natchnienia.

GITARA

Służy mi do komponowania. Mam ją od wielu lat, o czym mogą świadczyć pęknięcia i sklejone miejsca. Dostałam ja od mamy, gdy byłam dzieckiem.

TOREBKA

Superdesign projektantki Magdy Owczarek, który mnie zafascynował. Mimo że torebki Zisou są z... drewna, zachowują pełną funkcjonalność i nieskazitelną elegancję. Najlepszym dowodem jest to, że kobiety mnie zaczepiają na ulicy i pytają, co to za firma.

SOK

Od dziecka lubię pić soki i zawsze w walizce jest miejsce na naturalne witaminy w płynie.

Wysłuchał i zapisał:
Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f739b9f58a

OGNIEM NA WPROST

Jaka opozycja, takie autorytety

Euro trwa w najlepsze nie tylko dla przeciwników naszej drużyny. Myśmy w „starym dobrym stylu" przerżnęli mecz otwarcia i jeszcze tylko łomocik z Hiszpanią, pro forma ze Szwecją i do domu. Co innego Belgowie. Choć wygrali mecz z Rosją 3:0, nie obeszło się bez sromoty. Zgodnie z panującą na Zachodzie modą, by schlebiać lewacko przestępczej organizacji BLM (oficjalnie walka z rasizmem), przed pierwszym gwizdkiem sparingowego spotkania Belgów z Chorwatami na stadionie Heysel piłkarze gospodarzy uklęknęli na jedno kolano, wyrażając poparcie dla walki z rasizmem. Z tego gestu zrezygnowali natomiast Chorwaci. To zachowanie zostało zauważone przez media chyba bardziej niż sam wynik meczu. Niepomni niczego zawodnicy „Czerwonych Diabłów" pojechali do Rosji na mecz z tamtejszą reprezentacją i... znowu uklękli. To, co się działo na trybunach, tego nie da się odzobaczyć. Feeria gwizdów wstrząsała stadionem tak długo, aż Belgowie nie wstali i zaczęli się zachowywać normalnie. Jedyne, co można dobrego powiedzieć o naszej reprezentacji, jak na razie, to to, że nie „walczą z rasizmem" poprzez klękanie na jedno kolano.

W związku z nadchodzącą debatą amerykańskich biskupów nad istotą Eucharystii papież Franciszek odmówił prezydentowi USA Joemu Bidenowi udziału w porannej papieskiej mszy św. – informuje Catholic News Agency. Oficjalnym powodem odmowy miała być niechęć Franciszka do wzbudzenia kontrowersji przed rozpoczęciem obrad. Spotkanie biskupa Rzymu i prezydenta USA miało się odbyć 15 czerwca. Administracja Bidena zwróciła się z prośbą o jego uczestnictwo w porannej mszy odprawianej przez papieża. Propozycja została odrzucona przez Watykan po rozważeniu wpływu, jaki miałoby przyjęcie komunii św. przez Bidena od papieża na dyskusje, które zamierza przeprowadzić USCCB (amerykański odpowiednik episkopatu). Podczas jego obrad ma być głosowany dokument o „koherencji eucharystycznej". Dotyczy on katolickiej nauki na temat przyjmowania komunii św. oraz odmowy jej udzielenia politykom, którzy sprzeciwiają się zasadniczym elementom nauczania Kościoła. Jak Bidena poczęstował czarną polewką namiestnik Chrystusa na ziemi, to pojechał do Genewy spotkać się z Księciem Ciemności. Jedną nogą w księżej oborze, a jeszcze cwaniakuje.

W rozmowie z Mikołajem Lizutem na antenie radia Tok FM wziął udział jeden z głównych przedstawicieli elektoratu „spod budki z piwem", muzyk Maciej Maleńczuk. Swoje uwagi (mądrości) wypowiadał w kontekście porozumienia Kukiz'15–PiS. „Patrzę na to z lekkim przerażeniem" – zaczął Maleńczuk. „Zastanawiam się, co to będzie, jak któregoś dnia Paweł zechce powrócić na scenę. Jak to będzie, gdy przyjdzie do garderoby przybijać piątki z kolegami. Nie widzę tego, zamknął sobie tę drogę, całkowicie spalił ten most. Pawłowi Kukizowi powinno się teraz zaproponować występ w reklamie... wazeliny" – dodał wokalista. Osobiście dorzucę, że bardziej pasuje mi „lans na patriotów" à la Kukiz niż obsikiwanie i bicie katolików (demonstracja pro-life Kraków) w wykonaniu Maleńczuka. Ale jaka opozycja, takie autorytety.

Odezwała się Danuta Wałęsa, niesłyszana od czasu pamiętnego monologu jej męża o piciu alkoholu w Magdalence, który brutalnie przerwała. Tym razem zrobiła to w stylu swojego męża Lecha, bo zapewne inaczej nie potrafi. „Był wsparciem i ostoją grupy, która organizowała to całe powstanie, i ja nawet mówiłam, że powinni bardziej pewne rzeczy popierać, mówić o nich. A teraz to, co się dzieje, to dla mnie jest koszmarem" – powiedziała o instytucji Kościoła. Ostro skrytykowała też o. Tadeusza Rydzyka, który dla niej nie jest żadnym księdzem. Dodała, że spotkała go w Fatimie w 1991 r. Stwierdziła: „Moim zdaniem to było tak, jakby Rydzyk był opętany". Jej zdaniem nie potrafił modlić się tak, jak trzeba. Dostało się też prezesowi. A jakże! „Kaczyński nie walczył z komuną. On jest teraz komunistą na 300 proc.". Danuta Wałęsa przypomniała w ten sposób czasy, kiedy jej mąż „wygrywał" permanentnie w totolotka i mogła sobie dzięki temu oglądać seriale na kolorowym ekranie nowego telewizora w trzypokojowym mieszkaniu na Stogach. Typowe wytykanie drzazgi w oku bliźniego, nie widząc belki w swoim. Powtórzę dobrą radę dla pani Danuty, której ona swego czasu udzieliła swemu mężowi: „Pomóż, kobieto, swemu mężowi zająć się rodziną, bo nie jest w niej najlepiej".

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f739b9f58a

Polski Ład i architektura

Marta Kaczyńska-Zielińska

Wdrożenie propozycji umożliwienia budowy domów o powierzchni do 70 mkw. bez czasochłonnych formalności niewątpliwie wzbudzi ogromne zainteresowanie inwestorów. Współczesna technologia budowy pozwala na wznoszenie budynków o niemałych powierzchniach w zaledwie kilka miesięcy. Spodziewać się zatem można, że Polski Ład w zakresie zagospodarowania przestrzennego może się stać w niedługim czasie widoczną i trwałą wizytówką okresu rządów PiS oraz koalicjantów.

Pomysł uproszczenia zawiłej ścieżki administracyjnej poprzedzającej wbicie łopaty pod budowę, tak by otworzyć drogę jak najliczniejszej grupie społeczeństwa do zamieszkania w stosunkowo niedrogich domach jednorodzinnych i nadanie nowej dynamiki rozwojowi tego rodzaju budownictwa, przywołuje skojarzenia z okresem dwudziestolecia międzywojennego. Po odzyskaniu niepodległości wznoszono wiele gmachów użyteczności publicznej i domów mieszkalnych. Dbano zarówno o funkcjonalność jednych i drugich, jak i styl zabudowy. Zwracano uwagę zarówno na kubaturę budynków, jak i detale. Funkcję architektury postrzegano przez pryzmat zaspokojenia potrzeb bytowych, szeroko rozumianych administracyjnych, kulturalnych i kulturotwórczych. W budownictwie mieszalnym i publicznym – takim jak m.in. dworce kolejowe – starano się uwidocznić styl narodowy, którego zasadniczym celem było spajanie społeczeństwa integrującego się na nowo po 123 latach zaborów.

Za charakterystyczny element stylu narodowego uznawano w okresie dwudziestolecia biały portyk kolumnowy parterowych dworów wyznaczający tzw. styl dworkowy. W Warszawie budowano zgodnie ze wspomnianą zasadą osiedla „profesorskie" i „oficerskie" – na podwarszawskim wówczas Żoliborzu, w Konstancinie, Podkowie Leśnej, Ząbkach wznoszono wille w tym stylu. Do stylu szlacheckich domostw oraz architektury renesansu i baroku nawiązywano w projektach budynków użyteczności publicznej, szkół oraz stacji kolejowych i szpitali. Styl dworkowy propagowano w m.in. w Gdyni, w Małopolsce, Wielkopolsce oraz na Kresach.

Budownictwo mieszkalne z okresu międzywojennego z założenia musiało być niedrogie. W Nowogródku i Baranowiczach osiedla urzędnicze wznoszono z drewna. We Lwowie istniała fabryka produkująca prefabrykaty drewniane przeznaczone do złożenia w dowolnym miejscu w domy dwu- lub kilkurodzinne. Na nowo wybudowanych osiedlach (nazywanych koloniami) wyznaczano szerokie trawniki, sadzono drzewa, projektowano skwery i tereny rekreacyjne.

Według najnowszych statystyk około 56 proc. Polaków mieszka obecnie w domach jednorodzinnych. W porównaniu z 2006 r. widać w tym zakresie wyraźną zmianę, bo w tamtym okresie większość z nas mieszkała w blokach. Pod tym względem nie różnimy się prawie od średniej europejskiej. Na terenie UE odsetek obywateli zamieszkujących domy jednorodzinne wynosi 58 proc.

Współczesna architektura domów jednorodzinnych w Polsce stanowi wypadkową naszej skomplikowanej historii. Licznie występujące domy kostki, nazywane przez niektórych „sześcianami mazowieckimi", to relikt lat 70. i 80. Wybudowane z pustaków wątpliwej urody domy stanowią wyzwanie dla architektów, którzy powiększając otwory okienne, dobudowując tarasy, zmieniając elewacje potrafią przeobrazić ich oblicze zgodnie ze obowiązującymi dzisiaj trendami. Podróżując przez Polskę, można natrafić na styl wiejski, styl śródziemnomorski (biele, wypłowiałe pastele, cegła, kamień), a także liczne, bardziej i mniej udane, nawiązania do stylu klasycznego, obfitującego w pilastry czy geometryczne uwypuklenia bryły na ich krawędziach i poziome wgłębienia pokryte niestety nierzadko odważnie dobranymi barwami kontrastującymi z otoczeniem i skutecznie burzącymi jego ład.

Nowo powstające, niewielkie, ale z pewnością niebawem licznie rozsiane po Polsce domy zaprojektowane według przemyślanych, estetycznych kanonów mogłyby nie tylko służyć zamieszkującym je rodzinom, lecz także pięknie wzbogacić naszą przestrzeń, nadając jej subtelnie wyróżniający się styl.

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 13 czerwca 2021 r. zmarł w Lublinie

ŚP

PŁK MARIAN HENRYK PAWEŁCZAK
PS. „MORWA"

urodzony 13 maja 1923 r. w Stasinie. Od czerwca 1943 r. żołnierz Armii Krajowej na Placówce Urzędów w Obwodzie Kraśnik Lubelskiego Okręgu AK.

Służył w patrolu Kedywu AK Lublin w składzie oddziału Hieronima Dekutowskiego „Zapory".
Podczas Akcji „Burza" uczestniczył w walkach pod Krężnicą Okrągłą, Bogucinem, w Pustelni k. Opola Lubelskiego i pod Kożuchówką.

Od stycznia 1945 r. żołnierz Ruchu Oporu Armii Krajowej, a następnie Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość".
Walczył pod dowództwem „Zapory" przeciwko oddziałom UB i NKWD w Wólce Kępskiej, Kazimierzu Dolnym, pod Kijanami, Świtakami, Ostrowami Tuszowskimi, Świnkami k. Janowa Lubelskiego, w Bełżycach oraz Moniakach k. Kraśnika.

Od kwietnia 1951 do grudnia 1954 r. więziony na Zamku Lubelskim, we Wronkach, Opolu i Strzelcach Opolskich.

Uhonorowany Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Armii Krajowej, Medalem Pro Bono Poloniae oraz innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

38/0621/F

eprasa.pl f739b9f58a

Dwa tajne raporty w jednej sprawie

Jerzy ***Jachowicz***

Zaprzyjaźnionemu z nami tygodnikowi „Peryskop Parlamentarny" udało się rozszyfrować dwie depesze przesłane w technologii „molekularnej fizyki kwantowej".

Oto ich przedruk:

I Donald Tusk (do rąk własnych, szyfr DT/a special person)

Stan partii na pierwszą połowę kwietnia 2021 (Na horyzoncie widnieje sukces)

a) Wbrew obiegowym opiniom – kolportowanym z upodobaniem przez wrogie nam media – Platforma Obywatelska ustabilizowała i skonsolidowała swoje szeregi. Przewiduję, że intensywność obydwu tych pozytywnych zjawisk powiększy się znacznie po likwidacji części mediów publicznych, w tym TVP Info.

b) Moje wysiłki integracji pod hasłem „Jedność w różnorodności" przynoszą oczekiwane owoce. Wymagało to ode mnie olbrzymiej determinacji w pozbyciu się z partii rzekomych reformatorów, a w istocie groźnych sabotażystów, którzy chcieli przechwycić władzę. Korzystając z mojej krótkotrwałej niedyspozycji w zakresie życia uczuciowego, próbowali podłożyć ładunki grożące wysadzeniem mnie oraz partii w powietrze. Po ich usunięciu powoli, ale systematycznie rośniemy w siłę, a wraz z nią wzrasta nasza pozycja faktycznego przywódcy na stronie opozycji.

Przewodniczący Borys Budka.

II Wyłącznie do wiadomości Donka (z pominięciem – zaufanie – Pawła Grasia – gwiazdozbiór Byk)

Katastrofa. Każdy ruch B.B. to nieszczęście. Teraz jeszcze ten Grodzki, malowany marszałek. Do zarządu!

#Ja cię ostrzegam, jak nie zmienisz B.B., mimo wszelkich słabości, w jakiej teraz Platforma się znajduje, ciągle jednak jeszcze żywą partię zakopie do grobu.

Jeśli zależy ci, żeby ten tani pajac z TVN nie zajął miejsca naszej partii, co przy jego sprycie i absolutnym cynizmie wchodzi w grę, a z wiadomych powodów Ty nie możesz zastąpić B.B. (ten Graś robi ci tylko mętlik w głowie), nie muszę ci mówić, kto poza Tobą mógłby, a nawet powinien wrócić na właściwe miejsce.

Grzegorz z Wrocławia

Polskie ślady w akwareli

Z Tytusem Brzozowskim, architektem, malarzem, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Instytut Polonika zamówił u pana cykl akwareli. Od kilku dni możemy je oglądać na warszawskiej wystawie i w sieci. O czym mowa?

Tytus Brzozowski: Chociaż główną bohaterką moich prac jest Warszawa, to w ostatnich latach zostałem zaproszony do przygotowania dwóch ważnych dla mnie serii malarskich. Dla Polskiej Organizacji Turystycznej powstało 16 obrazów naszych miast, które wspierają promocję turystyki w Polsce na największych targach zagranicznych. Z kolei we współpracy z Instytutem Polonika przygotowałem cykl „12 miast". Ma wysłać w świat sygnał obecności elementów kultury polskiej za granicą. Jeszcze w tym roku trafi na wystawy do Rapperswilu i Chicago.

W centrum „portretu" Chicago umieścił pan rozpoznawalny warszawski element.

Jedna z wież Copernicus Center jest wierną kopią wieży zegarowej Zamku Królewskiego. A „Chicago" było w ogóle pierwszą pracą, która powstała w tej serii, bo to miasto niezwykle ważne dla całej akcji.

Skąd u pana potrzeba przekształcania miejskich panoram, zagęszczania ich ujętymi surrealistycznie elementami i „dobarwiania" energetyczną paletą kolorów?

Taki jest mój program artystyczny. Korzystam z różnych elementów, które znajdują się w danym mieście (bądź tam się znajdowały, bo wprowadzam do obrazów również obiekty, których już nie ma lub które bardzo się zmieniły). Łączę je, tworząc nowe krainy i światy, które mimo że baśniowe, pozostają lokalne.

W podróż przez „12 miast" zapraszamy do cyklu „Moje szlaki" s. 90

Reklama | 15/0621/F

Fot. Instytut Polonika

eprasa.pl f739b9f58a

PIŁKA
PO TWOJEJ STRONIE

TANKUJ
KUPUJ
ZDOBYWAJ

Promocja trwa od 8.06 do 9.08.2021 r. lub do odwołania.
Szczegóły, lista stacji biorących udział w promocji oraz regulamin dostępne na stacjach LOTOS oraz na pilki.lotos.pl.
Organizator: LOTOS Paliwa Sp. z o.o., 80-718 Gdańsk, ul. Elbląska 135.

LOTOS

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

nasz sondaż

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

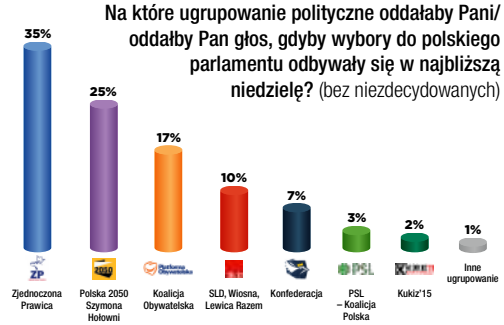

Czy szczepiła się Pani/szczepił się Pan już przeciwko koronawirusowi?

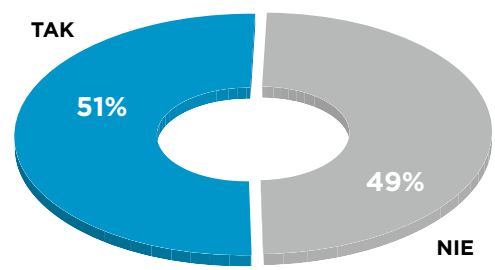

Czy zamierza zaszczepić się Pani/Pan przeciwko koronawirusowi? (osoby niezaszczepione)

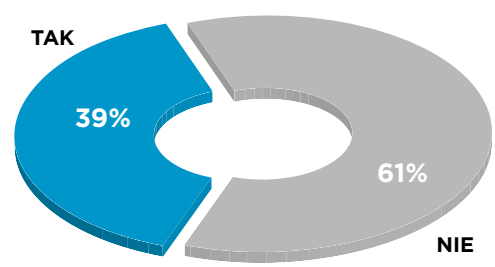

Czy według Pani/Pana Polska powinna wspierać opozycję na Białorusi walczącą z rządami Aleksandra Łukaszenki?

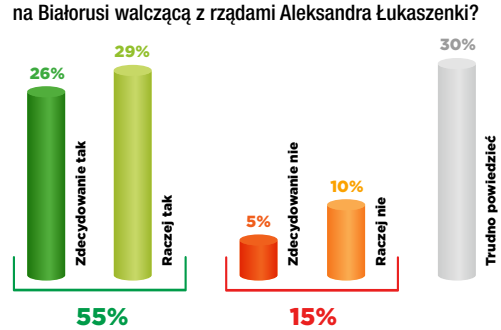

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1068.

Zakres czasowy badania 11–14 czerwca 2021 r.

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, JANUSZ ŻYCHOWICZ
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR x2, RAFAŁ GAGLEWSKI/REPORTER, MPW, ARCH. PRYWATNE, SHUTTERSTOCK x4

Reklama | 35/06/21F

eprasa.pl f739b9f58a

Polska Niezwykła na wakacje

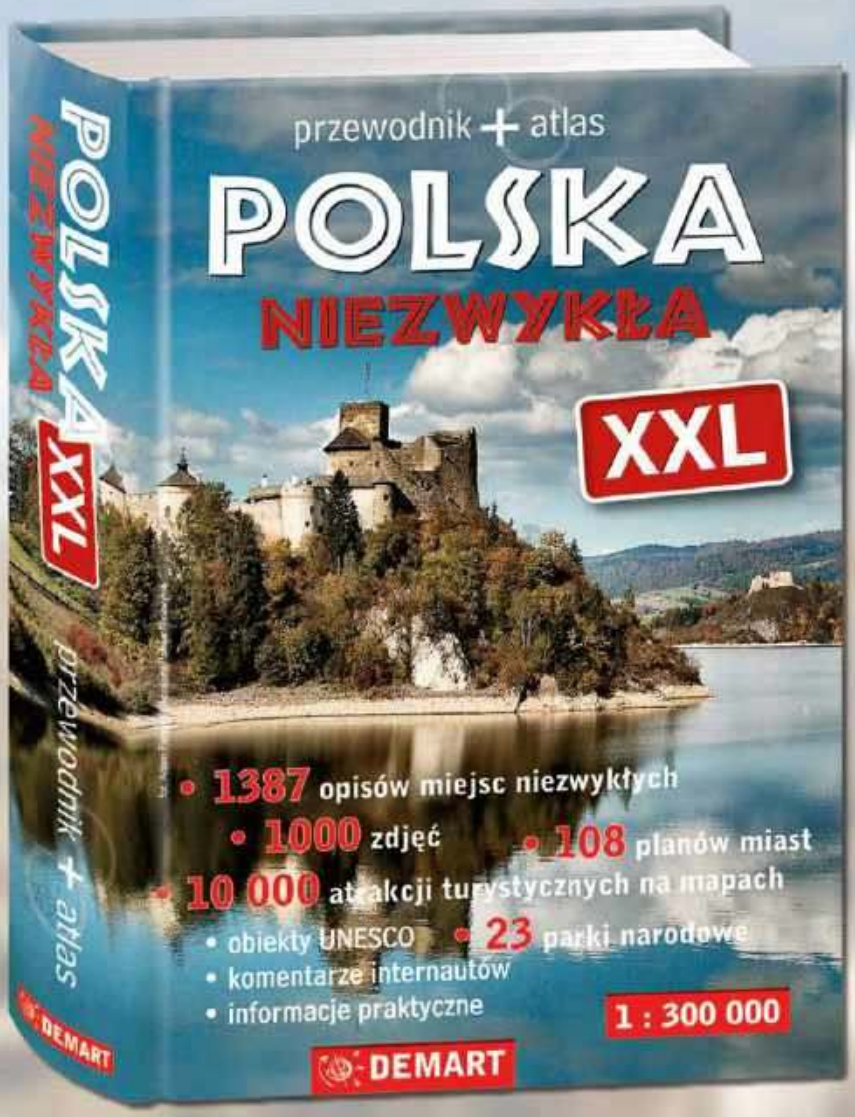

DEMART

polecamy również:

www.demart.com.pl

eprasa.pl f739b9f58a

Specyfika tych działań jest taka, że nikt nikogo za rękę nie złapie, ale poszlaki są jednoznaczne. Rosja prowadzi z Polską cyberwojnę i właśnie jesteśmy świadkami kolejnej jej odsłony. Eksperci tym razem nie uspokajają, hakerskie włamanie na skrzynkę szefa KPRM to jeszcze nie koniec

To jest atak na Polskę

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Bez wątpienia po ataku na skrzynkę e-mailową Michała Dworczyka, szefa Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, możemy mówić o kryzysie na szczeblu państwowym. Trudno określić, jaka jest jego skala, służby – co zrozumiałe – nad tym pracują, choć – i to też należy przyjąć – informacji udzielać nie chcą. Jednak natłok niesprawdzonych doniesień i niezrozumiała satysfakcja polityków opozycji oraz sprzyjających im mediów pokazuje, że ktokolwiek stoi za hakerskimi działaniami, może się czuć usatysfakcjonowany.

NARADA ZA NARADĄ

W ubiegłym tygodniu drzwi do budynku KPRM prawie się nie zamy-

kały, a na parkingu brakowało miejsc. – Wciąż są narady i spotkania w różnych gronach. Ale temat jest jeden – osoba z otoczenia premiera nie chce zdradzać szczegółów, ale jest jasne, że wszyscy się zastanawiają, co jeszcze może „wypłynąć" z e-maila Dworczyka. „(...) część została wykradziona w wyniku ataku hakerskiego przeprowadzonego na skrzynki e-mail i konta w mediach społecznościowych należących do mnie i mojej rodziny. Już dzisiaj wiadomo, że część z ujawnionych informacji i rzekomych maili została spreparowana" – pisał Michał Dworczyk w pierwszym oświadczeniu. W kolejnym czytamy: „(...) traktuję ten atak jako jeden z elementów szeroko zakrojonych działań dezinformacyjnych (...) w skrzynce mailowej będącej przedmiotem ataku hakerskiego nie znajdowały się żadne informacje, które miały charakter niejawny, zastrzeżony, tajny lub ściśle tajny".

Skrzynka, o której pisze Dworczyk, to popularna wśród internautów poczta elektroniczna na serwerze wp.pl. Prawdziwe są informacje, potwierdzają nam to rozmówcy z kręgów służb specjalnych, że agresorzy „skutecznie uzyskali dostęp" do ok. 4,5 tys. kont. Pierwsze analizy wykazują, że szef KPRM nie był celem, ale złowiona jako część większej całości zawartość jego skrzynki okazała się przydatna do przeprowadzenia akcji dezinformacyjnej i destabilizacyjnej.

„(...) wyciek informacji (...) nie jest żadnym atakiem hakerskim. (...) Nie ma śladów włamania, ktoś wszedł na pocztę Dworczyka, znając jego login i hasło" – czytamy w gazecie Michnika, która usiłuje spłycać problem i sprowadzać go tylko do nieuwagi ministra. Jednak sposób, w jaki „rozgrywana" jest treść tych e-maili, wskazuje, że to szersza operacja. Te same nieprzychylne rządowi media kolportują i z pasją komentują kolejne pojawiające się na rosyjskim komunikatorze wrzutki. To oczywiście kuszące, ale jak zauważa w rozmowie z portalem tvp.info Kamil Basaj, prezes eksperckiej Fundacji INFO OPS Polska, „na chwilę obecną żadna redakcja nie jest w stanie stwierdzić, czy materiał, na który się powołuje, jest prawdziwy".

Wykorzystują to atakujący, do kilku redakcji już trafił filmik, który ma przedstawiać rzekomą rozmowę Michała Dworczyka z kolegą na jednym z komunikatorów. Jej obyczajowy kontekst jest absurdalny. Już na pierwszy rzut oka widać, że to fejk, ale przesuwa granice tak daleko, że na jego tle poprzednie wrzutki wydają się wiarygodne. To klasyka sowieckiego montażu, który szczegółowo opisywał Vladimir Volkoff.

DLACZEGO TERAZ

Michał Dworczyk to jeden z najbardziej zaufanych współpracowników premiera Mateusza Morawieckiego. Jest centralną postacią urzędu przy Al. Ujazdowskich. Teraz jego największym zadaniem jest koordynacja Narodowego Programu Szczepień, ale uczestniczy we wszystkich projektach rządu. Rzeczywiście część korespondencji prowadził z prywatnej skrzynki e-mailowej, pisał i otrzymywał informacje od wielu ważnych osób w państwie. Zapewne dlatego atak skupił się na nim. A media i politycy opozycji z niezdrowym wzmożeniem liczą na to, że na rosyjskim komunikatorze pojawi się cokolwiek, co obóz władzy mogłoby zdyskredytować. Nie ukrywają, że liczą na „aferę jak od Sowy & Przyjaciół".

> Jaki jest „odpowiedni moment" na próbę kompromitowania członków rządu? – Najlepszy oczywiście przed wyborami. Teraz możemy mieć do czynienia tylko z sondowaniem tematu, balonami próbnymi. Zresztą nie pierwszy raz

To kontekst wewnętrzny, który jest ważny, ale musi być także uzupełniony o partyjne plany. Od ważnych polityków opcji rządzącej słyszymy o „nowej układance", która ma zostać ogłoszona po zjeździe PiS. Mówi się o tym, że Mariusz Błaszczak ma zostać pierwszym wiceprezesem, a dla Michała Dworczyka, który dał się poznać jako solidny i lojalny polityk, przewidziano miejsce na fotelu szefa MON (w przeszłości był wiceministrem). Teraz jasne jest, że nadszarpnięte zaufanie może być kłopotem i ten plan najprawdopodobniej nie zostanie zrealizowany. Nasi wrogowie pewnie zacierają ręce. Przypadek? Być może, ale doskonale wpisujący się w kontekst międzynarodowy. Polska zwiększa nakłady na rozbudowę systemu obrony przed agresją ze Wschodu, jest liderem flanki NATO. Stacjonujący na naszym terenie Amerykanie są kluczowym elementem odstraszającym wroga. Komu to przeszkadza?

To dlatego Paweł Soloch, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego, w telewizji wPolsce.pl mówił: „To nie atak na PiS, to atak na Polskę. Atakującym chodzi o to, by łamać zaufanie do władzy, do armii. To duża odpowiedzialność i polityków, i mediów, by nie rezonować tej propagandy".

Dlatego nie można bez niesmaku przyjmować wypowiedzi niektórych przedstawicieli opozycji. Gdy premier wystąpił z wnioskiem o utajnienie obrad Sejmu, by przedstawić informację o skali ataku, natychmiast, nie wiedząc przecież, co usłyszy, zaprotestował szef PO Borys Budka. Natomiast były szef MON Tomasz Siemoniak, pisząc w trybie przypuszczającym, „jeśli ta korespondencja jest prawdziwa...", podawał dalej znalezione na rosyjskiej stronie treści i z pasją wzywał „do dymisji!". Pokazał tym samym, że interesuje go tylko partyjna wojenka, bez uwagi na zagrożenie z zewnątrz, które przecież dobrze zna. A przynajmniej powinien.

We wzmocnienie propagandy zaangażowały się też media. Potęgowanie chaosu to ostatnio specjalność Onetu, według którego wicepremier Jarosław Kaczyński miał stwierdzić z mównicy, że Rosja ma przygotowane plany inwazji na Polskę, a ostatnie cyberataki mogą być tego dowodem. Inni posłowie,

Fot. Jan Bielecki / EastNews, Shutterstock

choćby Krzysztof Bosak z opozycyjnej Konfederacji, stanowczo te sensacje zdementowali. TVN24.pl podał natomiast, że przed takimi atakami od miesięcy miały nas ostrzegać służby izraelskie. Zapytaliśmy o to w Kolegium ds. Służb Specjalnych. To nieprawda. Dla kogo pracują portale rozsiewające takie fejki?

To wszystko dzieje się w czasie, gdy dowiedzieliśmy się, że amerykański prezydent nie będzie już tak restrykcyjny wobec firm budujących niemiecko-rosyjski gazociąg Nord Stream 2, co bezpośrednio godzi w polskie interesy. Na szczycie NATO co prawda Joe Biden spotkał się z prezydentem Andrzejem Dudą i podtrzymał wolę udziału US Army w ochronie wschodniej flanki sojuszu, ale po spotkaniu z Władimirem Putinem jego przekaz nie był już tak jednoznaczny. Spodziewano się bardziej stanowczej postawy wobec Rosji, która tylko czeka na jakikolwiek przejaw słabości czy niekonsekwencji. Choć rezydujący na Kremlu władca największego państwa świata obraca wszystko w żart, to faktem jest, że cyberataki z tej strony świata przeprowadzono np. podczas amerykańskich wyborów albo w czasie, gdy decydowała się przyszłość Wielkiej Brytanii w UE lub poza nią.

PAŃSTWO W PUŁAPCE

Bez wątpienia cyberatak, który trafił teraz w Polskę, jest ogromnym kłopotem dla całego rządu, uderza nie tylko w ministra Dworczyka. Nie on jeden używał prywatnej skrzynki w tej korespondencji. – Gdzieś popełnił błąd, co do tego nie ma wątpliwości. I co teraz? Jesteśmy w pewnej pułapce. Nie można odwołać Dworczyka, bo byłoby to działanie na rękę agresorom, a poza tym wcale na to nie zasłużył – to on jest tu ofiarą. Natomiast pozostawienie go na stanowisku oznacza ewentualność kontynuacji serialu z ujawnianiem kolejnych e-maili. To zawsze będzie osłabiać ministra i cały rząd. I nie za bardzo mamy narzędzia, by się przed tym bronić.

> Polska zwiększa nakłady na rozbudowę systemu obrony przed agresją ze Wschodu, jest liderem flanki NATO. Stacjonujący na naszym terenie Amerykanie są kluczowym elementem odstraszającym wroga. Komu to przeszkadza?

Padają pytania: dlaczego nie zapobieżono takim wydarzeniom? Uczciwie trzeba jednak przyznać, że służby nie miały takiej możliwości, nie mogą pilnować prywatnych skrzynek ministrów. Nie mają do tego żadnych kompetencji i byłoby to poważne naruszenie prywatności. Warto też dodać, że żadne przepisy nie zostały złamane przez Michała Dworczyka ani innych urzędników. Higiena pracy na wysokich stanowiskach państwowych – owszem. To trudno usprawiedliwić.

– Logowanie się do skrzynki e-mailowej na bezpiecznym sprzęcie za pomocą specjalnych kluczy, tokenów, jest kłopotliwe, czasochłonne. Zwłaszcza w przypadku kogoś, dla kogo e-mail jest podstawowym narzędziem do zarządzania państwem – słyszymy od jednego z członków rządu. Osoba ta podkreśla jednak, że mówimy o czasie pandemii: – Część tej korespondencji była prowadzona w okresie, gdy rzadko spotykaliśmy się osobiście, więc wszystkie decyzje musiały być pilnie konsultowane zdalnie. Bywało, że liczyły się minuty.

Inny polityk zajmujący się bezpieczeństwem państwa zwraca naszą uwagę na modus operandi takich ataków: – Cały czas się zastanawiam, czy te „mocne" rzeczy, które znaleźli, już zobaczyliśmy czy dopiero ujrzymy? Nie wierzę, by to był koniec. Myślę, że jesteśmy na początku tej operacji. Hakerzy mogą mieć „złowioną" znaczniejszą postać niż Michał Dworczyk, ale „odpalą" ją w odpowiednim momencie.

Jaki jest „odpowiedni moment" na próbę kompromitowania członków rządu? – Najlepszy oczywiście przed wyborami. Teraz możemy mieć do czynienia tylko z sondowaniem tematu, balonami próbnymi. Zresztą nie pierwszy raz.

To prawda. Przed rokiem na naszych łamach zwracał na to uwagę Stanisław Żaryn, dyrektor Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego w KPRM, mówiąc, że wojna informacyjna już

trwa, a Rosjanie „W naszym komputerze i smartfonie są od dawna i robią swoje". – Niedawno na jednej z anglojęzycznych stron pojawił się wywiad, który rzekomo miała przeprowadzić jedna ze znanych polskich dziennikarek z amerykańskim generałem. Taka rozmowa nigdy się nie odbyła. Ale czytelnikom rzekomo w imieniu ważnego sojusznika Polski zaserwowano przekaz, że nasze wojsko do niczego się nie nadaje, a Litwa, Łotwa i Estonia to kraje już w zupełnej zapaści, z którymi nie należy współpracować, bo nie wywiązują się z żadnych zobowiązań. (...) Ten sposób działania w szczególnym natężeniu obserwujemy od momentu rozmieszczenia wojsk amerykańskich w Polsce. Przypomnijmy, że do ataku hakerskiego doszło w ubiegłym roku, gdy rozpoczynały się międzynarodowe ćwiczenia „Anakonda". Mieszkańcy okolicznych gmin mogli przeczytać informację, że „armia amerykańska będzie ich siłą wysiedlać, bo musi zapewnić mieszkania dla żołnierzy".

To nieco inny element rosyjskich cyberataków, ale wpisujący się w ten sam cel: destabilizację w Polsce i podmywanie jej bezpieczeństwa.

NAJGORSZE PRZED NAMI

– Tego typu operacje są kapitalnym materiałem dla analityków. Jak reaguje polskie społeczeństwo, jak zachowuje się opozycja, czy rząd traci zimną krew, czy polskie media połykają haczyk obcych służb? – słyszymy od funkcjonariusza służb. – Ci, którzy za tym stoją, zapewne pilnie sprawdzają, kto wchodzi na te profile na Telegramie, przez które wycieka zawartość skrzynki szefa KPRM.

> Nasi rozmówcy kreślą mało optymistyczne scenariusze: – Każda kolejna dezinformacja ładnie się rozejdzie, bo nasza opozycja i media natychmiast łapią takie wrzutki i próbują ugrać na nich coś dla siebie. Hakerzy i ludzie za nimi stojący zyskali potencjalnie niezłe narzędzia do kompromitowania polskich polityków

Trwa mapowanie użytkowników zainteresowanych tematem, aby lepiej wiedzieć, do kogo adresować kolejne tego typu akcje.

Według relacji niektórych posłów w czasie ubiegłotygodniowego niejawnego posiedzenia Sejmu Jarosław Kaczyński zapowiedział pilne zmiany w prawie chroniące Polskę przed atakami w sieci. Najprawdopodobniej chodzi o nową ustawę o Krajowym Systemie Cyberbezpieczeństwa, lecz jest ona dopiero w fazie roboczego procedowania w rządzie. Jednak nie uchroni nas ona przed atakami takimi, jak ten na ministra Dworczyka, ani przed ich skutkami.

A te mogą być olbrzymie. Nasi rozmówcy kreślą mało optymistyczne scenariusze: – Każda kolejna dezinformacja ładnie się rozejdzie, bo nasza opozycja i media natychmiast łapią takie wrzutki i próbują ugrać na nich coś dla siebie. Hakerzy i ludzie za nimi stojący zyskali potencjalnie niezłe narzędzia do kompromitowania polskich polityków. I co najgorsze – do werbunku agenturalnego. Nietrudno sobie wyobrazić, że nieostrożny urzędnik, którego skrzynka e-mailowa zostanie przejęta, otrzyma propozycję: jeśli nie chcesz podzielić losu Dworczyka, którego tak grillujemy, możesz z nami współpracować.

Wielokrotnie w czasie rozmów o tej sprawie usłyszeliśmy zdanie „Możliwości atakujących są teraz nieograniczone".

Jeszcze więcej dają do myślenia słowa eksperta ds. służb specjalnych politologa dr. Rafała Brzeskiego z wywiadu dla portalu wPolityce.pl: „Obawiam się jakiejś potężnej prowokacji rozdmuchanej medialnie do nieproporcjonalnych rozmiarów. Prowokacji pełnej dezinformacji i insynuacji zohydzających Polskę i czyniących z niej wyrzutka społeczności międzynarodowej. (...) To, co się wokół nas dzieje, to swoista cyberinwazja, która nie jest zaskoczeniem, ale do której jesteśmy w najlepszym razie słabo przygotowani".

Fot. Shutterstock

Smoleńsk to „Katyń 2”

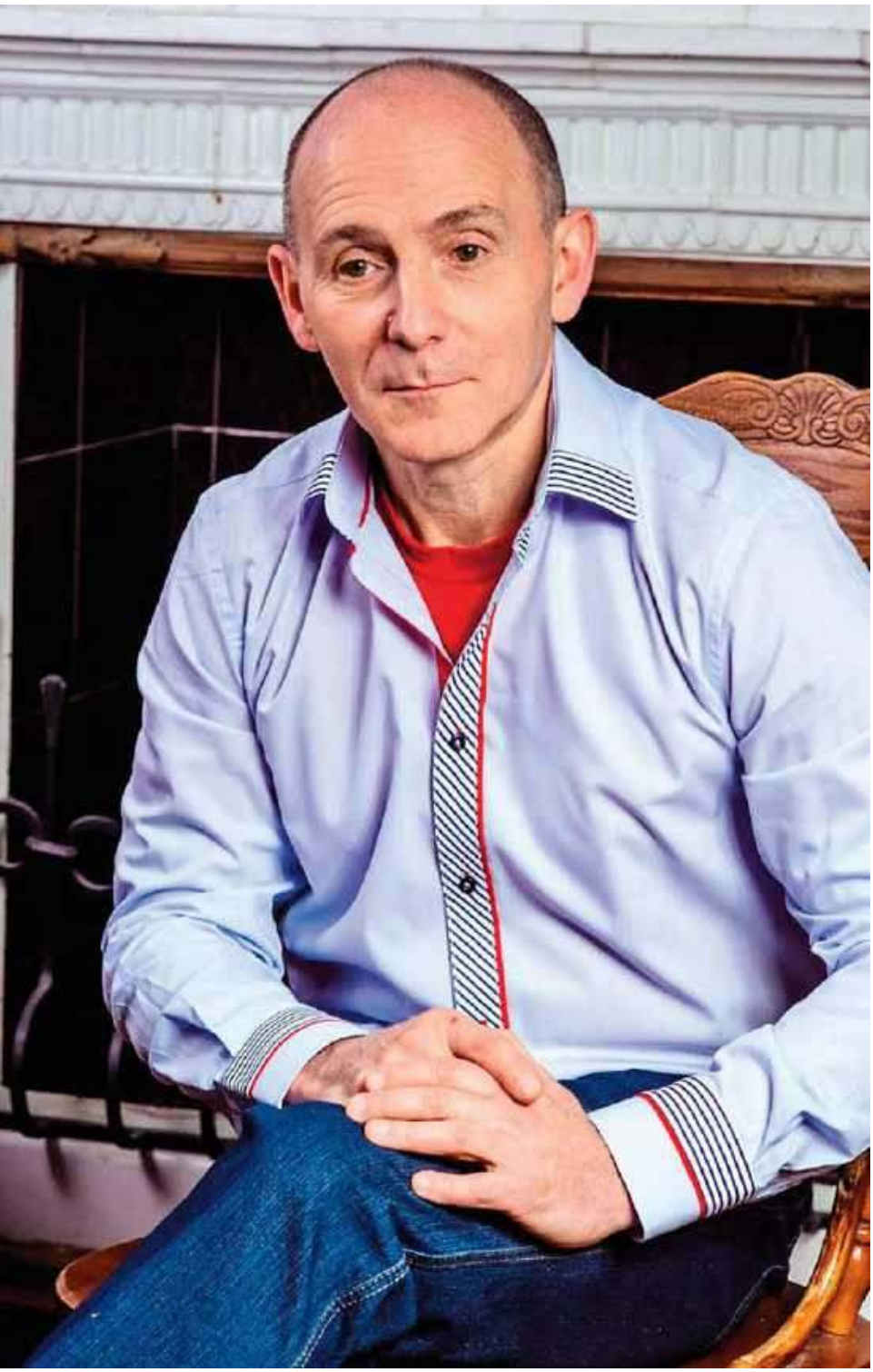

Jego filmy o katastrofie smoleńskiej oglądają w internecie miliony Rosjan. Raportom MAK i komisji Millera zarzuca poważne kłamstwa i oderwanie od podstawowych praw fizyki. Chłodno i precyzyjnie dowodzi, że 10 kwietnia 2010 r. doszło do aktu terrorystycznego

Z Markiem Sołoninem
rozmawia Marek Pyza

Na początek wyjaśnijmy tym czytelnikom, którzy być może pana nie znają: ma pan na koncie kilka książek (wydanych m.in. także w Polsce) odkłamujących historię Związku Radzieckiego w czasie II wojny światowej. Wiktor Suworow mówił o panu: „Godny jest, by kłaniać mu się do ziemi”. Działał pan w demokratycznej opozycji w ZSRR. Ale co najistotniejsze w naszej rozmowie, jest pan inżynierem lotnictwa i przez sześć lat pracował jako konstruktor samolotów. Kiedy i dlaczego zainteresował się pan tym, co naprawdę wydarzyło się w Smoleńsku?

Mark Sołonin: Dobrze pamiętam ten zimny wiosenny dzień i pierwsze doniesienia mediów. Nic jeszcze nie było jasne i niewiele było wiadomo, ale kiedy powiedziano, że zginęli WSZYSCY, którzy byli na pokładzie, od razu

eprasa.pl f739b9f58a

przyszły mi na myśl słowa „Katyń-2". Samoloty z prezydentami nie spadają same z siebie. Zwłaszcza nie samolot z polskim prezydentem, który leciał do kraju rządzonego przez czekistów, do miejsca śmierci tysięcy Polaków zamordowanych przez czekistów.

Z drugiej strony muszę wyznać, że w ogóle nie śledziłem przebiegu dochodzenia. Od czasu do czasu wyłapywałem echa gorących dyskusji w blogosferze, ale nie zagłębiałem się w nie. Dlaczego? Nie przyszło mi do głowy, że ślady zbrodni będą ukrywane nieudolnie. Na poziomie podświadomym zakładałem, że w takim przypadku zachowane zostaną szczególne ostrożność i konspiracja. Dopiero w 2019 r., kiedy po raz pierwszy zapoznałem się z raportem anonimowej grupy rosyjskich śledczych o pseudonimie Flanker20, uświadomiłem sobie, że wszystko jest tam szyte grubymi nićmi. Trudno było mi w to uwierzyć, więc ponownie przeczytałem cały 200-stronicowy raport MAK. Mogę jedynie powtórzyć to, co już wcześniej napisałem i powiedziałem: oficjalne sprawozdanie MAK jest nie tylko absurdalne, ale wręcz śmiesznie absurdalne. Czuję się, jakby się uśmiechali i mówili jak w filmie Barei: „Tak, kłamiemy wam w żywe oczy. I co nam zrobicie?"

Na pana kanale na YouTubie znajdziemy kilka filmów z ostatnich tygodni poświęconych naszej narodowej tragedii. Dwa z nich, te kluczowe, są również przetłumaczone na język polski. Po co ten zabieg, co chce pan powiedzieć Polakom o 10 kwietnia 2010 r.?

Nigdy nie myślałem o tym jako o „polskiej tragedii". To znaczy tak, ma pan całkowitą rację, ale takie sformułowanie nigdy nie przyszło mi do głowy. Dla mnie to, co się stało w Smoleńsku, jest zbrodnią popełnioną na terytorium Rosji, przynajmniej przy współudziale rosyjskich struktur państwowych. A to, że taki horror ma miejsce 30 lat po tym, co wydawało się nam „upadkiem reżimu komunistycznego", czyż nie jest to tragedia Rosji?

To, co nagrałem i opublikowałem na swoim kanale na YouTubie, jest skierowane przede wszystkim do rosyjskich widzów. Jednocześnie przypominam, że nie prowadziłem własnych badań, nie byłem na miejscu katastrofy i nie rozmawiałem z naocznymi świadkami. Po prostu siedząc w domu, dokładnie przestudiowałem dostępne dowody z dokumentów. Uważam, że moje kwalifikacje inżyniera lotnictwa są wystarczające do zrozumienia tego, co przeczytałem. Sądząc po reakcji, taka informacja, przestudiowana przez inżyniera i opowiedziana ludzkim językiem, jest dla ludzi interesująca i potrzebna.

Oficjalne sprawozdanie MAK jest nie tylko absurdalne, ale wręcz śmiesznie absurdalne. Czuję się, jakby się uśmiechali i mówili jak w filmie Barei: „Tak, kłamiemy wam w żywe oczy. I co nam zrobicie?"

Jakie były reakcje na pana filmy? Widzów, ale też władz Rosji – czy otrzymał pan jakieś sygnały, że to, co na nich opowiada, może być dla pana niebezpieczne?

To jest śmieszne. Nie sądzę, że te władze będą wysyłały mi jakieś sygnały. Zrobią ze mną to, co uznają za stosowne, tzn. co będzie dla nich użyteczne. Jedyną rzeczą, którą mogę zrobić, aby to zmienić, jest próba nadania moim publikacjom jak największego rozgłosu. Jeśli chodzi o reakcję widzów, to można ją wyrazić w takich liczbach: 2,383 mln wyświetleń (łącznie dla filmów poświęconych katastrofie w Smoleńsku) i 29,5 tys. komentarzy – i to tylko na moim kanale na YouTubie. Jednak najbardziej interesującą liczbą jest zero. Tak jest, zero – żaden rosyjski urzędnik państwowy, żaden rosyjski ekspert lotniczy, żadna osoba spośród tych, które brały udział w organizacji lotu i badaniu katastrofy, żaden pracownik MAK nie wypowiedział się ani jednym słowem!

Prześledźmy zatem główne wątki techniczne, na które zwraca pan uwagę w swoich wystąpieniach. Podkreśla pan, że raport MAK – a w ślad za nim raport komisji Millera – zaprzeczają podstawowym prawom fizyki. I demaskuje twierdzenia o przeciążeniu 100 g, które rzekomo pozbawiło życia pasażerów.

Tak, tu właśnie dochodzimy do sedna sprawy. Można się spierać do woli – kto co myślał, kto czego chciał, kto na kogo moralnie naciskał. Można w nieskończoność rekonstruować trajektorię ostatnich sekund lotu. W całym tym chaosie, mgle informacyjnej jest tylko jeden oczywisty, niepodważalny fakt. Niestety, jest on bardzo smutny: 80-tonowy samolot długości 48 m zamienił się w 10 tys. kawałków (w rzeczywistości jest ich więcej, 10 tys. to tylko to, co zostało znalezione). Ani mgła, ani „pijany generał w kokpicie", ani błędy załogi – czymkolwiek one były (jeżeli w ogóle były!), nie mogły być przyczyną rozpadnięcia się 80-tonowej konstrukcji. W przyrodzie nie ma takiej mgły. Destrukcja jest powodowana przez jakąś siłę. Siła, jak się uczy nas w szkole, to wynik wzajemnego oddziaływania ciał. Zniszczenie lub odkształcenie elementów konstrukcyjnych wymaga wydatkowania znacznej energii, energia ta nie może spaść z księżyca. Co zaskakujące, te elementarnie proste myśli dostępne uczniowi szkoły średniej są odbierane przez opinię publiczną jako sensacyjne ujawnienie.

Zauważył pan, że w sprawozdaniu MAK stwierdza się, iż taką siłą było przeciążenie hamowania.

A co to oznacza? Albo bardzo gwałtowne hamowanie (takie, które nastąpiło w bardzo krótkim odstępie czasu), albo wybuch wewnątrz samolotu, niszczący jego konstrukcję. Nie sposób wyobrazić sobie trzeciej opcji. Przeciążenie hamowania o wartości 100 g oznacza w konkretnych liczbach przyspieszenie 980 m/s^2. Znana jest prędkość samolotu w ostatnich sekundach jego lotu.

eprasa.pl f739b9f58a

Wysoka dokładność w tym przypadku nie jest potrzebna, interesuje nas rząd wielkości. Tak więc, przy prędkości lotu 75 m/s (270 km/h) przyspieszenie 980 m/s² oznacza, że samolot zatrzymał się (prędkość spadła do zera) w ciągu 0,076 s. Jest to mniej niż czas ludzkiego mrugnięcia okiem. W ludzkiej percepcji 76 ms jest natychmiastowe. Czy to nie jest interesujące? 80-tonowy olbrzym, który poruszał się z prędkością najlepszych samochodów wyścigowych, zatrzymał się niemal natychmiast!

Czy to możliwe? Tak, to możliwe – jeśli samolot uderzy w pionową ścianę o nieskończenie dużej masie i nieskończenie dużej sztywności. Cóż, w przyrodzie nie ma czegoś takiego jak nieskończoność, więc można sobie wyobrazić uderzenie w pionową granitową skałę. Ale w bagnistym młodym lesie w pobliżu lotniska Smoleńsk Północny nie było granitowych skał. Nie było tam zupełnie nic, poza wątłymi brzozami i osikami.

Można oszacować rzeczywiste parametry hamowania samolotu, jeżeli zapamiętamy jeszcze jeden wzór z podręcznika szkolnego fizyki: przyspieszenie przy pełnym (aż do zera) hamowaniu oblicza się jako kwadrat prędkości podzielonej przez podwojoną drogę hamowania (= v2/2 s). Przy prędkości 75 m/s i przyspieszeniu 980 m/s, jak podano w sprawozdaniu MAK, droga hamowania wynosi 2,87 m. Trzy metry, żeby zaokrąglić. Takiej krótkiej drogi hamowania nie może być nawet przy uderzeniu w pionową granitową skałę. Dlaczego? Bo przednia część kadłuba złoży się w harmonijkę, a ten zgnieciony kadłub będzie zapewne dłuższy niż 3 m. Mówiąc poważnie, na zdjęciach i na schematach miejsca katastrofy widać, że szczątki samolotu zajmują SETKI metrów wzdłuż trajektorii jego ostatnich sekund ruchu (główna grupa szczątków leży na obszarze, który ma co najmniej 150–200 m długości). To znaczy, że nie możemy mówić o żadnym przeciążeniu 100 g. Przy takich parametrach spotkania z ziemią przeciążenie hamowania wyniosłoby ok. 1,5–2 g. Osoby przypięte pasami na swoich miejscach odniosłyby niewielkie obrażenia. Może ktoś miałby atak serca. Nic więcej.

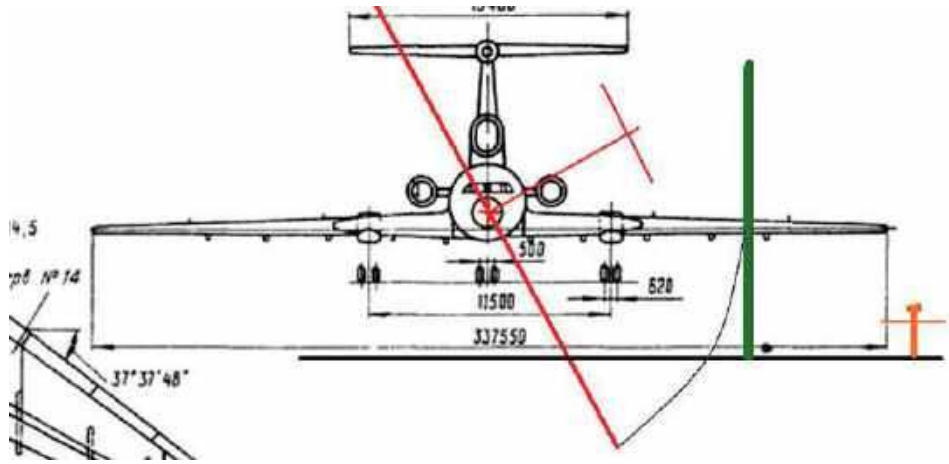

Pomówmy o rozrzuceniu szczątków ofiar – niektóre znajdowano jeszcze przed miejscem zderzenia tupolewa z ziemią; ciało jednej z ofiar wciśnięte w ścianę toalety w tylnej części samolotu, ubrania zerwane ze sporej części pasażerów, zwłaszcza tych, którzy znajdowali się w trzeciej salonce lub w jej pobliżu. Już po samej analizie tego, co stało się z osobami na pokładzie, powinniśmy pytać: co je zabiło?

Nie mam prawie nic do dodania do tego, co pan powiedział. Znalezienie ciał (lub ich fragmentów) bez ubrań nie pozostawia wątpliwości, że w kabinie samolotu doszło do eksplozji. Podobnie przemieszczanie się ciała jednej z ofiar (i to z ogromną prędkością) w kierunku przeciwnym do kierunku ruchu samolotu czyni wersję „przeciążenia hamowania" absolutnie niemożliwą – przy ostrym hamowaniu autobusu WSZYSCY pasażerowie i WSZYSTKIE rzeczy we wnętrzu lecą do przodu, nikt nigdy nie leci zaś do tyłu, przeciwnie do kierunku ruchu.

Ale skoro już jesteśmy przy tej, najbardziej mrocznej stronie katastrofy, nie mogę nie przywołać porażającej wypowiedzi Jerzego Millera, który w 2012 r., po tym jak anonimowi rosyjscy blogerzy zamieścili w internecie kilka zdjęć nagich szczątków ofiar (a zdjęcia te zostały natychmiast usunięte i wyczyszczone bez śladu), powiedział dosłownie: „Komisja nigdy nie zabiegała o zdjęcia, które by pokazywały ciała osób, które zginęły, gdyż sądziliśmy, że dla komisji nie byłyby przydatne. Nigdy tych zdjęć nie oglądałem i nie zamierzam ich oglądać, tym bardziej nie będę ich komentował". Po raz kolejny mówi o tym szef komisji śledczej! Były minister spraw wewnętrznych! Przykro mi, ale nie rozumiem, jak po takich wypowiedziach cała Polska się nie oburzyła.

Co z brzozą, na której samolot miał stracić skrzydło, się obrócić i uderzyć w ziemię? W Polsce niektórzy nazywają ją „pancerną", bo nikt wcześniej nie słyszał o drzewie, które niczym nóż przecina solidną konstrukcję skrzydła samolotu.

Osławiona „brzoza Bodina" nie ma nic wspólnego z katastrofą. Z dwóch powodów. Pierwszy z nich jest najprostszy: kiedy brzoza o średnicy pnia 30–40 cm (dokładnie taka wartość jest podana w raporcie) zderza się ze skrzydłem ogromnego samolotu (maksymalna masa startowa 100 ton, rozpiętość skrzydeł 37 m, wysokość przekroju profilu skrzydła w miejscu rzekomego „zderzenia" ok. 35 cm, długość rzekomej „linii cięcia skrzydła" ok. 3,7 m), brzoza się łamie. Kropka. Jeśli komuś trzeba to udowadniać, to nie ma sensu tego udowadniać. Ten „ktoś" nigdy się nie zgodzi, bez względu na to, jakie argumenty mu zaproponujesz...

Druga odpowiedź jest nieco trudniejsza, bo aby ją znaleźć, potrzebne są: ołówek, papier, kalkulator i rysunek Tu-154 z wymiarami. Przygotowałem go dla waszych czytelników [publikujemy go powyżej – przyp. red.]. Jak widać, gdyby skrzydło Tu-154 znajdowało się na wysokości 5,5 m nad ziemią, samolot ten nigdy nie byłby w stanie obrócić się w powietrzu wokół własnej osi.

eprasa.pl f739b9f58a

Wszystkie kłamliwe tezy oraz wyśmiewanie uzasadnionych wątpliwości poszły w świat bardzo szybko. Jeśli ktoś to ukartował, musiał być świetnie przygotowany. Czy byłoby w ogóle możliwe zaplanowanie tej operacji w takich szczegółach?

Moja odpowiedź będzie się składała z dwóch części. Po pierwsze, nie widzę w działaniach przestępców żadnych oznak wysokich umiejętności. O jakim szczegółowym przygotowaniu mówimy, skoro oficjalna wersja tego, co się stało, rozpada się przy pierwszym porównaniu ze zdrowym rozsądkiem, prawami fizyki i szkolną arytmetyką? Po drugie, przemysł fake news jest jednym z najszybciej rozwijających się w XXI w., nawet COVID-19 mu nie zapobiegł. Nie jest tajemnicą, że rosyjskie kierownictwo wydaje ogromne sumy pieniędzy na utrzymanie mediów poza Rosją, a przez media w tym przypadku rozumiem całe spektrum instrumentów służących do manipulowania opinią publiczną: są to tradycyjne gazety, radio i telewizja, sieci społecznościowe i całe stada trolli internetowych. O co się spieramy, a co nas zaskakuje?

Na podstawie zapisów dźwiękowych ze smoleńskiej wieży stwierdza pan, że kontrolerzy byli w szoku po katastrofie, nie chcieli doprowadzić do tragedii. Zostali więc okrutnie wykorzystani? Mieli wypełnić rozkaz: za wszelką cenę sprowadzać polski samolot?

Nie widzę żadnych oznak wymuszania lądowania za wszelką cenę. Kontrolerzy ruchu lotniczego niewątpliwie poinformowali załogę polskiego Tu-154 o złych warunkach pogodowych i zalecili nie lądować na lotnisku Smoleńsk-Siewiernyj. Znacznie poważniejsze pytanie brzmi: dlaczego pięciokrotnie wypowiedzieli standardowe zdanie „na kursie, na ścieżce", w sytuacji gdy samolot nie był ani na kursie, ani na ścieżce schodzenia, lecz wlatywał w las? Kwestia ta została szczegółowo omówiona w sprawozdaniu anonimowego Flankera20. Jego wersja jest taka, że na lotnisku zainstalowano niestandardowy (przenośny, dostarczony na lotnisko kilka dni przed katastrofą) system wspomagania lądowania samolotów ILS. System celowo podawał błędne informacje, które kontrolerzy przekazywali załodze. Nie mam ani informacji, ani odpowiednich kwalifikacji, aby potwierdzić lub zaprzeczyć tej wersji. W każdym razie wydaje mi się to całkiem realistyczne i warte priorytetowego rozważenia w przyszłym bezstronnym dochodzeniu.

> Nie pasuje mi ta obojętność (delikatnie mówiąc) znacznej części polskiego społeczeństwa. Polacy od 50 lat pamiętali o „Katyniu-1" i od 50 lat domagali się prawdy. A dziś, jak mi mówią ze wszystkich stron, „wszyscy w Polsce już mają dość tego nieszczęsnego samolotu"

Dlaczego pana zdaniem tak wielu Polaków z miejsca odrzuciło hipotezę o zamachu? Dlaczego odwracali wzrok od aż kłujących w oczy dowodów?

To jest dokładnie pytanie, które chcę państwu zadać – ale dziś to nie ja zadaję pytania. Po prostu nie pasuje mi ta obojętność (delikatnie mówiąc) znacznej części polskiego społeczeństwa. Polacy od 50 lat pamiętali o „Katyniu-1" i od 50 lat domagali się prawdy. A dziś, jak mi mówią ze wszystkich stron, „wszyscy w Polsce już mają dość tego nieszczęsnego samolotu".

Czy można w jakiś sposób zmusić Moskwę do zwrotu naszej własności – wraku samolotu, czarnych skrzynek?

Jest takie dobre powiedzenie: „Rób to, co powinieneś zrobić, a co będzie, to będzie". Jednak polskie społeczeństwo nie osiągnęło jeszcze konsensu co do tego, co powinno. Czy trzeba dociekać prawdy o śmierci prezydenta i najlepszych ludzi w kraju – czy też utrzymywać „business as usual" z putinowską Rosją? Donald Tusk, jeśli mnie dobrze poinformowano, miał w tej sprawie dość zdecydowane zdanie – i dlatego wrak samolotu oraz czarne skrzynki leżą tam, gdzie leżą.

Popularność pana filmów w ojczyźnie (ponad 2 mln wyświetleń) wskazywałaby, że Rosjanie mocno interesują się katastrofą smoleńską. Albo raczej: łakną informacji o tym wydarzeniu nienaznaczonych kremlowskimi kłamstwami. Czy tak rzeczywiście jest? Jak pan postrzega stosunek Rosjan do tej tragedii po 11 latach?

W Rosji ukształtował się twardy reżim autorytarny. W takich krajach nie ma „narzędzi" do oceny nastawienia mieszkańców (obywateli już nie ma) do jakichkolwiek wydarzeń. Media są kontrolowane, wybory i badania opinii publicznej fałszowane, sieci społecznościowe pełne wynajętych trolli. Dlatego wszelkie rozumowania na takie tematy są chwiejnymi spekulacjami. W ZSRR było 20 mln komunistów. Żaden z nich nie wystąpił w obronie swojej partii w sierpniu 1991 r. Rosja znów stała się „czarną dziurą", tam nie ma czego wypatrywać. Najważniejsze jest to, żeby ona do was nie zajrzała.

Od pięciu lat mieszka pan w Estonii. To był wybór czy konieczność?

Życie w Rosji jest drogie, niebezpieczne i obrzydliwe. To moje osobiste zdanie. W związku z tym emigracja z Rosji była oczywiście dobrowolna. Natomiast nie ode mnie zależało, że stało się to tak późno (zaledwie pięć lat temu). Zaważyły niestety osobiste powody, których nie mogłem zmienić.

Filmy Marka Sołonina o katastrofie smoleńskiej znajdą państwo pod tymi adresami:

https://www.youtube.com/watch?v=uXGR0zG3TDE

https://www.youtube.com/watch?v=-dj1Tc_jUes

eprasa.pl f739b9f58a

Fot. Alexandros Michailidis / Shutterstock.com

egzemplarz prasowy

Prospero nie wróci do Mediolanu, czyli ostatnia akcja Donalda Tuska

Tusk nie ma żadnego interesu ani w umacnianiu podmiotowej roli Platformy Obywatelskiej na polskiej scenie, ani we wspieraniu ambicji jej liderów (ani obecnych, ani przeszłych, ani przyszłych), ani w gwarantowaniu im dominacji w szerokim obozie lewicowo-liberalnym

JAN ROKITA

Donald Tusk nie jest przyjacielem Platformy Obywatelskiej. Nie jest nim także wtedy, a może zwłaszcza wtedy, gdy nieoczekiwanie występuje z deklaracjami, iż „jest gotów zrobić wszystko, aby Platforma nie przeszła do historii". Jedynym szefem PO, który mógł nie zdawać sobie sprawy z tego oczywistego faktu, była Ewa Kopacz, której – dzięki dymisji Tuska – najzupełniej deus ex machina wpadło w ręce na krótką chwilę przywództwo partii i premierostwo dość dużego państwa europejskiego. Doskonale świadomy tego faktu był już następny szef Platformy Grzegorz Schetyna, skoro w ciężkich bojach musiał bronić politycznej suwerenności partii, zagrożonej wtedy atakiem „Gazety Wyborczej", KOD, aktorek i intelektualistów – z Tuskiem jako cichym prowodyrem tamtego przedsięwzięcia.

Schetyna, niczym Nelson pod Trafalgarem, wygrał tamtą ciężką batalię, choć sam w niej niestety padł. Po nim przyszedł Borys Budka, który przez krótką chwilę mógł chyba sądzić, że Tusk mu pomoże, skoro – jakkolwiek by było – obaj z dwóch różnych stron pracowali nad eliminacją Schetyny, a wróg mojego wroga musi ponoć być moim przyjacielem. Otóż się okazuje, że nie musi. I Budka wie już to teraz nawet lepiej i bardziej boleśnie, aniżeli wiedział o tym swego czasu Schetyna. Wie, że Tusk wykorzysta jego słabość i słabość Platformy, aby zaatakować. I to zaatakować w sposób, który jest nie tylko tak charakterystyczny dla stylu działania Tuska, ale jest też jednym z ważnych źródeł jego wielkiej politycznej kariery. Czyli zaatakować jako czuły i troskliwy przyjaciel, który lekki pałacowy sztylet ukrywa w butonierce eleganckiej marynarki Ermenegildo Zegna.

UTRACONE WPŁYWY

Dzisiejsza rola Tuska, jako formalnego przewodniczącego międzynarodówki EPP, nie jest godna pozazdroszczenia.

Jego pozycja w unijnej polityce nigdy nie mogła być silna, z racji oczywistego powodu bycia Polakiem, co było, jest i zapewne będzie także na przyszłość obciążeniem w europejskich kancelariach politycznych. Ale fakt zaufania i inwestytury, jakiej swego czasu udzielili mu najpierw prezydent Francji Hollande, a potem niemiecka kanclerz Merkel, stwarzał dlań – jak na Polaka – sytuację i tak wyjątkowo sporych możliwości realnego oddziaływania. Trzeba pamiętać, że to był w ogóle okres najzupełniej wyjątkowej koniunktury dla całej Europy Środkowo-Wschodniej, a dla Polski w szczególności. Koniunktury, którą zawdzięczaliśmy bohaterskiemu i krwawemu przewrotowi w Kijowie oraz wstrząsowi, jaki na Zachodzie wywołała masakra kijowska, a potem rosyjska inwazja na Krym i Donbas. To właśnie ówczesna gwałtowna reorientacja Unii w stronę Wschodu wyniosła Tuska kilka miesięcy później – w końcówce roku 2014 – do funkcji w Radzie Europejskiej. Gdyby nie ona, Polak nigdy nie dostałby tak kluczowego stanowiska.

Dziś problem Tuska nie polega głównie na tym, że jego dwie kadencje dawno już upłynęły, w związku z czym musiał utracić wpływ instytucjonalny. To tylko najwyżej jedna trzecia jego problemu. Dwie trzecie tego problemu bierze się z całkowitej odmiany koniunktury, w której teraz ani w Europie, ani w Waszyngtonie – tak samo jak bywało w przeszłości – nikt nie oczekuje od naszego regionu, a od Polaków w szczególności, niczego więcej, jak „siedzenia cicho", zgodnie ze znaną dyrektywą skierowaną niegdyś otwarcie pod polskim adresem przez prezydenta Francji.

Co więcej, z dwojga „mocodawców" Tuska – Hollande'a nie ma już od dawna, a teraz odchodzi Merkel. Oznacza to, że w kręgu europejskich liderów nie tylko nikt już Tuska o nic nie zapyta, lecz nawet on sam nie będzie miał do kogo zadzwonić. W takich warunkach funkcja formalnego przewodniczącego EPP musi być wyjątkowo frustrująca, tym bardziej że Tusk doszedł już chyba do takiego punktu, w którym trudno byłoby mu nadal się cieszyć apanażami i przywilejami, jakie ciągle jeszcze na niego spływają.

Warto być świadomym tego, że ta zmiana sytuacji Tuska jest w istocie zmianą polskiej i – szerzej – środkowoeuropejskiej pozycji politycznej.

> Z dwojga „mocodawców" Tuska – Hollande'a nie ma już od dawna, a teraz odchodzi Merkel. Oznacza to, że w kręgu liderów europejskich nie tylko nikt już Tuska o nic nie zapyta, lecz nawet on sam nie będzie miał do kogo zadzwonić. To musi być frustrujące

Rewersem dzisiejszej politycznej niemocy Tuska w Europie jest niemoc szefa polskiego MSZ, który dopiero co płaczliwym tonem labiedził nad tym, jak bardzo na nic nie ma wpływu i o wszystkim dowiaduje się z gazet.

Pozwolono Tuskowi w Unii na jeszcze jedną, chyba ostatnią akcję: doprowadzenia do pozbycia się Orbána z EPP. Akcję, w której Tusk zgodził się w gruncie rzeczy wykonać brudną robotę za innych (takich jak Merkel czy Kurz), którzy woleli sobie przy tym rąk nie brudzić. Jedyne skądinąd wytłumaczenie, jakie można tu znaleźć dla zaangażowania Tuska, to odwet na Orbánie za jego tak ścisły sojusz z Kaczyńskim. Czyli motywacja najzupełniej nie europejska, ale polska, partykularna, całkowicie partyjniacka.

ROZBIEŻNE CELE

Nic dziwnego, że 64-letni Tusk, z podziwem patrzący na rolę odgrywaną ciągle przez 72-letniego Kaczyńskiego (który od lat jest przecież jego alter ego oraz życiową obsesją), może myśleć o jakiejś dla siebie roli w polskiej polityce. Jakiej? To oczywiste – jest tylko jedna taka rola. Tuskowi marzy się, że to on zostanie uznany za polityka, który dokona rzeczy, jakiej nie potrafili dokonać dotąd wszyscy razem, tak silni – wydawałoby się – polityczni wrogowie Kaczyńskiego. Tą rzeczą jest pozbawienie Kaczyńskiego władzy. I tu właśnie leży sedno problemu między Tuskiem a Platformą Obywatelską. Tylko na pozór, i to raczej dla kogoś dość naiwnie myślącego o polityce, cele polityczne obu stron mogą bowiem wydawać się zgodne.

Platforma jest dużą, mocną, bogatą i nieźle osadzoną partią. I jako taka ma swoje najzupełniej normalne dwa najważniejsze partyjne interesy. Pierwszy ten – żeby zachować wewnątrzsterowność i odeprzeć ataki tych wszystkich, którzy nieustannie próbują zagrabić jej rozległe aktywa. Drugi – aby zachować polityczną dominację na lewicowo-liberalnej opozycji. Pilnowanie tych dwóch kluczowych dla partii interesów jest bowiem warunkiem, aby ona sama, jej liderzy i czołowi politycy mogli mieć nadzieję na istotny wpływ na władzę wtedy, gdy odmienią się koniunktury i Kaczyński będzie musiał władzę oddać.

Tusk nie ma żadnego interesu ani w umacnianiu podmiotowej roli Platformy na polskiej scenie, ani we wspieraniu ambicji jej liderów (ani obecnych, ani przeszłych, ani przyszłych), ani w gwarantowaniu im dominacji w szerokim obozie lewicowo-liberalnym, aspirującym do odsunięcia od władzy Kaczyńskiego.

Tych dwóch przywódców partyjnych zawsze zresztą tak wyraźnie różnił stosunek do stworzonej przez siebie partii, jej struktur i działaczy. O ile dla Kaczyńskiego jego partia zawsze była (i chyba jest do dziś dnia) sui generis rodziną, w której czuł się jak w domu i którą szczerze lubił, o tyle Tusk własnym aparatem partyjnym zawsze pogardzał, traktował go z góry i z nieskrywanym nawet za bardzo szyderstwem. To ważne o tyle, że Tusk nie ma ani nigdy nie miał żadnych „platformerskich" sentymentów, które zazwyczaj mają – często bardzo rozbudowane – partyjni aktywiści albo

eprasa.pl f739b9f58a

i nawet partyjni liderzy (w Platformie – np. Schetyna czy Nitras).

Co więcej – każdy, kto miał okazję zetknąć się w polityce z Tuskiem i potrafi jako tako czytać emitowane przez niego tzw. sygnały, dobrze wie, że jeśli Tusk deklaruje publicznie wobec kogoś albo czegoś w polityce stosunek „miłosny" albo „serdeczny" (to jego język polityczny), to znaczy, że przynajmniej w ogólnych zarysach zadzierzgnął już intrygę mającą na celu wyizolowanie i pozbawienie wpływów tego „kogoś" albo to „coś". Dość prawdopodobne, że tak właśnie jest obecnie z Platformą i jej kierownictwem. Tego rzecz jasna nigdy nie pojmą szeregowi posłowie i aktywiści partyjni, nawet jeśliby sami w rozmaitych rozgrywkach i intrygach lokalnych umieli wykazywać się makiawelizmem, właściwym dla ich miary i realnej rangi ich problemów.

„KINGKILLER"

Czy Tusk ma jakieś szanse na odegranie roli, o której – jak osobiście sądzę – teraz marzy? To znaczy nie tyle pozytywnej roli „kingmakera", bo to już chyba realnie przekracza jego dzisiejsze siły, ale przynajmniej „kingkillera", czyli tego, kto wykona ów ostatni sztych łopatą w spychaniu Kaczyńskiego do politycznego grobu. Odpowiedź brzmi: tak, ma taką szansę, choć nie jest znowu ona aż tak bardzo wielka. Po pierwsze – bo Kaczyński ostatnio osłabł, gdyż sam niegdyś przyzwolił na pseudokoalicyjną strukturę swego obozu, która zaczęła mu się teraz sypać. Po drugie – bo zewnętrzna presja na zmianę władzy w Polsce będzie się w najbliższym czasie się wzmagać, co wyczuwają już nawet najbardziej oddani sprawie Kaczyńskiego publicyści i komentatorzy. (Nawiasem mówiąc, tu lewica amerykańska może odegrać sporą rolę, gdyż dla niej zmiana władzy w Polsce staje się jednym z elementów detrumpizacji samej Ameryki). Po trzecie – bo doświadczenie spektakularnego triumfu lewicowo-liberalnej opozycji w Rzeszowie bardzo silnie uderza w „suwerennościowe" i „imperialne" marzenia szefów Platformy, skazując ich na kapitulację i zgodę na rozpłynięcie się partii w jakimś wielkim, wyzbytym tożsamości politycznym kotle, który właśnie w Rzeszowie wyniósł do władzy niegdysiejszego aktywistę postkomunistycznej lewicy.

Budka, Hołownia, Kosiniak-Kamysz, Czarzasty – wszyscy oni będą zaciskać zęby i pięści, jeśliby Tusk uznał za właściwe zawezwać ich do równania szyku i tworzenia „frontu ludowego" na podobieństwo (przy całej groteskowości tego zestawienia) takiego europejskiego frontu walki z faszyzmem sprzed niemal stu lat. Musieliby jednak wszyscy zgrzytać zębami niezbyt głośno, a pięści zaciskać wyłącznie w kieszeniach, o ile determinacja Tuska okazałaby się autentyczna.

> Każdy, kto miał okazję zetknąć się w polityce z Tuskiem, wie, że jeśli deklaruje on publicznie wobec kogoś albo czegoś w polityce stosunek „miłosny" albo „serdeczny", to znaczy, że zadzierzgnął już intrygę mającą na celu pozbawienie wpływów tego „kogoś" albo to „coś"

Niejaką zagwozdką jest oczywiście dla Tuska popularny w Polsce Trzaskowski, któremu marzyło się zrobienie dokładnie tego samego, co chciałby zrobić Tusk, ale w otoczce zmiany pokoleniowej w polskiej polityce i jej unowocześnienia. Ale Trzaskowski to bardzo inteligentny ekspert od Europy, jednak w zestawieniu z Tuskiem polityk prostoduszny i łatwowierny, niemający nawet cienia tej pasji do skrytej i podstępnej intrygi, która jest znakiem rozpoznawczym politycznej osobowości niegdysiejszego szefa Rady Europejskiej. Omotanie więc Trzaskowskiego „miłosną" i „serdeczną" siecią intryg powinno być dla Tuska raczej wykonalne.

DETERMINACJA I CZAS

Dwa prawdziwe wyzwania, które stoją przed Tuskiem, gdyby chciał ziścić taki projekt, to własna determinacja i czas. Powtórzmy, pacyfikacja Budki, Hołowni, Kosiniaka-Kamysza, Czarzastego i uwiedzenie jakimś trikiem Trzaskowskiego to jest zamiar trudny, ryzykowny i wymagający w związku z tym absolutnego poświęcenia i gotowości do walki. Tusk musiałby się też liczyć z możliwością porażki. I w związku z tym zdawać sobie sprawę, że to byłaby jego ostatnia polityczna porażka, po której czeka go już tylko (skądinąd życiowo bardzo przyjemna) unijna emerytura i noszenie wnuka na plecach. Tusk nie jest mistrzem operacji ryzykownych; wszyscy to wiedzą, że lubiłby zjeść przygotowany dlań podwieczorek, który w najlepszych czasach przynosił najczęściej Schetyna na srebrnej tacy. Ale tym razem nie ma nikogo takiego, kto by mógł mu go przygotować. Schetyna, Graś, Nowak, Kopacz – ludzie do takich zadań to już historia. A słowne tańce, które dotąd jako solista Tusk wykonuje z Gdańska czy Brukseli, mogą tylko siać zamęt w opozycji, jeśli nie pójdą za nimi stanowcze kroki.

Drugim wielkim wyzwaniem Tuska jest czas. Szekspirowski Prospero dobrze rozumiał, czemu nie może już wrócić do Mediolanu i znów sprawować tam cudownie odzyskanej władzy księcia. I raczej z każdych trzech swoich myśli dwie musi poświęcać śmierci, a nie polityce. Nawet niezbyt wielki upływ czasu czyni w polityce przemiany, które z jeszcze niedawnych groźnych czy kochanych władców czynią śmieszne figurki, które bez sensu się miotają po scenie ku uciesze gawiedzi. Tusk wie zapewne, że nie jest już w jego mocy odzyskanie władzy w Polsce. Ani partyjnej, ani premierowskiej, ani prezydenckiej. Jakiekolwiek wybory, w których by stanął, oczywiście przegra. Wielkim wysiłkiem woli i używając wszystkich swoich „miłosnych" sztuczek, może jeszcze próbować zepchnąć ze sceny Kaczyńskiego. Ale nie może już go na niej zastąpić.

eprasa.pl f739b9f58a

Lekcja Rzeszowa

Opozycja chce wygrać wybory w 2023 r. dzięki wielkim miastom. PiS może się obronić dzięki wsiom i mniejszym miejscowościom

STANISŁAW JANECKI

Gdy 13 czerwca 2021 r. Konrad Fijołek uzyskał 56,51 proc. głosów (45 059) w wyborach na prezydenta Rzeszowa, popierająca go zjednoczona opozycja uznała, że jest pozamiatane. Tyle tylko, że od pierwszych bezpośrednich wyborów gospodarza stolicy Podkarpacia, czyli od 2002 r., nigdy nie wygrał tam kandydat kojarzony z obecną Zjednoczoną Prawicą (ZP). Andrzej Szlachta, wystawiony przez Rzeszowskie Porozumienie Prawicy, potem poseł PiS kilku kadencji (także obecnie), te pierwsze wybory przegrał w drugiej turze (48,37 proc. głosów) z kandydatem SLD-UP Tadeuszem Ferencem (51,63 proc. głosów), mimo że startował jako urzędujący prezydent miasta. A Konrad Fijołek, reprezentujący wtedy SLD-UP, został po raz pierwszy radnym miejskim. Andrzej Szlachta przegrał też z Tadeuszem Ferencem w 2014 r., i to już w pierwszej turze – w stosunku 22,18 do 66,80 proc. głosów. Ferenc wygrywał ponadto w pierwszej turze w latach 2006 (76,59 proc. głosów), 2010 (53,25 proc.) oraz 2018 (63,76 proc.).

Przed 13 czerwca 2021 r. nie było w Rzeszowie głosowania na zasadzie antypis, a za takie trzeba uznać wystawienie wspólnego kandydata Koalicji Obywatelskiej (KO), Lewicy, Koalicji Polskiej oraz Polski 2050. Z tego punktu widzenia wynik Konrada Fijołka nie jest wcale imponujący, jeden kandydat ZP też najpewniej nie dałby rady doprowadzić do drugiej tury. W Rzeszowie nic się od 2002 r. zasadniczo nie zmieniło, gdy chodzi o preferencje wyborcze. Ale politycy opozycji przedstawiają wygraną Fijołka w Rzeszowie jako przełom, jako wielki krok do odzyskania władzy w całej Polsce.

„Jeszcze Polska nie zginęła" – entuzjazmował się szef Klubu Lewicy Krzysztof Gawkowski. „Obudziliśmy się w innej rzeczywistości" – mówiła posłanka Polski 2050 Hanna Gill-Piątek. „Stolik został wywrócony" – stwierdził poseł KO Dariusz Joński. Czy rzeczywiście w Rzeszowie stało się coś nadzwyczajnego? Jakie lekcje płyną z wyborów w stolicy Podkarpacia?

WIECZNY ANTYPIS

Zwycięstwo Konrada Fijołka było oczywiście jego indywidualnym sukcesem, ale z punktu widzenia opozycji oznaczało przede wszystkim powrót do strategii antypisu, czyli wszyscy przeciw PiS. W Rzeszowie cztery ugrupowania popierające Konrada Fijołka reaktywowały strategię totalnej opozycji ostro krytykowaną już nawet w KO. Bo ta strategia zawiodła w wyborach samorządowych w 2018 r., w europejskich i parlamentarnych w 2019 r. oraz w wyborach prezydenta Polski w 2020 r.

Można przypuszczać, że w Rzeszowie totalność nie miała większego wpływu na wynik wyborów, a jedynie była spoiwem czterech opozycyjnych ugrupowań. To oznacza jednak wejście w stare koleiny, co nie przynosi sukcesu już od sześciu lat. Ale opozycja nie ma alternatywy albo nie chce jej mieć. Tym bardziej że jako spoiwo wyborcze totalna strategia jest wciąż najbardziej efektywna i w największym stopniu mobilizuje opozycyjny

Fot. Krzysztof Kapica / East News

eprasa.pl f739b9f58a

elektorat, czyniąc wybory plebiscytem. Antypis sprawdza się poza tym na ulicy, a nie można mieć złudzeń, że ulica będzie ważnym czynnikiem wyborczym także w 2023 r.

Spoiwo w postaci antypisu nie oznacza wielkiej koalicji w wyborach parlamentarnych w 2023 r. Presja na to, by taką koalicję zawrzeć, także płynąca z Berlina i Brukseli, ale przede wszystkim ze strony liberalno-lewicowych mediów będzie wielka, lecz szansa na jej zawiązanie wcale się po wyborach w Rzeszowie nie zwiększyła. Głównie dlatego, że w takiej koalicji mniejsze ugrupowania tracą tożsamość, wpływy i pieniądze. Najbardziej zainteresowana wielkim sojuszem wyborczym opozycji jest Koalicja Obywatelska, która w sondażach najwięcej traci. Dla niej byłoby to ewidentne wzmocnienie, tym bardziej gdyby w konstruowanie takiego sojuszu włączył się Donald Tusk.

Problem miałaby Polska 2050 Szymona Hołowni, rozpuszczenie partii w większym bloku, zanim jeszcze okrzepła i zorganizowała swoje struktury, byłoby bowiem zabójcze. Pod warunkiem że Polska 2050 nie została pomyślana jako jednorazowe (sezonowe) przedsięwzięcie na wybory w 2023 r., aby stać się języczkiem u wagi. Polska 2050 wniosłaby do większego bloku tych, którzy przede wszystkim porzucili PO, SLD i Nowoczesną, oraz część tych wyborców liberalnych, którzy od kilku lat nie identyfikowali się z żadną partią. Wejście Polski 2050 do wielkiej koalicji wiązałoby się zapewne z umową o zapewnieniu ważnych stanowisk państwowych dla Szymona Hołowni, Michała Koboski czy Jacka Cichockiego.

Lewica i Koalicja Polska po wyborach w Rzeszowie wcale nie nabrały chęci do tworzenia jednego wielkiego bloku na wybory w 2023 r., gdyż w stolicy Podkarpacia tylko się podpięły pod zwycięzcę i propagandowo wykorzystały sukces, faktycznie nic dodatkowo nie zyskując, gdy chodzi o udział w rządzeniu. Na wybory parlamentarne w 2023 r. raczej pójdą osobno, wyrażając tylko chęć zawarcia koalicji już po głosowaniu. Uważają bowiem, że wtedy będą mieli mocniejsze argumenty przy targowaniu się o stanowiska i wpływy.

Ostatecznie jednak presja na powołanie wielkiej koalicji może być tak wielka, korzyści zaś z odsunięcia PiS od władzy tak znaczące dla wszystkich zainteresowanych, że wspólna lista może powstać.

INACZEJ DO SENATU

Wybory w Rzeszowie utwierdziły opozycyjne ugrupowania, że ma sens stworzenie wielkiej koalicji w wyborach do Senatu. Jeszcze szerszej niż w 2019 r. W wyborach do Senatu głosowanie odbywa się w okręgach jednomandatowych, więc stworzenie jednego bloku zwiększa szanse na sukces. Tym bardziej że w wielu okręgach dominuje elektorat miejski. W 2019 r. opozycyjna koalicja miała przy tym ułatwione zadanie, gdyż najbardziej rozpoznawalne osoby z PiS (Zjednoczonej Prawicy) kandydowały wcześniej do europarlamentu i zdobyły mandaty. Ich przede wszystkim zabrakło potem w wyborach do Senatu, gdzie znaczenie ma rozpoznawalna twarz i funkcjonowanie w ogólnopolskiej polityce. Poza tym w 2019 r., podobnie jak w Rzeszowie w 2021 r., w niektórych okręgach prawica wystawiła więcej niż jednego kandydata.

REKLAMA

WODY

TO NIE ŚMIETNIK!

30 ton śmieci zebranych podczas jednej akcji sprzątania nad Zalewem Mietkowskim, 1,5 tony po każdym weekendzie na kilometrowym odcinku Odry we Wrocławiu…

Polskie rzeki i jeziora toną w śmieciach pozostawionych celowo przez ludzi. Dlatego Wody Polskie, które zajmują się administracją wód w naszym kraju, prowadzą akcję „Wody to nie śmietnik". Jej głównym celem jest przekonanie ludzi, aby nie śmiecili! Odpady wcale nie znikają w wodzie, ale mogą ją zanieczyszczać, co szkodzi ludziom, zwierzętom i całemu środowisku.

Bądźmy odpowiedzialni! Wody to nie śmietnik. Więcej na **www.wody.gov.pl**

Państwowe Gospodarstwo Wodne
Wody Polskie

eprasa.pl f739b9f58a

Mimo wszystko opozycja prawie na pewno zdecyduje się na wspólną listę do Senatu.

Dla PiS Rzeszów to sygnał, że mandaty senackie najtrudniej zdobyć w okręgach obejmujących miasta powyżej 100 tys. mieszkańców (stolica Podkarpacia ma 180 tys.). I nie tylko senackie, choć wokół największych miast są gminy, gdzie PiS w wyborach parlamentarnych w 2019 r. miało ogromną przewagę, np. w Jasienicy Rosielnej czy Domaradzu w pobliżu Rzeszowa na tę partię głosowało ponad 80 proc. wyborców.

W wyborach parlamentarnych w 2019 r. w miastach powyżej 500 tys. mieszkańców KO (najpoważniejsza siła po stronie opozycji) wygrała z PiS w stosunku 41:27 proc., w miastach od 200 do 500 tys. mieszkańców zaś w stosunku 39:32 proc. Z kolei w miastach od 50 do 200 tys. proporcje się odwróciły i PiS wygrało z KO stosunkiem 38:32 proc. W miastach do 50 tys. mieszkańców PiS wygrywało z KO w podobnych proporcjach, jak w skali ogólnopolskiej. Natomiast zdecydowanie największe poparcie mieli obecnie rządzący na wsi – 56 proc. wobec 17 proc. dla KO (poza tym PSL otrzymało 12 proc. głosów, Lewica zaś – 7,5 proc.). Jednocześnie na wsi oraz w miastach do 50 tys. mieszkańców były największe rezerwy, gdy chodzi o mobilizację wyborców, przede wszystkim głosujących na PiS. Z tego wniosek, że tam PiS może z nawiązką zrekompensować sobie straty w wielkich miastach wywołane głównie orzeczeniem Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji, a utrwalone podczas ulicznych demonstracji pod szyldem Ogólnopolskiego Strajku Kobiet. Oznacza to, że PiS ma najwięcej do ugrania w gminach wiejskich, miejsko-wiejskich oraz w powiatach. Tym bardziej że jest to elektorat najwierniejszy i mało podatny na propagandę antypisu.

MIASTA I IDEOLOGIA

Wybory w Rzeszowie potwierdzają, że wyborcy wielkomiejscy nie głosują w większości, kierując się kwestiami rozwojowymi (modernizacyjnymi), lecz najważniejsze są dla nich czynniki ideologiczne. W miastach działa więc coś w rodzaju napiętnowania za opowiadanie się za tradycyjnymi wartościami, dlatego nawet część wyborców prawicowych dla świętego spokoju głosuje tak, jak ci postępowi. Rzeszów zdaje się potwierdzać, że Porozumienie Jarosława Gowina nie ma większego wpływu na elektorat wielkomiejski, przedsiębiorców i wolne zawody, choć adresuje do nich swoją ofertę i deklaruje się jako ich rzecznik oraz obrońca. Mimo to w zdecydowanej większości ci wyborcy nie głosują na Zjednoczoną Prawicę (w 2019 r. 39 proc. z nich głosowało na KO). Otwarty pozostaje więc temat, jaką wartość dodaną wnosi Porozumienie do ZP, gdy chodzi o przedsiębiorców, menedżerów, wolne zawody i wyborców wielkomiejskich. Oczywiście liczy się poszerzenie elektoratu o nawet niewielką część środowisk ideologicznie PiS niechętnych, ale kierujących się pragmatyzmem, szczególnie w kwestiach gospodarczych. Ale na tym polu chyba lepsze wyniki miała minister rozwoju Jadwiga Emilewicz (wtedy w Porozumieniu), niż ma obecnie Jarosław Gowin.

> Wybory w Rzeszowie dowodzą, że opozycja będzie się starała w jeszcze większym stopniu niż dotychczas uczynić z miast nie tylko swoje twierdze, lecz także filary alternatywnego ustroju – Polski dzielnicowej, w której samorządy będą dążyć do coraz większego usamodzielnienia się od centrum

Kolejna lekcja płynąca z wyborów w Rzeszowie jest taka, że mieszkańcy miast są zdecydowanie bardziej podatni na propagandę mediów antyrządowych niż przekaz mediów publicznych i niezależnych. A swoją wiedzę o Polsce i świecie czerpią głównie z internetu, gdzie zdecydowanie dominuje opcja antyrządowa. Tego nie zmienia położenie Rzeszowa na generalnie konserwatywnym Podkarpaciu. A najbardziej na propagandę antypisu są podatni najmłodsi wyborcy.

PiS ma zresztą coraz większy kłopot z młodymi wyborcami, którzy w coraz większym stopniu zachowują się tak jak elektorat wielkomiejski, co też wynika z napiętnowania w środowisku rówieśniczym, jeśli ktoś okazuje poglądy konserwatywne. Dla tych młodych wyborców właściwie nie

Fot. Krzysztof Kapica / East News

eprasa.pl f739b9f58a

ma oferty (ideowej i praktycznej), a te dotychczasowe (np. zwolnienie z PIT do 26. roku życia) są przyjmowane z zadowoleniem, ale nie przekładają się na zachowania wyborcze. W wyborach parlamentarnych 2019 r. wyborcy w wieku 18–29 lat wprawdzie najczęściej głosowali na PiS (26 proc.), ale Koalicję Obywatelską poparło 24 proc., Konfederację 20 proc., Lewicę zaś 18 proc. Opozycja wobec PiS miała więc w grupie najmłodszych wyborców ponaddwukrotnie lepszy wynik. W wyborach w 2023 r. straty w tej grupie wyborców mogą być jeszcze większe, dlatego do młodych powinna być skierowana oferta dotycząca mieszkań (to już się dzieje w ramach Polskiego Ładu) oraz bezpieczeństwa na rynku pracy i socjalnego (umowy śmieciowe, dotychczas pozbawiające ubezpieczenia społecznego i zdrowotnego).

TWIERDZE OPOZYCJI

Wybory w Rzeszowie dowodzą, że opozycja będzie się starała w jeszcze większym stopniu niż dotychczas uczynić z miast nie tylko swoje twierdze, lecz także filary alternatywnego ustroju – Polski dzielnicowej, w której samorządy będą dążyć do coraz większego usamodzielnienia się (nawet oderwania) od centrum. Konrad Fijołek dołączy do gorliwie go popierających prezydentów Rafała Trzaskowskiego, Aleksandry Dulkiewicz, Jacka Jaśkowiaka, Jacka Sutryka, Jacka Karnowskiego czy Hanny Zdanowskiej. Chodzi o to, żeby niezależnie od wyników wyborów parlamentarnych i prezydenckich istniała w Polsce dwuwładza. Przy czym jest to podawane w sosie demokracji bezpośredniej, czyli oddania władzy w miastach w ręce ludu, choć akurat tam lud ma najmniej do powiedzenia, gdyż prezydenci chcą o wszystkim sami decydować, ludowi każąc tylko płacić coraz wyższe daniny. Ale ponieważ wizja wolnych miast, gdzie można robić wszystko na złość rządowi i PiS, jest propagandowo nośna, nakręca strategię antypisu i mobilizuje wyborców, także do ulicznych protestów, więc miejski lud nie protestuje.

Nieprzypadkowo Rafał Trzaskowski chce na samorządowcach z wielkich miast budować swoje alternatywne zaplecze polityczne. Wielkie miasta mają być w wyborach parlamentarnych w 2023 r. ogniskami jednoczenia opozycji, wraz z ich przedmieściami i miejscowościami, których mieszkańcy u wielkich sąsiadów pracują. Dotychczas otoczenie wielu dużych miast częściej głosowało na PiS, stanowiąc czynnik równowagi. Dlatego na to otoczenie rządzący powinni zwrócić szczególną uwagę i mieć dla niego ofertę.

Rzeszów jest przez opozycję nadymany jako epokowy sukces z powodów propagandowych, choć żadnym wielkim sukcesem nie jest. Ale doświadczenia wyborów w stolicy Podkarpacia pokazują, że nawet jeśli w wyborach do Sejmu nie dojdzie do zawiązania wielkiej koalicji, opozycja wyciąga wnioski z porażek i mimo marnego przywództwa oraz braków programowych stara się poszerzać swój stan posiadania. Przede wszystkim tam, gdzie już jest silna. I to też jest wskazówka dla PiS, gdzie są największe rezerwy, a gdzie szanse na pozyskanie nowych wyborców są małe bądź żadne. Warto z lekcji Rzeszowa wyciągnąć wnioski.

18/0621/F

RZEKA

PAMIĘTA, KTO JĄ ZATRUWA

#WodyToNieŚmietnik
Pamiętaj i Ty!

Państwowe Gospodarstwo Wodne
Wody Polskie

REKLAMA

eprasa.pl f739b9f58a

Tandeta w Warszawie

Warszawa nie jest Amsterdamem ani Wiedniem, ale coraz bardziej zapyziałym, źle zarządzanym miastem. I nie piszę tego ze złośliwą satysfakcją. Wręcz przeciwnie, jako tzw. rdzenny warszawiak obserwuję powolną degradację mojego miasta z bólem i ze świadomością, że coraz trudniej tu żyć

KONRAD KOŁODZIEJSKI

W ostatnią sobotę ulicami Warszawy przeszła kolejna Parada Równości. Ja – w odróżnieniu od państwa – nie znam jej przebiegu, ponieważ piszę te słowa w czwartek, ale i tak nie ma to większego znaczenia. Ważne jest, że swój udział w paradzie zapowiedział prezydent stolicy Rafał Trzaskowski.

Nie jest dla nikogo żadną tajemnicą, że Trzaskowski chce uchodzić za człowieka światowego. Nic więc dziwnego, że – podobnie jak większość jego politycznego środowiska – ochoczo dołączył do obozu postępu, który stopniowo kolonizuje Polskę, imitując zachowania i rytuały praktykowane od lat w świecie zachodnim. Udział w Paradzie Równości to właśnie jeden z takich rytuałów, przypominający jako żywo dawne pochody pierwszomajowe, w których obywatele ściągnięci przez swoje zakłady pracy oddawali pod czerwonymi sztandarami cześć jedynie słusznej ideologii. Dziś obywatele są ściągani przez międzynarodowe korporacje, a czerwone sztandary zostały wymienione na tęczowe, ale cała reszta wygląda dość podobnie. Jest też władza, którą w stolicy reprezentuje Rafał Trzaskowski.

Wszystko to oczywiście pic na wodę, bo żaden tęczowy pochód, żaden las europejskich flag ani korowód wszechobecnych rowerów na ulicach nie przesłoni faktu, że Warszawa nie jest żadnym Amsterdamem ani Wiedniem, ale coraz bardziej zapyziałym, źle zarządzanym miastem. I nie piszę tego ze złośliwą satysfakcją. Wręcz przeciwnie, jako tzw. rdzenny warszawiak obserwuję powolną degradację mojego miasta z bólem i ze świadomością, że coraz trudniej tu żyć. Ale nic w tym dziwnego, skoro władze stolicy uważają Warszawę jedynie za tło do ideologicznych kampanii i wygodną trampolinę do dalszych politycznych karier.

Być może nie byłoby to takie łatwe, gdyby nie fakt, że część mieszkańców stolicy nie czuje głębszego związku z miastem, w którym żyje. Nie rozliczają więc władz Warszawy z tego, jak zarządzają one miastem, bo wystarcza im szeroko serwowany przez ratusz blichtr rzekomej nowoczesności, być może pomocny w leczeniu kompleksów, ale ukrywający realne problemy i przez to destrukcyjny dla życia mieszkańców. Tym samym Warszawa, zamiast stawać się wielkim miastem, staje się jego wielką, rosnącą wzwyż i wszerz atrapą.

URZĄD

Wyobraźcie sobie państwo, że chcecie coś ważnego załatwić w miejskim urzędzie. Nie wiem, jak to jest w innych polskich miastach, ale w Warszawie władze traktują mieszkańców jak irytujących natrętów. I nie chodzi mi o urzędniczki czy urzędników, większość z nich jest akurat przyjazna i pomocna. Chodzi o to, że system obsługi mieszkańców przypomina twierdzę, do której trudno się dostać.

W stołecznych urzędach nadal trwa pandemia. To znaczy, aby cokolwiek załatwić, trzeba się najpierw umówić i odczekać. Zresztą nawet, gdy już się umówimy, to jeszcze trzeba sterczeć przed drzwiami urzędu i czekać, aż strażnik wpuści kolejne osoby z kolejki. Władze są troskliwe, pod jednym z dzielnicowych urzędów zauważyłem nawet specjalny namiot, zapewne dla ochrony przed ulewą lub słońcem oczekujących w nieskończoność mieszkańców.

Owszem, pewne rzeczy można załatwić przez internet, ale pod warunkiem że ktoś jest niebywale wytrwały i sprawny w poszukiwaniu odpowiednich informacji i formularzy. Starsze osoby nie mają w tej konkurencji żadnych szans. Zwłaszcza że formularze zmieniają się co kilka miesięcy.

Przykładowo od zeszłego roku można składać wnioski o zamianę użytkowania wieczystego we własność. Oglądałem sobie takie wnioski z innych miast: proste, przejrzyste, wystarczy wpisać adres, nazwisko i podpisać. W Warszawie domagano się bardzo szczegółowych danych z ksiąg wieczystych, informacji o powierzchni części wspólnych, garaży lub piwnic. Brakowało jedynie rubryki dotyczącej numerów butów są-

Fot. Lukasz Pawel Szczepanski / Shutterstock, Andrzej Wiktor (2), Fratria

eprasa.pl f739b9f58a

siadów. Co gorsza, po wypełnieniu tego absurdalnego druku okazywało się niekiedy, że jest on już nieaktualny i trzeba wypełnić nowy, bo zmieniła się jakaś rubryka. Co więcej, wielu mieszkańców nie było w ogóle świadomych, że takie druki można składać. Władze dzielnic nakazywały niekiedy, aby czekać. Kto więc czekał z ich wypełnieniem i złożeniem, ten czeka do dziś. Trudno powiedzieć, komu zależało, aby spowolnić i utrudnić proces przekształcania użytkowania wieczystego we własność.

DOM

Warszawski Mokotów to dzielnica droga i uchodząca za prestiżową. Tutejsze domy miały wielkie rwanie wśród cwaniaków skupujących roszczenia przedwojennych spadkobierców. Pod jednym z mokotowskich adresów stara kamienica z oficyną. Została pięknie odremontowana ze środków mieszkańców, po czym jej mieszkańcy się dowiedzieli, że miasto sprzedało dom „spadkobiercy" dawnych właścicieli. Oczywiście ów „spadkobierca" po prostu kupił roszczenia od innych osób i miasto – nie uprzedzając o tym zawczasu mieszkańców – sprzedało mu swoje udziały w budynku wraz z podwórkiem. W rezultacie podwórko stało się „prywatną własnością", za którą „spadkobierca" zażądał – zgodnie z prawem służebności – wysokiej opłaty za przejście. Mieszkańcy zostali więc zmuszeni do płacenia myta za dojście do swojego mieszkania. Miasto umyło ręce od sprawy. Targ został przecież ubity.

Takich przypadków na Mokotowie – i nie tylko tam – jest więcej. W niektóre zamieszani byli wysocy urzędnicy miejscy, w inne wzięci prawnicy, a w przynajmniej jednym przypadku doszło do tragedii – mam tu na myśli zabójstwo Jolanty Brzeskiej – tak, tak, też z Mokotowa. Niektórzy mieszkańcy próbują się buntować przeciwko bezprawiu, ale w mieście, gdzie każdy myśli tylko o sobie, brakuje jakiejkolwiek solidarności, zwłaszcza że problemy, o których mowa, często dotyczą osób starszych, mniej zamożnych, które łatwo przegonić i zastraszyć.

Dziką reprywatyzacją zajmowały się kiedyś ruchy miejskie, ale zostały dość skutecznie sterroryzowane przez biorących udział w tym procederze. Sprawą zajmowali się również politycy z komisji weryfikacyjnej, ale szybko sobie odpuścili, nie widząc w tym najwyraźniej potencjału wyborczego. W rezultacie – pomimo szumnych haseł – bezprawie trwa do dziś, choć może w nieco mniej spektakularnej formie. Nikt nigdzie w Warszawie nie może być pewien, czy pewnego dnia jego mieszkanie lub grunt, na którym stoi jego dom, nie stanie się nagle obiektem roszczeń jakiegoś „spadkobiercy".

MIASTO

Grunty w Warszawie są drogie i można na nich zarobić. To dobrze, że stawiane są nowoczesne wieżowce w centrum. Gorzej z tzw. plombami, czyli apartamentowcami wciskanymi w każdą wolną przestrzeń starej zabudowy, często w miejsce zieleni i pod samymi oknami istniejących domów. Ale co zrobić, skoro miastem rządzą nie urbaniści, ale deweloperzy. Liczy się nie jakość życia mieszkańców, ale szybki zysk.

Zresztą z zielenią też jest kiepsko. Jeśli nie liczyć Łazienek Królewskich, które – jako muzeum – są zadbane, większość warszawskich parków przypomina pobojowisko. Dopiero niedawno zaczęto kosić trawę (alergicy musieli się mocno nacierpieć), a to i tak nie wszędzie. Wzdłuż ulic zamiast trawników ciągną się zaśmiecone pasy chwastów. Bo ze śmieciami też jest problem. Ale Rafał Trzaskowski wytłumaczył już, że horrendalne ceny za ich wywóz to wina pisowskiego reżimu.

Wydawałoby się, że Trzaskowski jako człowiek nowoczesny powinien brać sobie do serca postulaty ekologów. I teoretycznie tak jest. Bo miasto walczy ze smogiem i ostatnio kupiło 130 elektrycznych autobusów – najwięcej w Polsce. Zgodnie z obietnicą miały jeździć po Trakcie Królewskim, ale jest tak dopiero od niedawna, bo wcześniej zapomniano o tym, że elektryczne autobusy mają baterie, które muszą regularnie ładować. A ładowarek brakowało. Dlatego jeździły na krótkich, peryferyjnych trasach. Zresztą niektóre elektryczne autobusy zakupione przez Warszawę nadal jeżdżą pod miastem. Kilka z nich wozi codziennie mieszkańców Konstancina-Jeziorny, a jeden został chyba na stałe wynajęty przez zaprzyjaźnioną z ratuszem telewizję TVN, która realizuje w nim swój program. Można go czasem spotkać na mieście, ale zamiast numeru linii ma wyświetloną nazwę stacji i nie zatrzymuje się na przystankach. Kto zresztą przejmowałby się looserami korzystającymi z komunikacji miejskiej? W razie czego będzie jeszcze trzecia linia metra. Znikąd donikąd, ale będzie.

Miasto kupiło też tramwaje, nowoczesne, koreańskie, nie jakiś polski złom. Kosztowały – bagatela – 2 mld zł. Pierwsze ze 150 pojazdów mają dotrzeć już w tym roku, ale nie zbudowano dla nich zajezdni. To znaczy właśnie ogłoszono przetarg na błyskawiczną budowę bazy, ale – z jakichś niejasnych powodów – złożone oferty są bardzo drogie. Trudno, mieszkańcy zapłacą. O ile w ogóle zapłacą, bo miasto nie poradziło sobie jeszcze całkiem ze ściągnięciem podatków za zeszły rok.

Jeżeli można byłoby znaleźć jakiś wspólny mianownik do tych kilku przytoczonych obrazków, to najwłaściwszym byłoby słowo „tandeta". A cała umiejętność Rafała Trzaskowskiego polega na tym, że potrafi tę tandetę drogo sprzedać. Kto ślepy lub mało wybredny, ten tandetę chętnie kupuje. Niestety, sporo takich w Warszawie.

eprasa.pl f739b9f58a

Pożegnanie Bohatera

13 czerwca odszedł prof. Witold Kieżun. Wspaniały człowiek, oficer AK, kawaler Orderu Virtuti Militari, sybirak oraz wybitny ekonomista, widzący Polskę w całym jej potencjale, mający plan jej rozwoju i świadomość geopolitycznych zagrożeń. I choć dożył wspaniałego wieku 99 lat, trudno pozbyć się myśli, że można było pełniej wykorzystać wspólny czas. Zostawił ogromną spuściznę i wiele niezwykle aktualnych przestróg. Może to czas, by wczytać się w nie na nowo

MARZENA NYKIEL

Prof. Kieżun walczył o Polskę od zawsze. Nie tylko jako oficer AK, broniąc stolicy w Powstaniu Warszawskim. W tej „wolnej Polsce" także dobitnie upominał się o jej gospodarczą suwerenność i alarmował, gdy ją sprzedawano. Jego „Patologia transformacji" powinna być lekturą obowiązkową. Opisał w niej destrukcyjne mechanizmy, które na lata sparaliżowały realny rozwój kraju.

BOHATERSKI ŻYCIORYS

Witold Kieżun urodził się 6 lutego 1922 r. w Wilnie. Jako dziewięciolatek stracił ojca. Wówczas wraz matką przeniósł się do Warszawy. W 1939 r. zdał maturę w stołecznym liceum im. ks. Józefa Poniatowskiego. Wspominał później, że z 32 ko-

Fot. Andrzej Wiktor

legów, z którymi przystąpił do egzaminu dojrzałości, okupację przeżyło zaledwie 15. „Wy wszyscy tego nie zrozumiecie, oni zniszczyli naszą młodość. My przez całą okupację marzyliśmy o tym, by móc odpłacić Niemcom za wszystkie upokorzenia" – wspominał. Niemcy w istocie zniszczyli mu młodość. Wskutek rany odniesionej w Powstaniu Warszawskim musiał zrezygnować z kariery pianisty. Podczas wojny uczestniczył w działalności konspiracyjnej. W 1942 r. podjął tajne studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego.

Jako członek AK walczył w Powstaniu Warszawskim pod pseudonimem Wypad w oddziale do zadań specjalnych „Harnaś" w batalionie „Gustaw". Uczestniczył w kilku zwycięskich akcjach swojego oddziału. Na legendarnych kartach historii zapisał się samodzielnym wzięciem do niewoli 14 niemieckich jeńców podczas szturmu na Pocztę Główną oraz zdobyciem karabinu maszynowego z amunicją. Wraz z oddziałem zdobywał też m.in. komendę policji i dom parafialny kościoła Świętego Krzyża. W sierpniu 1944 r. został odznaczony Krzyżem Walecznych, a miesiąc później gen. Bór-Komorowski osobiście odznaczył go Orderem Virtuti Militari. Pod koniec powstania został awansowany do stopnia podporucznika.

Po powstaniu uciekł z niemieckiego transportu wiozącego żołnierzy-powstańców do obozów jenieckich. Dostał się do Krakowa, nawiązał kontakt z tamtejszą AK. Jednak w marcu 1945 r. został aresztowany przez NKWD i wkrótce przewieziony przez Syberię do łagru w Krasnowodsku. Skrajnie wyczerpany i chory wrócił do Polski na mocy amnestii w 1946 r. Trafił wówczas do więzienia UB w Złotowie.

Po wyjściu na wolność rozpoczął studia prawnicze na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, które ukończył w 1949 r. 15 lat później uzyskał stopień doktora w Szkole Głównej Planowania i Statystyki, a w 1969 r. się habilitował. Po sześciu latach uzyskał tytuł profesora. W karnawale Solidarności wyjechał za granicę, podejmując pracę wykładowcy zarządzania m.in. na Temple University w Filadelfii i na Uniwersytecie w Montrealu. Z ramienia ONZ, a później jako przedstawiciel Kanady, pracował też w Burundi, gdzie pomagał w tworzeniu nowoczesnej administracji. Do Polski wrócił na początku lat 90. W 1995 r. został profesorem Akademii Leona Koźmińskiego. Wykładał także m.in. w Wyższej Szkole Humanistycznej w Pułtusku. Polska Akademia Nauk przyznała mu członkostwo honorowe. Za wybitne osiągnięcia naukowe w 2007 r. otrzymał Nagrodę Ministra Nauki Szkolnictwa Wyższego.

ROZLICZENIE TRANSFORMACJI I KRYTYKA BALCEROWICZA

Prof. Witold Kieżun był zdecydowanym krytykiem tzw. planu Balcerowicza, który – jak podkreślał – zrujnował kilkaset polskich przedsiębiorstw, czyniąc je łatwym łupem dla spekulacyjnego kapitału zagranicznego oraz postkomunistycznych elit. Opisał ten proceder w książce „Patologia transformacji". W 2017 r. w wywiadzie udzielonym portalowi wPolityce.pl podkreślił, jak szkodliwa była wówczas rola Leszka Balcerowicza. „To, że Balcerowicz nie dostał 10 lat więzienia, to jego szczęście. On wykonywał plan Sorosa, przecież przedstawiciel Sorosa cały czas był przy nim, a Balcerowicz na wszystko się zgadzał. Straciliśmy przez jego politykę 594 przedsiębiorstwa, które zostały sprzedane prawie za darmo i zostały opanowane przez kapitał zagraniczny lub zlikwidowane. To była potworna klęska, bo spowodowało to olbrzymie bezrobocie i ruinę gospodarczą. Opisałem to wszystko dokładnie w książce »Patologia transformacji«, która wyszła w 80 tys. egzemplarzach i miała trzy wydania. Balcerowicz powinien być oskarżony i siedzieć 10 lat w więzieniu za to, że był wykonawcą planu Sorosa, który w dalszym ciągu niszczy Polskę" – mówił. „Soros przyjechał 8 maja 1988 r. i ustalił, że przejdziemy na system kapitalistyczny, a średniej wielkości przedsiębiorstwa przejmą aktywiści PZPR. I 62 proc. tych przedsiębiorstw jest własnością dawnych aktywistów PZPR. Taka jest rzeczywistość. Dziś finansuje on w naszym kraju, na Węgrzech i gdzie tylko może idee świata bez narodowości, bez granic państwowych" – podkreślał.

OBRONA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

W 2016 r., rozprawiając się ze współczesnymi reinterpretacjami czasów II wojny światowej, wyjaśniał w rozmowie z portalem wPolityce.pl, dlaczego Powstanie Warszawskie musiało wybuchnąć: „Gdyby nie było powstania, 100 tys. mieszkańców stolicy zostałoby rozstrzelanych przez Niemców za to, że nie zgłosili się na rozkaz władz okupacyjnych do budowania barykad. To był jedyny rozkaz, który w czasie wojny nie został wykonany. Warszawa zgodnie z rozkazem Hitlera miała być twierdzą, która miała walczyć do końca. Nie można było się

REKLAMA

77/0521/F

eprasa.pl f739b9f58a

skutecznie bronić, jeżeli wiadomo, że w mieście jest podziemna armia, więc wcześniej trzeba było wymordować tę armię. Plucie na powstanie uważam za coś negatywnego".

Swoje powstańcze wspomnienia prof. Kieżun opisał we wspaniałej książce „Niezapomniane twarze". Zachwycił się nią Zbigniew Herbert, który w „Tygodniku Solidarność" opublikował swoją recenzję. „Leży przede mną książka znakomita i chyba całkowicie zignorowana przez polską krytykę. Sto kilkadziesiąt stron olśniewająco czystej, eleganckiej, sprawnej polskiej prozy nie znalazło uznania w oczach aptekarzy i trucicieli naszej literatury. W oczy rzuciła mi się przede wszystkim kompozycja tej minipowieści oraz styl, który trafnie charakteryzuje autora. Niepowtarzalna proza Witolda Kieżuna to zaledwie czternaście krótkich rozdziałów zamykających się w narracyjną całość. Całkowicie świadom wzruszenia, jakie towarzyszyło mi podczas lektury, stwierdziłem z przekonaniem, że obcuję z jednym z najwybitniejszych utworów półwiecza. Proza Witolda Kieżuna, nasycona wszystkimi zapachami, smakami, kolorami tej ziemi, mimo szczupłej objętości sprawia wrażenie ogromnego, apokaliptycznego fresku z narodowej Kaplicy Sykstyńskiej" – pisał Herbert, podkreślając, że z Kieżunem łączy go nierozerwalnie prawie wszystko. „Ze spokojnym sumieniem polecam »Niezapomniane twarze« każdemu niezależnie od tego, z jakiej warstwy społecznej pochodzi, czy też jaką szkołę pięknego pisania ceni najbardziej. Nigdy dotąd nie zdarzyło mi się pisać w poczuciu, że oto dotykam prawdy, że uczestniczę niejako w wielkim spisku Historii" – podkreślił autor „Pana Cogito" Zbigniew Herbert.

Swoje powstańcze wspomnienia prof. Kieżun opisał w książce „Niezapomniane twarze". Zachwycił się nią Zbigniew Herbert, który w „Tygodniku Solidarność" opublikował swoją recenzję. „Leży przede mną książka znakomita i chyba całkowicie zignorowana przez polską krytykę. Sto kilkadziesiąt stron olśniewająco czystej, eleganckiej, sprawnej polskiej prozy"

PRÓBA ZNISZCZENIA BOHATERA

Kilka lat temu z prof. Kieżuna próbowano zrobić zdrajcę. Był to moment, w którym dzisiejsza opozycja kreowała własnych bohaterów Powstania Warszawskiego i Solidarności, po swojemu reinterpretując historię. Na różnych polach eliminowano z życia publicznego tych, którzy żądali przejrzystości działań, wytykając błędy polityczne i nazywając kłamstwa po imieniu. Do dziś trudno pozbyć się wrażenia, że rzucając oskarżenia na prof. Kieżuna, chciano go uciszyć, pozbawić głosu, zdyskredytować na tyle skutecznie, by jego opinie nie miały możliwości oddziaływania w debacie publicznej. Ogromnie boli, że ta opinia żyje do dziś swoim sfalsyfikowanym życiem. Pewnie dlatego, że cios wyszedł ze strony konserwatywnej. Profesorowi zarzucono współpracę z SB w latach 70. Na rewelacje Sławomira Cenckiewicza i Piotra Woyciechowskiego opublikowane w tygodniku „Do Rzeczy" odpowiedział wówczas na łamach tygodnika „Sieci" dr Piotr Gontarczyk. Po przeanalizowaniu dokumentów, na które powoływali się autorzy, uznał je za niewiarygodne. „Podsumowując: dokument, który stanowił ważny dowód przeciwko prof. Kieżunowi, jest niewiarygodny. Kolejny wywód »Tajemnicy „Tamizy"« leży w gruzach, podobnie jak wyliczenia autorów liczby spotkań i przekazanych przez »Tamizę« informacji. Wszystko nadaje się do kosza. Na obronę autorów dodam, że tym razem nie zawiniła zła wola. To lichy warsztat, który uniemożliwił im krytykę obszernie cytowanego dokumentu. Szkoda tylko, że rachunek za jakość ich pracy znów zapłacił prof. Kieżun" – napisał dr Piotr Gontarczyk.

Do publikacji odniósł się także sam prof. Kieżun w wywiadzie dla tygodnika „Sieci": „To nie jest uderzenie we mnie. Tu chodzi o to, by zniszczyć ideę powstańczej walki o wolność. Pamiętajcie panowie, co się dzieje: Polska ginie. My naprawdę żyjemy w 1937 r., wystarczy uważnie poczytać przemówienia Putina". Odniósł się także do samej publikacji. „13 maja 2014 r. pan Piotr Woyciechowski przyniósł mi do domu dokument zatytułowany »Zobowiązanie Tajnego Współpracownika, pseudonim „Tamiza", nr Ewidencyjny 7119«. I do tego moje zdjęcie sprzed 40 lat. Był to jeden z najtragiczniejszych dni mojego życia. Pan Woyciechowski może powiedzieć, jaka była moja reakcja. Nie chciałem żyć [...]. Początkiem mojej gehenny, niezwykle dociekliwych, nieufnych i niestety wyraźnie nieżyczliwych badań oraz oskarżeń panów Woyciechowskiego i Cenckiewicza jest zorganizowana w Warszawie przez TNOiK w 1971 r. pierwsza w PRL polsko-amerykańska naukowa konferencja na temat zarządzania organizacjami gospodarczymi" – mówił prof. Kieżun w rozmowie z tygodnikiem „Sieci".

WIERNA SŁUŻBA POLSCE

Pomimo tych prób wyeliminowania prof. Kieżuna z życia publicznego służył Polsce do samego końca, choć był już mocno schorowany. Dożył niemal setki, a nieustannie odzywał się z patriotycznymi apelami, zwłaszcza do młodzieży. Zwrócił na to uwagę także prezydent Andrzej Duda w swoim kondolencyjnym wpisie na Facebooku: „Ze smutkiem przyjęliśmy z Agatą wiadomość o odejściu Pana Prof. Witolda Kieżuna. Nie tak dawno świętowaliśmy z Nim 99. rocznicę urodzin. Uśmiechał się i mówił, że chciałby żyć 110 lat. Pan Bóg zdecydował inaczej. Panie Profesorze, dziękujemy za Pana wielką miłość do Polski! R.I.P.".

Prof. Kieżun żył pięknie, kochał Polskę, służył jej z oddaniem i wielką pasją. Pozostawił wielki dorobek i mnóstwo niezwykle aktualnych przestróg. Może tym razem wczytamy się w nie bardziej wnikliwie i potraktujemy je poważnie...

Reklama | 78/0421/F

eprasa.pl f739b9f58a

OGÓLNOPOLSKI TYGODNIK KATOLICKI

WYDANIE SPECJALNE DLA 19 DIECEZJI

DOSTĘPNY W PARAFIACH, KIOSKACH I NA POCZCIE

niedziela

TYGODNIK KATOLICKI OD 1926

+ REGINA POLONIÆ

niedziela.pl

niezbędnik katolika

księgarnia niedziela

niedziela tv

niedziela FM

moje pismo TĘCZA

WIARY GODNE MEDIA

tkniedziela

@tygodnik.niedziela

@niedziela_pl

JESTEŚMY DLA WAS OD 95 lat

eprasa.pl f739b9f58a

Zatrzymać wymieranie Polski

Zapowiedział ją w exposé premier Mateusz Morawiecki, mówiąc, że chciałby, aby w trwającej właśnie kadencji powstała strategia demograficzna i strategia wielkiego powrotu Polaków do ojczyzny. „Możemy być za 20 lat znacząco większym narodem" – mówił w Sejmie premier, rozpoczynając kolejną kadencję rządu Zjednoczonej Prawicy. Strategia Demograficzna 2040 powstała i trafiła właśnie do konsultacji społecznych

DOROTA ŁOSIEWICZ

Niestety 500+ nie wystarczyło, by cofnąć katastrofalne trendy demograficzne, choć w pierwszych latach działania programu zaczęło się rodzić więcej dzieci, niż prognozowano. Jednak wyż solidarnościowy się starzeje, wchodząc w fazę późnej prokreacji, a kolejne roczniki młodych kobiet, w tzw. wieku reprodukcyjnym, są mniej liczne, więc także ich dzietność jest niższa.

Jeszcze kilka lat temu polskie perspektywy demograficzne według Eurostatu na najbliższe cztery dekady były jednymi z najgorszych w Unii Europejskiej. Natomiast dane Eurostatu z 2020 r. przewidywały, że w ciągu dekady z Polski ubędzie 1 mln osób, a już w 2100 r. ma nas być aż o 10 mln mniej. Wizje naukowców są znacznie gorsze. Na łamach medycznego czasopisma „The Lancet" eksperci prognozowali, że do 2100 r. Polaków będzie ok. 13–15 mln. Od ponad ćwierćwiecza w Polsce utrzymuje się okres depresji urodzeniowej – niska liczba urodzeń nie gwarantuje prostej zastępowalności pokoleń. W 2015 r. współczynnik dzietności wyniósł 1,29. Według najnowszej

Fot. MRPIPS

eprasa.pl f739b9f58a

publikacji GUS z 31 maja br. „Polska w liczbach 2021" współczynnik dzietności w Polsce w 2020 r. wynosił 1,378. Jest to najniższy wynik od 2016 r., kiedy wyniósł on 1,357. Natomiast najniższy współczynnik dzietności w Polsce w XXI w. (1,222) odnotowano w 2003 r. Innymi słowy – w Polsce w 2020 r. na 1000 kobiet w wieku rozrodczym urodziło się 1378 dzieci. Gdybyśmy chcieli uzyskać poziom zastępowalności pokoleń, przelicznik ten powinien zawierać się w przedziale 2100–2150.

Mała liczba narodzin wiąże się nie tylko z tym, że w wiek reprodukcyjny wchodzą znacznie mniejsze tzw. kohorty dziewcząt. Mała liczba narodzin wiąże się także z przesunięciem najwyższej płodności kobiet z grupy wieku 20–24 lata (najwyższa płodność obserwowana do połowy lat 80. XX w.) do grup 25–29 lat oraz 30–34 lata (obecnie płodność kobiet w tych dwóch grupach wiekowych jest prawie równa). W ten sposób statystyczna kobieta rodząca w Polsce pierwsze dziecko ma dziś niemal 30 lat, a co za tym idzie, zdąży urodzić mniej dzieci. Dzietność na poziomie niegwarantującym zastępowalności pokoleń, starzenie się społeczeństwa to realne zagrożenie, ponieważ konsekwencje tego stanu poniosą wszyscy Polacy (bez względu na to, czy żyją w rodzinach, mają dzieci, czy żyją w pojedynkę).

Zmniejszająca się liczba ludności Polski wraz ze zmianą struktury demograficznej społeczeństwa (coraz więcej osób starszych w stosunku do dzieci i młodzieży) spowoduje wiele negatywnych konsekwencji: spadek wzrostu gospodarczego (brak osób w wieku produkcyjnym), obniżenie innowacyjności, spadek popytu wewnętrznego i konsumpcji, spadek możliwości dostarczania usług publicznych i wreszcie negatywny wpływ na system emerytalny. Dlatego rząd musi spróbować odwrócić te trendy.

WYZWANIE

„Dziś stoimy przed dziejowym wyzwaniem związanym z niekorzystnymi trendami w obszarze demografii, czyli spadkiem dzietności, któremu towarzyszy starzenie się polskiego społeczeństwa. Dlatego podjęliśmy decyzję o opracowaniu kompleksowej i wieloletniej strategii demograficznej" – mówił premier w dniu, gdy Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej zaprezentowało program opracowany przez pełnomocnika rządu ds. demografii Barbarę Sochę. „Dzięki temu, że prace nad strategią toczyły się równolegle z Polskim Ładem, mieliśmy możliwość stworzenia dwóch, strategicznie ważnych i jednocześnie doskonale uzupełniających się planów – czego najlepszym dowodem jest to, że część programów Polskiego Ładu wprost realizuje kierunki zdefiniowane w Strategii Demograficznej 2040. W ten sposób możemy działać szybko i jestem głęboko przekonany, że zdołamy zatrzymać negatywne trendy, a w długofalowej perspektywie odwrócić je i umożliwić Polakom budowanie szczęśliwych rodzin, tak dużych, jak tego naprawdę pragną" – mówił Mateusz Morawiecki.

> W 2020 r. na 1000 Polek w wieku rozrodczym urodziło się 1378 dzieci. Gdybyśmy chcieli uzyskać poziom zastępowalności pokoleń, przelicznik ten powinien się zawierać w przedziale 2100–2150

„Wzmacnianie polskich rodzin należy do priorytetów rządu Zjednoczonej Prawicy od momentu przejęcia sterów państwa w 2015 r." – przypomniała Marlena Maląg, minister rodziny i polityki społecznej. „Nasza Strategia Demograficzna 2040 jest kompatybilna ze Strategią na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju i z Polskim Ładem. Wyznacza kierunki i pokazuje kompleksowość działań zmierzających do poprawy struktury demograficznej kraju. Proponujemy rozwinięcie i uzupełnienie dotychczasowych działań na rzecz rodzin, takich jak Rodzina 500+, Dobry Start, Maluch+ czy Karta Dużej Rodziny, i podejmujemy się realizacji nowych programów, które – dzięki swojej kompleksowości – zniosą wszystkie bariery dzietności. Inwestowanie w rodziny i tworzenie dla nich jak najlepszych warunków do funkcjonowania i przychodzenia na świat dzieci jest polską racją stanu. Powinno więc odbywać się ponad podziałami i być nieprzerwanie kontynuowane przez kolejne pokolenia" – nie ma wątpliwości minister Maląg.

„Jeśli nie podejmiemy przemyślanych, stabilnych, spójnych i kompleksowych działań, grozi nam zahamowanie rozwoju, co niekorzystnie wpłynie na warunki życia polskich rodzin w przyszłości. Nadal jednak mamy dużą szasnę na uniknięcie takiego scenariusza" – nie ma wątpliwości pełnomocnik rządu ds. polityki demograficznej Barbara Socha. „Zbadaliśmy m.in. to, jak wygląda idealna rodzina według Polaków. Wnioski są budujące: rodzina jest ciągle naszym życiowym priorytetem. Niestety wiele osób ma mniej dzieci, niż deklaruje, że chciałoby mieć. Dlatego naszym głównym zadaniem będzie umożliwienie rodakom spełnienie ich oczekiwań i marzeń dotyczących szczęśliwej rodziny" – uważa Barbara Socha. „Podczas prac nad strategią zidentyfikowano 10 obszarów, które to utrudniają. W tym obszary wymagające pilnego działania: mieszkanie, łączenie pracy i opieki nad dziećmi oraz zdrowie, edukację i infrastrukturę. Będą na nie oddziaływać liczne programy Polskiego Ładu, ale mamy też nowe propozycje związane z poniesieniem elastyczności i stabilności pracy, która – jak wynika z badań – jest ważna dla podejmowania decyzji o posiadaniu dzieci" – tłumaczy Socha.

DZIETNOŚĆ

Strategia Demograficzna 2040 koncentruje się na dzietności, ponieważ zdaniem ekspertów długofalowo jest to najlepszy sposób na przywrócenie korzystnej struktury demograficznej polskiego społeczeństwa.

eprasa.pl f739b9f58a

Eksperci zidentyfikowali 10 obszarów wpływających na decyzję o posiadaniu dzieci i zaproponowali 12 kierunków interwencji w ramach 3 celów szczegółowych. Są to:

Cel szczegółowy 1 – Wzmocnienie rodziny:

– zabezpieczenie finansowe rodzin (konsekwentnie realizowane od 2015 r. poprzez liczne programy, w tym Rodzinę 500+);
– wsparcie w zaspokojeniu potrzeb mieszkaniowych rodzin (kierunek priorytetowy mieszkanie);
– wsparcie trwałości rodzin;
– popularyzacja kultury sprzyjającej rodzinie;
– wzmocnienie współpracy z III sektorem i innymi podmiotami działającymi na rzecz rodziny.

Cel szczegółowy 2 – Znoszenie barier dla rodziców chcących mieć dzieci:

– rozwój rynku pracy przyjaznego rodzinie (kierunek priorytetowy praca);
– rozwój form opieki nad dziećmi (realizowany od 2015 r. kierunek priorytetowy opieka);
– rozwój opieki zdrowotnej (kierunek priorytetowy zdrowie);
– poprawa jakości i organizacji edukacji;
– rozwój infrastruktury i usług potrzebnych rodzinom.

Cel szczegółowy 3 – Podniesienie jakości zarządzania i wdrażania polityk:

– podniesienie jakości zarządzania i wdrażania polityk na szczeblu centralnym;
– podniesienie jakości zarządzania i wdrażania polityk na szczeblu samorządowym.

W rezultacie powstał katalog 104 różnych działań, z których wiele będzie realizowanych w ramach programów Polskiego Ładu. To m.in. Rodzinny Kapitał Opiekuńczy, Mieszkanie bez Wkładu Własnego, Bon Mieszkaniowy, Mój Dom 70 m², Maluch+, zwiększenie nakładów na zdrowie oraz programy pośrednio realizujące postulaty strategii – takie jak program Świetlica i Żłobek w każdej gminie.

PRACA

Badania poprzedzające opracowanie strategii dowiodły, że na podjęcie decyzji o urodzeniu dziecka duży wpływ ma poczucie bezpieczeństwa finansowego. Dlatego w ramach Strategii Demograficznej 2040 rząd proponuje wprowadzenie dodatkowych rozwiązań zwiększających elastyczność i stabilność pracy. Należą do nich:

– gwarancja elastycznej pracy dla kobiet w ciąży oraz rodziców dzieci do lat 4 (praca zdalna, praca hybrydowa lub elastyczny czas pracy). Wybór będzie uzależniony od charakteru wykonywanej pracy oraz dokonywany na podstawie porozumienia pracodawcy z pracownikiem;
– gwarancja pracy w zmniejszonym wymiarze godzin dla kobiet w ciąży oraz rodziców dzieci do lat 4, poszerzona o zapis, że pracodawca nie może dyskryminować pracownika ze względu na wymiar czasu pracy poprzez wykluczenie go z przywilejów pracowniczych;
– gwarancja, że różne elastyczne formy mogą być stosowane równocześnie, w zależności od charakteru wykonywanej pracy (dokonany w formie porozumienia pracodawcy z pracownikiem).

Oraz rozwiązania zwiększające stabilność pracy:

– ograniczenie możliwości zawierania umów o pracę na czas określony z osobami w wieku do 40 lat do maksymalnie dwóch umów, na łączny czas nieprzekraczający 15 miesięcy;
– ochrona przed zwolnieniem dla obojga rodziców (obecnie z takiej ochrony korzysta matka).

Propozycja zmian obejmuje:

– rozszerzenie przepisu i objęcie matek ochroną przez okres do roku po powrocie do pracy z urlopu macierzyńskiego lub rodzicielskiego (niezależnie od wymiaru czasu pracy);
– wprowadzenie ochrony dla ojców w ciągu pierwszego roku życia dziecka. W przypadku małżeństw ta ochrona obowiązywałaby od momentu zajścia żony w ciążę;
– wprowadzenie obowiązku poinformowania pracownika o uprawnieniach związanych z rodzicielstwem przy podpisaniu umowy o pracę.

Z badań poprzedzających powstanie Strategii Demograficznej wynika, że stabilność pracy i związanego z nią stabilnego dochodu rodziny są ważne przy podejmowaniu decyzji o posiadaniu dziecka. A kiedy ono się urodzi i skończy się urlop rodzicielski, kluczowe staje się połączenie obowiązków zawodowych obojga rodziców z opieką nad dziećmi, stąd decyzja o włączeniu tego obszaru do priorytetowych kierunków działań.

ZDROWIE

W badaniach poprzedzających przygotowanie Strategii Demograficznej 2040 blisko 35 proc. respondentów zadeklarowało, że wpływ na ich decyzję o posiadaniu dzieci ma jakość systemu opieki zdrowotnej (w tym pediatrycznej). Niemal tak samo często respondenci wskazywali na kwestię jakości opieki prenatalnej i okołoporodowej. Zwiększenie nakładów na ochronę zdrowia do 7 proc. to jeden z fundamentów Polskiego Ładu. Program przewiduje także wiele działań wprost adresujących zgłaszane przez respondentów problemy (np. powszechny i bezpłatny dostęp do badań prenatalnych). Poprawa jakości ochrony zdrowia to także jeden z priorytetowych kierunków Strategii Demograficznej 2040, w którego ramach rekomendowane są dodatkowe działania nieujęte w Polskim Ładzie.

Jednym z nich jest utworzenie (we współpracy z administracją samorządową) modelowego centrum zajmującego się zdrowiem prokreacyjnym. Centrum ma zapewniać: kompleksową, wysokospecjalistyczną opiekę nad niepłodnymi parami oraz parami z doświadczeniem poronienia, rodzicami oczekującymi urodzenia dziecka, rodziną po urodzeniu dziecka, edukację personelu medycznego i pacjentów, możliwość prowadzenia działalności naukowo-badawczej.

Strategia Demograficzna 2040 powstała na podstawie wielomiesięcznej analizy badań i ponad 650 źródeł naukowych z Polski i zagranicy. Czy wystarczy, by Polska przestała wymierać? To zależy, czy uda się działać długofalowo, konsekwentnie i przez wiele lat. Ważny jest konsens społeczny w kwestii działania na rzecz demografii, utarty ponad podziałami partyjnymi i we współpracy rządu, samorządów, pracodawców, organizacji pozarządowych, a także rodzin. Więcej dzieci nie zacznie się rodzić z dnia na dzień. Trzeba myśleć w kategoriach całego pokolenia.

eprasa.pl f739b9f58a

Pierwszy rozdział chińskiej zarazy mamy już za sobą. Być może będzie ona zamierać. Naturalnie wcześniej czy później pojawią się albo jej mutacje, albo nowe pandemie, albo jedno i drugie. W każdym razie doświadczenia, które dzięki chińskiemu wirusowi uzyskaliśmy, wystarczają, aby sformułować kilka refleksji dotyczących polityki, życia społecznego i stanu współczesnej cywilizacji. Potwierdzają, że o ile dobrze byłoby, gdyby ludzie potraktowali poważnie maksymę Cycerona o historii jako nauczycielce życia, o tyle, traktując ją właśnie poważnie, nie ma co na to liczyć. Zwykle stanowiła ona będzie arbitralnie wykorzystywany instrument do uzasadnienia żywionych niezależnie od niej poglądów

DODATEK SPECJALNY

Refleksje postpandemiczne

BRONISŁAW WILDSTEIN

Fot. Andrzej Wiktor

1 Zaraza pokazała raz jeszcze, że narodowe państwo nie tylko nie umarło, ale stanowi współcześnie optymalny sposób urządzenia zbiorowego życia. Sprawa byłaby oczywista, gdyby nie została gruntownie zmistyfikowana przez dominującą ideologię i działające w jej paradygmacie najważniejsze ośrodki opiniotwórcze. Człowiek jest bytem społecznym i jakkolwiek nie wyczerpuje się w żadnej formie zbiorowości, to bez nich staje się bezbronny i nie potrafi organizować swojej egzystencji. Demonstruje to obecny stan społeczeństwa masowego, w którym wykorzenieni z tradycyjnych wspólnot i żyjący w szczególnych warunkach wielkich zatomizowanych gromad, w „samotnym tłumie", ludzie instynktownie ad hoc tworzą nowe rodzaje zbiorowej zażyłości i za wszelką cenę usiłują przezwyciężyć tak opiewaną we współczesnej ideologii wyemancypowaną wolność, która okazuje się uległą silniejszym samotnością.

W świecie zachodnim największymi wspólnotami, które realnie integrują dziś ludzi, są narody. Mają do pewnego stopnia charakter naturalny. Nie dlatego, że zrodziły się wraz z homo sapiens, ale dlatego, że stanowią partykularne formy, w których objawia się kultura nadająca mu ludzki kształt. Są najszerszymi współcześnie, niezbędnymi dla jego egzystencji środowiskami, do których przynależność wykracza poza kontraktualnie pojęty interes i stanowi wspólnotę losu. W tym sensie, wbrew modnym mędrkom, narody trwają nieomal całą historyczną epokę, chociaż ich kształt ewoluuje.

Człowiek funkcjonuje w miarę sprawnie, jeśli posiada głębszą niż tylko utylitarna więź z tymi, z którymi zmuszony jest współegzystować, a więc i współdziałać. Jeśli jej nie odczuwa, skłonny jest poświęcać zbiorowy interes na rzecz partykularnego, indywidualnego czy środowiskowego, nawet jeśli w sumie, w wymiarze pragmatycznym okazuje się to dla niego niekorzystne. Ludzie nie są do końca bytami racjonalnymi – zresztą sama racjonalność niesie w sobie istotne ograniczenia – a w swoich działaniach w dużej mierze kierują się poczuciem bliskości, które wyrasta z tradycji i wspólnych przeżyć oraz tworzy między nimi emocjonalną więź. Działanie bez uwzględnienia tych prawidłowości prowadzi do traktowania ludzi przedmiotowo – takie są konsekwencje inżynierii społecznej i wszelkich form konstruktywizmu – a więc w konsekwencji skazane jest również na nieskuteczność. Wszystkie te problemy przy okazji pandemii ujawniły się w odniesieniu do UE.

> ***Porażka UE w starciu z pandemią niczego nie nauczyła euroentuzjastów. Jedyną odpowiedzią na problemy Unii ma być przyspieszenie jej integracji, która ich zdaniem stanowi panaceum na wszystkie problemy***

2 Teoretycznie rzecz biorąc, struktury takie jak Unia lepiej powinny sobie radzić z wyzwaniami w rodzaju wielkiej zarazy. Produkcja, zakup i dystrybucja leków oraz szczepionek wydają się łatwiejsze i bardziej efektywne na ponadpaństwową skalę, tak jak i podejmowanie wspólnych inicjatyw oraz zatwierdzanie międzynarodowych rozwiązań w obliczu wirusa, który nie przejmuje się granicami. Okazało się jednak, że nie tylko biurokracja unijna nie radzi sobie z tymi zadaniami, ale w sytuacji zagrożenia interes własny państw członkowskich ostentacyjnie przeważa nad dobrem kontynentu, a co więcej, w wypadku kontynentalnych potęg sprzedawany jest pod jego szyldem, co potencjalną przewagę UE czyni jej karykaturą i zastępuje korzyścią mocniejszych.

Najpierw byliśmy świadkami cichych walk o to, w którym kraju produkowana będzie szczepionka i bezwzględnych prób eliminacji konkurencji. Niemcy i Francja robiły wszystko, aby zdezawuować produkowaną w Wielkiej Brytanii AstręZenecę i wypromować swoje preparaty. Zderzenie tego typu egoizmów ze skalą zagrożenia powinno wywołać publiczną debatę na temat oficjalnych haseł i praktyki funkcjonowania UE. Żadnej dyskusji jednak nie było, a wszelkie jej próby czy to w PE, czy innych instytucjach były tłumione w zarodku. Pandemiczny festiwal hipokryzji bił rekordy.

Kiedy strategia wspólnych zakupów została wynegocjowana i ogłoszona jako bezwzględnie obowiązująca dla całej Unii, okazało się, że Berlin nic

eprasa.pl f739b9f58a

sobie z niej nie robi i na boku nabywa ogromne ilości szczepionki. Na poziomie Brukseli błyskawicznie przyjęto więc, że to, co do tego momentu było europejskim prawem, jest ledwie zaleceniem, które nikogo, a zwłaszcza najsilniejszych, nie wiąże.

Przy okazji ujawniła się przyczyna szokującej nieudolności Unii, przy której praktyka nawet niespecjalnie sprawnych państw okazuje się efektywna. Za obciążoną poważnymi konsekwencjami lekkomyślność jej centralnych urzędów – chodziło przecież o zdrowie i życie wielkiej liczby ludzi – skandaliczne błędy w negocjacjach z producentami, niedotrzymywanie terminów itp. nikt nie poniósł konsekwencji, co jednak w wypadku władz państwowych, zwłaszcza w demokracji, nie byłoby możliwe.

Wydarzenia te odsłoniły raz jeszcze charakter obecnej Unii, imperium sterowanego przez centrum, a zwłaszcza jego najważniejszego gracza, czyli Niemcy. Urzędnicza oligarchia, która stanowi reprezentację tych sił, nie jest przez nikogo kontrolowana, chyba że, rzecz nieprawdopodobna, biorąc pod uwagę sposób jej wyłonienia, spróbowałaby naruszyć imperialne status quo. Nierozliczane przez nikogo instytucje muszą się degenerować i funkcjonują coraz gorzej, a UE jest tego doskonałym przykładem.

Wprawdzie państwa narodowe siłą rzeczy radziły sobie lepiej, ich działanie zainfekowane zostało wojną cywilizacyjną – podmywa ona fundament wspólnoty, bez której organizm polityczny zaczyna się rozpadać, a demokracja staje się pustą formą. Obserwować mogliśmy to w Polsce, gdzie z powodu pragnienia delegitymizacji rządzących tzw. totalna opozycja (sama ta autoproklamacja powinna ją kompromitować) odmawiała zgody na jakiekolwiek minimum ponadpartyjnych działań, a zarazę traktowała jako wygodny instrument do ataku na władzę. W swoich przedsięwzięciach wspierana była przez dominujące ośrodki opiniotwórcze i media, co problem zasadniczo pogłębiało.

KORSUN

3 Porażka UE w starciu z pandemią niczego nie nauczyła euroentuzjastów. Jedyną odpowiedzią na problemy Unii ma być przyspieszenie jej integracji, która ich zdaniem stanowi panaceum na wszystkie problemy. Podejście to doskonale odwzorowuje strategię komunistycznych władz. Na wszelkie bolączki socjalizmu lekarstwem miało być więcej socjalizmu. Wprawdzie „człowiek jeszcze do niego nie dorósł", ale intensywna „pieriekowka" przekształcić powinna go w byt doskonalszy, czyli podatny na działania społecznych inżynierów.

– Gdyby Unia była realnie zjednoczona, nie dochodziłoby do gorszących przejawów partykularyzmu, a przewaga kontynentalnego kolektywu mogłaby się ujawnić – argumentują euroentuzjaści. Nawet czysto teoretycznie nie jest to słuszne, gdyż w obecnej Europie, w której żyją świadome swojej odmienności narody, w przewidywalnej przyszłości nie sposób wytworzyć poczucia wspólnoty na tyle silnego, aby powołać jedno ciało polityczne. Narody można w nie wtłoczyć wyłącznie przemocą, co stopniowo próbuje uczynić kontynentalny establishment. Bez demosu z demokracji zostaje jednak wyłącznie kratos – siła, czyli naga władza. Dodatkowo w tym stanie rzeczy narzucenie odgórnej integracji wzmogłoby problemy niekontrolowanej przez nikogo biurokracji rządzącej, czego efekty mogliśmy obserwować przy okazji pandemii, i dominację najsilniejszych, czyli przede wszystkim Niemiec.

Nieporozumieniem jest porównywanie europejskiej arbitralnej presji,

eprasa.pl f739b9f58a

jak w ogóle inżynierii społecznej, z tradycyjnymi zabiegami pedagogicznymi, które prowadzić miały do moralnego oraz kulturalnego postępu i odwoływały się do określonego ideału. Tamte liczyły się z naturą człowieka i wprawdzie dążyły do wzmocnienia jej pozytywnych aspektów, a więc jego doskonalenia, ale rozumiały naturalne ograniczenia ludzkiego bytu, a idea jego całościowego przemodelowania była ich rzecznikom całkowicie obca.

4 Jest rzeczą właściwą, że w sytuacji zagrożenia, a więc np. zarazy, państwo zaczyna stosować nadzwyczajne środki. Jego rolą jest stawienie czoła takim niecodziennym, co nie znaczy historycznie rzadkim, wyzwaniom. W tym wypadku te konieczne działania spotkały się ze znaczącym i narastającym sprzeciwem obywateli. Dotyczyło to także państw tradycyjnie cieszących się dużą dyscypliną społeczną jak Niemcy. W dominującej liberalnej narracji zjawisko to postrzegane było jako odpowiednik politycznych ruchów sprzeciwu zwanych populistycznymi i uznawane za taki sam przejaw atawistycznego irracjonalizmu. I choć można się zgodzić, że postawy te demonstrują podobny syndrom oporu, to jednocześnie są logiczną konsekwencją zderzenia dominującej ideologii z rzeczywistością.

Wszystkie formy ludzkich instytucji oraz zbiorowego trwania potrzebują zaufania, które stanowi podstawowy kapitał społeczny. Do jednych przedsięwzięć trzeba go więcej, do innych mniej, ale bez jego elementarnego kwantum nie sposób podjąć wspólnego działania, a żadna instytucja funkcjonować nie może. Tymczasem panująca dziś ideologia uderza w samą jego zasadę. Utrwalone w historii cywilizacyjne struktury, idee oraz zachowania zastępowane są arbitralnymi, powoływanymi ad hoc przez dominujące ośrodki ideologicznymi rozstrzygnięciami. Sankcja trwałości i wyrastającej z niej zgody zastępowana jest przemocą symboliczną oraz coraz częściej realną, którą gwarantuje rozbudowywany i zwiększający szczelność system prawny. Tyle że sama przemoc nie buduje zaufania, a niezgoda na status quo powoduje narastający sprzeciw, który ujawnić się może w najbardziej nieoczekiwanych sferach także w postawach nieracjonalnych, np. w niezgodzie na pandemiczne restrykcje.

5 Liberalna demokracja, która ma coraz mniej związku z realnym ludowładztwem, prowokuje nieufność rządzonych do rządzących. Ci z kolei uwięzieni w swoich światopoglądowych schematach nie rozumieją tego, co się dzieje, i są w stanie odpowiedzieć na wzbierający kryzys wyłącznie intensyfikacją takich samych działań. Na problemy Europy więcej Europy, na kryzys liberalizmu więcej liberalizmu. Elitom wydaje się nieprawdopodobne, że masy nie chcą podążać za ich światłym przywództwem w kierunku raju emancypacji i tłumaczą to wyłącznie knowaniami populistów. Sprawę ma więc rozwiązać ich wyeliminowanie, unicestwienie tych, którzy pojawili się nie wiadomo skąd ku utrapieniu wszystkich światłych i rozumnych. Odpowiedzią na niezadowolenie społeczne jest dociskanie śruby czy to w przekazie ośrodków opiniotwórczych, czy poprzez sankcje prawne oraz szykany wymierzone w kontestatorów.

> ***Odpowiedzią na niezadowolenie społeczne jest dociskanie śruby czy to w przekazie ośrodków opiniotwórczych, czy poprzez sankcje prawne oraz szykany wymierzone w kontestatorów***

Zachowanie to raz jeszcze demonstruje mentalne podobieństwo liberałów i komunistów. Dziś działania tych pierwszych prowadzą do pogłębienia kryzysu i czynią świat zachodni coraz mniej sterownym. W efekcie nie potrafi on efektywnie reagować na nieuniknione kryzysy w rodzaju pandemii.

Rządzący w szerokim tego słowa znaczeniu, czyli również kreatorzy opinii, zdumiewają się brakiem zaufania ze strony coraz większych grup społecznych, podczas gdy ich postawa musiała do tego doprowadzić. Ci, którzy przez pokolenia tłumaczyli, że idea prawdy jest opresyjna oraz dwuznaczna, a nawet jej najbardziej szacowne wcielenia są umowne i dlatego winny być zastąpione przez formułę równoległych narracji, oburzają się, że lud nie do końca chce wierzyć w serwowaną mu przez nich, jedynie słuszną prawdę.

6 Zaufanie wyrasta z długiego trwania zbiorowości. To w nim ludzie budują zakorzenione w religijnym oraz metafizycznym porządku rzeczy obyczaje oraz postawy, uzyskują przekonanie, że generalnie stykać się będą ze zrozumiałymi i znanymi sobie zachowaniami oraz szerzej, że żyją w całościowym, naturalnym ładzie, nawet jeśli naruszany jest on przez kolejne fale katastrof. W takich warunkach jego odbudowa następuje szybko i sprawnie. Tak wykształcają się cywilizacyjne formy istnienia. Człowiek funkcjonuje we wspólnocie, z którą się utożsamia, posiada w niej swoje w miarę określone miejsce i dlatego może mieć zaufanie do otaczającej go realności.

Nowoczesność uderza w ten porządek. Istotnie zmienia warunki bytowania, a jednocześnie ideowo podważa fundamenty ładu rzeczy. Klasycy naszej epoki to mistrzowie podejrzeń: Karol Marks, Fryderyk Nietzsche, Zygmunt Freud. Dwa wieki wcześniej Kartezjusz, w imię uzyskania bezwzględnej pewności, zakwestionował wszelkie zasady, na których opierała się cywilizacja zachodnia, a nawet istnienie świata. Wiedzy pewnej, niedostępnej człowiekowi nie osiągnął, natomiast podważył najbardziej intuicyjnie oczywiste, elementarne

eprasa.pl f739b9f58a

wyobrażenie rzeczywistości, na którym zbudowana została nasza cywilizacja.

Przywoływane postacie mają charakter emblematyczny – można by wymieniać inne – i personifikują ten nurt nowoczesności, który legł u podstaw dominującej dziś emancypacyjnej ortodoksji. Jej deklarowanym zadaniem jest oswobodzenie człowieka z ograniczeń tradycyjnego ładu, a więc istniejącej kultury, wyzwolenie go z ograniczeń wspólnoty, a więc i realnej cywilizacji. To dopiero wtedy byt ów, który ze znanym nam człowiekiem nie miałby dużo wspólnego, rozwinie skrzydła i uwolni swoją bliżej nieokreśloną „gatunkową istotę".

Przedsięwzięcie to ma otworzyć przed ludźmi upajające wymiary, tyle tylko, że jak w Pascalowskiej zimnej nieskończoności nie sposób w nich oddychać. Człowiek oderwany od cywilizacyjnych punktów oparcia, „uwolniony", czyli pozbawiony poczucia ładu rzeczy, jest bezbronny i nie ma się do czego odwołać. Naturalne wspólnoty od narodu po rodzinę zostają zakwestionowane i rozmontowane w imię emancypacji, a więc pozostawiają człowieka samotnego naprzeciw ośrodkom władzy, które obecnie mają pozapaństwowy charakter. Państwo jest przez nie kolonizowane w imię ideologicznych haseł, aby stać się narzędziem nie obywateli, ale dominujących, oligarchicznych środowisk. Jeśli ci pierwsi usiłują buntować się w celu odzyskania państwa i odbudowy demokracji, ich działania piętnowane są jako populistyczne, a ich wybory zwalczane za pomocą wszystkich dostępnych establishmentowi środków, czasami także na granicy przemocy fizycznej. Pokazywała to wymierzona w Trumpa kampania minionego roku, którą chwalili się sami organizatorzy.

7 Jedynym dopuszczalnym punktem odniesienia mieszkańca liberalnej demokracji mają być normy ideologii interpretowane i nadzorowane przez jej kapłanów w imię rządzącej w niej oligarchii. To jej członkowie, wyemancypowani już z tradycyjnego porządku, poprowadzić nas mają do nieznanej jeszcze, ale z pewnością doskonałej ziemi obiecanej. Faktycznie jest to kolejna wersja funkcjonującego w minionym stuleciu rewolucyjnego syndromu, który świadomie lub nie (raczej to drugie) odwołuje się do totalitarnego modelu polityki. Jeśli bowiem jesteśmy w stanie zbudować doskonały, a więc zasadniczo różny od znanego nam świat, to musimy gruntownie we wszystkich aspektach przemodelować istniejący.

> ***Demokracja liberalna, w której ogół zostaje uprzedmiotowiony i zepchnięty do roli emancypowanej, czyli formowanej przez oświecone warstwy, masy, powoduje zanik odpowiedzialności i przerzucenie na panujących winy za wszelkie zrządzenia losu***

Aby to uczynić, jego wyemancypowani inżynierowie muszą uzyskać wszelkie możliwe, a więc totalne kompetencje, inaczej ich projekt nie będzie mógł zostać zrealizowany. Jeśli perspektywą jest ład doskonały, a choćby optymalny, to warto na jego rzecz poświęcić wszystko, a zwłaszcza tak odległą od doskonałości realność ułomnego, bo przywiązanego do niej człowieka.

Rewolucjoniści w imię „wyzwolenia gatunkowej istoty człowieka" potrafili się poświęcić, a zwłaszcza poświęcić innych, istniejących i zdeterminowanych przez patriarchalną cywilizację ludzi. Dziś koryfeusze demokracji liberalnej robią to głównie w wymiarze kulturowym, wypychając poza obręb sfery publicznej tych, którzy nie akceptują liberalnych dogmatów, przywiązani są do religii, tradycyjnych idei oraz form bytowania.

Demokracja liberalna w swoim założeniu przypomina tzw. demokrację ludową. Zakłada, że ludowładztwo dopuszczalne jest wyłącznie wtedy, jeśli realizuje określone, osadzone w ideologii wytyczne, które nadzorowane są przez elity kiedyś zgrupowane w partii, dziś w sieci ośrodków władzy zarówno symbolicznej, jak i realnej, którą reprezentuje głównie aparat sprawiedliwości, ale także tradycyjne ugrupowania przekształcone w reprezentację oligarchii.

8 Jak każda ideologia, tak i jej emancypacyjny wariant jest z jednej strony świeckim ersatzem religii ze swoimi dogmatami, eschatologicznymi wizjami, stanem kapłańskim (dziś to przede wszystkim prawnicy, ale także elity opiniotwórcze: uniwersyteckie, artystyczne czy medialne) oraz rytuałami; z drugiej – wyobrażeniem wszechogarniającej nauki doskonałej, które wydawałoby się złożone zostało do lamusa naiwnych rojeń ludzkości na przełomie XIX i XX w.

Pandemia raz jeszcze ukazała parareligijną żarliwość dominującej ideologii, która objawia się szczególnie w jej antychrześcijańskim nastawieniu. Apele o zamykanie kościołów i przedstawianie ich jako głównego siedliska koronawirusa przez lewicowo-liberalne ośrodki cechowały się szczególną namiętnością, a tropienie zarazy głównie w nich sugerowało nie próbę walki z epidemią, lecz wykorzystanie jej do rozprawy ze swoim głównym konkurentem.

Ideologia musi zakładać pełne rozpoznanie ludzkiej rzeczywistości. Stanowi legitymację władzy wybranych, którzy przekuwają w czyn wypływającą z ideologicznych dogmatów wiedzę. Ludzie winni podążać za nimi i budować nadzorowany przez nich projekt wywiedziony z koncepcji dynamicznie rozwijających się praw człowieka. W tym nowym ujęciu nie mają one wiele wspólnego z ich tradycyjną XVII- i XVIII-wieczną wersją wyeksplikowaną przez Johna Locke'a czy ojców założycieli USA. Tamta oparta została na idei prawa naturalnego i godności osoby stworzonej na obraz i podobieństwo Boga. Ta

eprasa.pl f739b9f58a

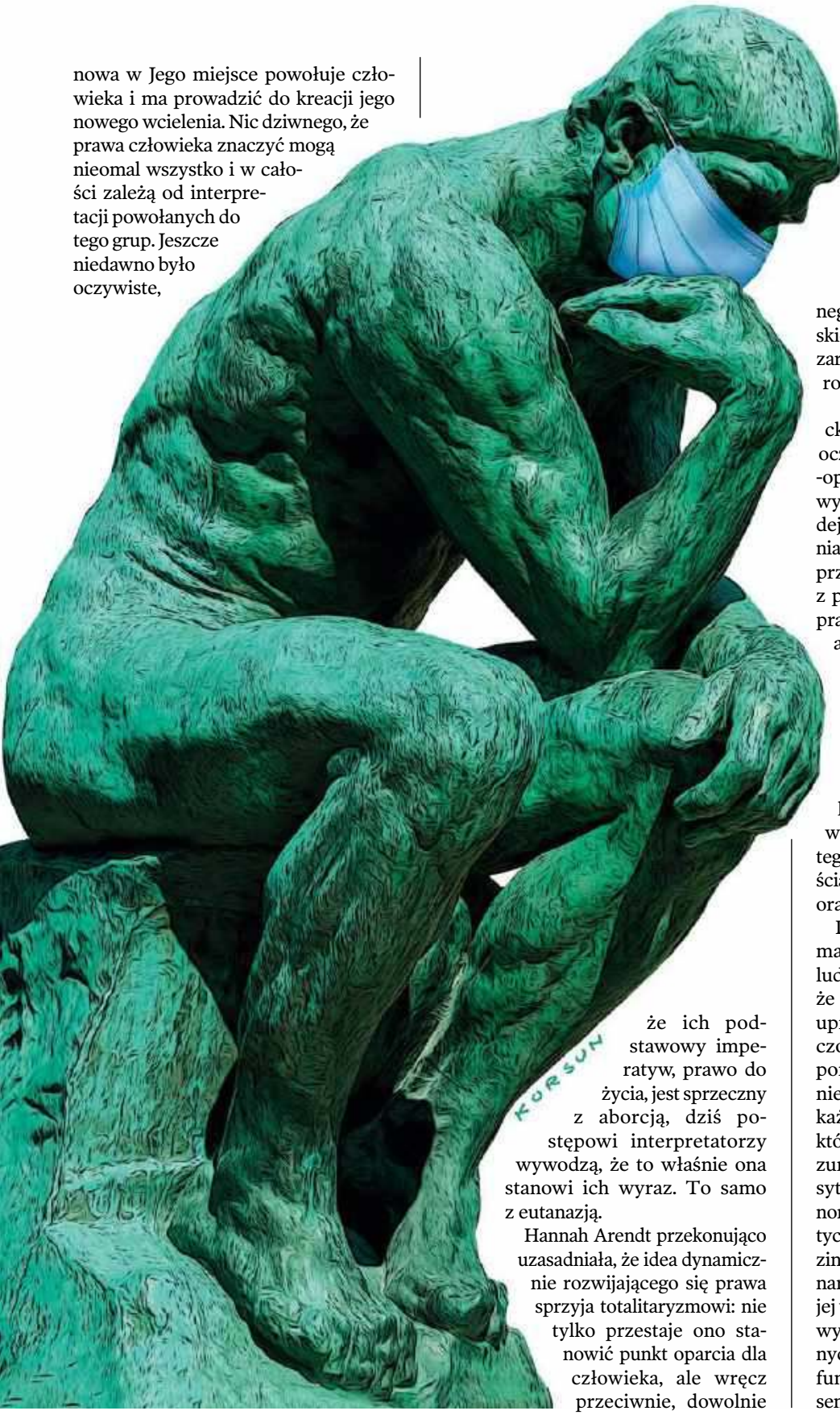

nowa w Jego miejsce powołuje człowieka i ma prowadzić do kreacji jego nowego wcielenia. Nic dziwnego, że prawa człowieka znaczyć mogą nieomal wszystko i w całości zależą od interpretacji powołanych do tego grup. Jeszcze niedawno było oczywiste, że ich podstawowy imperatyw, prawo do życia, jest sprzeczny z aborcją, dziś postępowi interpretatorzy wywodzą, że to właśnie ona stanowi ich wyraz. To samo z eutanazją.

Hannah Arendt przekonująco uzasadniała, że idea dynamicznie rozwijającego się prawa sprzyja totalitaryzmowi: nie tylko przestaje ono stanowić punkt oparcia dla człowieka, ale wręcz przeciwnie, dowolnie przekształcane przez dominujące ośrodki staje się skutecznym narzędziem w ich rękach.

9

Aby przybliżyć ten aspekt panującej mentalności, odwołam się do przykładu ze zorganizowanego przez prof. Zdzisława Krasnodębskiego webinarium „Europa w czasach zarazy. Konsekwencje społeczne, kulturowe i polityczne pandemii".

Jeden z jego uczestników, niemiecki profesor socjologii, przedstawił oczywisty według niego normatywno-opisowy stan rzeczy w trakcie stanu wyjątkowego. Władze mają prawo podejmować niekonwencjonalne działania, które jednak winny być korygowane przez sądy w aspekcie ich zgodności z prawami człowieka. Oznacza to, że prawa te określają bez reszty politykę, a ponieważ same są nieokreślone i podległe permanentnej ewolucji, do ich interpretacji konieczna jest kasta prawnicza, która w ten sposób kontroluje życie zbiorowe. Wola większości ustąpić musi przed normami racjonalności, których konsekwencje odkrywa i nadzoruje wcielenie ich w życie desygnowana do tego elita. To zasadnicza zmiana podejścia do polityki, właściwie jej eliminacja oraz likwidacja demokracji.

Polityka to konkurencja między rozmaitymi projektami rozwiązywania ludzkich problemów. Założyć należy, że wspólnota, na której rzecz jest ona uprawiana, zawsze musi być połączona uznaniem moralno-etycznego porządku. To również warunek istnienia debaty politycznej. Podstawą każdej rozmowy jest wspólny język, który oznacza jednakowe nie tylko rozumienie słów, lecz także głębszych, sytuujących się za nimi pojęć, a więc norm i zasad. Również w wypadku politycznego ciała konieczna jest generalna, zinternalizowana zgoda. Prawo nie jest narzuconą zbiorowości niezależnie od jej woli i wiedzy konstrukcją, ale winno wyrastać z głębokich uwewnętrznionych w niej przekonań. Pełni również funkcję wychowawczą, ale w tym sensie, że odsłania konsekwencje fun-

eprasa.pl f739b9f58a

damentalnych norm obowiązujących w danej wspólnocie.

Wzmiankowany profesor prawdopodobnie uznałby, że jego opis jest zgodny z tym ujęciem, ale byłby w błędzie. Tradycyjny model zakłada szerokie ramy zasad, a więc i norm prawnych, które wyznaczają egzystencję społeczną. To wewnątrz nich rozgrywa się polityka, która jest domeną wolności, a więc i wyboru ze strony obywateli. Owszem, w modelu precedensowym sędziowie „odkrywali" prawo, ale musieli wywodzić je i uzasadniać istniejącym i akceptowanym przez ogół obyczajem. Nie mieli kompetencji zmiany go oraz ingerencji w polityczne decyzje.

Sędzia, który może je korygować, w dużej mierze zastępuje polityka. Ten stan rzeczy zakłada, że ma on dostęp do wyższej racjonalności, z której wywieść można – w każdym razie sędzia to potrafi – przepisy na wszelkie okoliczności życia. Dowodzi tego fakt, że sędzia ma prawo do korekty politycznych działań nawet w sytuacjach zupełnie wyjątkowych jak pandemia. Całość ludzkiej egzystencji ma zostać szczegółowo ujęta w wyprowadzone z praw człowieka regulacje. W ten sposób żelazna klatka racjonalności Maksa Webera ujawnia się w swojej groteskowej, choć nie mniej odstręczającej wersji. Demokratyczne wybory przestają cokolwiek znaczyć, gdyż wyłonionych przez nie reprezentantów zbiorowości nadzorują współcześni bramini, którzy posiadają władzę przyjmowania lub odrzucania ich decyzji. To oni naprawdę rządzą.

Jest oczywiste, że w czasie stanu wyjątkowego, właśnie ze względu na jego wyjątkowość, władze zawieszają rozmaite normalnie obowiązujące prawa. Za efekty swoich przedsięwzięć, jak w ogóle za skutki rządów, rozliczani powinni być po upływie swojej kadencji. Jeśli ich działania nawet w tak szczególnym okresie bezpośrednio korygowane są przez specyficzną kastę, to demokracja i polityka stają się nieznaczącym pozorem.

Piszę o braminach, ale aby sprawę uzmysłowić współczesnemu czytelnikowi, lepiej odwołać się do „strażników rewolucji" w Iranie. Nadzorują oni proces polityczny i sprawdzają, czy nie narusza on szyickiej ortodoksji. Sędziowie, którzy powołują się na prawa człowieka, mają więcej uprawnień, gdyż sam korpus ich doktryny z założenia jest nieokreślony i podległy stałej ewolucji w przeciwieństwie do znanego powszechnie i niezmiennego szariatu. Jeśli europejscy strażnicy nie korzystają jeszcze w pełni ze swoich uprawnień, to z powodu ciągle żywych, choć coraz słabszych tradycji zachodniej cywilizacji i coraz bardziej wyłącznie formalnego fetyszu demokracji. Jej realność ideologia emancypacji podważa w coraz większym stopniu.

> ***Prawo nie jest narzuconą zbiorowości niezależnie od jej woli i wiedzy konstrukcją, ale winno wyrastać z głębokich uwewnętrznionych w niej przekonań. Pełni również funkcję wychowawczą, ale w tym sensie, że odsłania konsekwencje fundamentalnych norm obowiązujących w danej wspólnocie***

10 Idei wyrastającej z praw człowieka racjonalności doskonałej, którą wciela kasta sędziowska, towarzyszyć musi wyobrażenie świata ostatecznie rozpoznawalnego przez człowieka. Jest to wizja nauki, która została zakwestionowana na przełomie XIX i XX w. Wielu naukowców i filozofów nie zgodzi się z takim podejściem, uznając, że ich kłopoty z całościowym i jednoznacznym ujęciem rzeczywistości są jedynie przejściowe i już, już odkryjemy ogólną teorię wszystkiego. Są to jednak roszczenia trudne do pogodzenia z rozwojem współczesnej wiedzy, która wskazuje, że te same byty w różnych warunkach traktować musimy wedle odmiennych definicji, każda teoria przyjmować musi arbitralne założenia i zawsze jest niepełna, poznanie ma probabilistyczny charakter, a ludzie w małym stopniu są w stanie oderwać się od miejsca, z którego prowadzą obserwację i jego okoliczności, co w sposób oczywisty wpływa na wyniki. Nie podważa to wartości nauki, wskazuje jedynie jej ograniczenia i demonstruje, że jest ona odpowiedzią na konkretne pytania, a nie pełną wiedzą o wszystkim.

Jeśli jednak rozumiemy to w odniesieniu do nauki, to tym bardziej iluzoryczne jawią się nam uzurpacje ideologii, która usiłuje bez reszty zdefiniować ludzką rzeczywistość, przekształcając ją w rodzaj mechanizmu. Istotnym jej elementem jest zresztą traktowanie świata jako biernej materii, którą człowiek może dowolnie kształtować.

Dominacji ideologii sekundować musi naiwne widzenie nie tylko człowieka, ale i bytu jako takiego. Eliminacja religii spowodowała zasadniczą redukcję i spłaszczenie postrzegania świata, którego jesteśmy częścią. Im bardziej mamy być trzeźwi i pozbawieni przesądów, tym bardziej zabobonnie wierzymy w powoływane ad hoc autorytety i fetyszyzujemy naukę. Zgodnie z powszechnym współcześnie przekonaniem, to nauka w tym minionym, wszechogarniającym znaczeniu, powinna kierować ludzkim życiem. Znamienna jest nasza wiara w medycynę, która w rzeczywistości zdecydowanie bardziej niż jej ścisłe krewniaczki posługuje się probabilistycznymi przybliżeniami. Nie odbiera to jej wartości, ale powinno temperować żywione wobec niej oczekiwania. Nic podobnego się nie dzieje. Jej klienci, w których przekształcili się dziś tradycyjni pacjenci, oczekują od

eprasa.pl f739b9f58a

medycyny pełnej skuteczności, a jeśli trafiają na ograniczenia, poszukują winy w lekarzach, systemie czy politykach, którzy niedostatecznie łożą na ochronę zdrowia. A środki nigdy nie będą wystarczające, aby sprostać oczekiwaniom.

Skoro usunęliśmy Boga i panujemy nad światem, wszelkie bolączki wynikać muszą z konkretnych niedostatków, pomyłek ludzkich lub wad systemu. Dotyczy to również zjawiska zarazy, która przecież miała zostać wyeliminowana z „nowoczesnego, postępowego, naukowego" świata. Mentalność, która wyrasta z tego typu fetyszyzmu nauki, czyli konsekwencja religii postępu, każdą katastrofę każe traktować jako łatwy do uniknięcia ludzki błąd. Zanikło poczucie tragiczności istnienia i tajemnicy świata, którego nie jesteśmy w stanie zgłębić do końca, a więc zawsze może on zaskoczyć nas najbardziej przerażającą niespodzianką. Wprawdzie nieomal pewny fakt wyprodukowania przez Chińczyków koronawirusa, który wymknął się z ich wojskowego laboratorium, co potwierdzają ostatnie doniesienia mediów australijskich, można uznać za mieszczący się w tej wizji, ale tylko do pewnego stopnia. Jeśli każde osiągnięcie człowieka, a odkrycia na potrzeby militarne również do nich należą, może obrócić się przeciw swojemu twórcy, to przekonanie o panowaniu nad światem istoty, która nie jest w stanie zapanować nad własnymi wytworami, jawi się jako iluzoryczne.

Jakkolwiek jest, mieszkańcy Zachodu ukształtowani mentalnie wizją swojej wszechmocy pandemię traktować muszą jako błąd medycyny i rządzących. Trudno, aby w takich warunkach zachowali i tak już solidnie nadszarpnięte wspomnianymi tendencjami zaufanie. To, że objawia się ono w nieracjonalnych i spiskowych formułach, jest konsekwencją tylko pozornie racjonalnej ideologii emancypacyjnej i wykwitającej z niej mentalności. Kryzys zaufania jest wyrazem głębokiego kryzysu cywilizacji europejskiej, który będzie postępował, gdyż jej dominujące warstwy zupełnie nie rozumieją jego charakteru i przyczyn.

Demokracja liberalna, w której ogół zostaje uprzedmiotowiony i zepchnięty do roli emancypowanej, czyli formowanej przez oświecone warstwy masy, powoduje zanik odpowiedzialności i przerzucenie na panujących winy za wszelkie zrządzenia losu. Świat jest racjonalny, a więc rządzić mają nim ci, którzy wcielają tę cechę w sposób wzorcowy – wynika to nie tylko z samej idei demokracji liberalnej, ale bywa formułowane wprost. Jeśli więc nie spełniają oni oczekiwań rządzonych, którzy w czasie zarazy cierpią szkody realne, to widocznie mają w tym swoje ukryte plany. Bujne krzewienie się teorii spiskowych jest efektem narzucanego odgórnie wyobrażenia o pełnej i przejrzystej racjonalności naszego otoczenia, wyobrażenia, które nie wytrzymuje konfrontacji z rzeczywistością, ale formuje umysły i każe im szukać uzasadnionych ludzkim interesem przyczyn istniejącego stanu rzeczy. Jeśli świat nie działa jak należy, to widocznie funkcjonuje zgodnie z tajnymi projektami tych, którym zależy, aby było jak jest. Ta ustrojowa dialektyka demokracji liberalnej ujawniła się w całej okazałości w trakcie ostatniej pandemii.

> ***Hannah Arendt przekonująco uzasadniała, że idea dynamicznie rozwijającego się prawa sprzyja totalitaryzmowi: nie tylko przestaje ono stanowić punkt oparcia dla człowieka, ale wręcz przeciwnie, dowolnie przekształcane przez dominujące ośrodki staje się skutecznym narzędziem w ich rękach***

Teoretycznie rzecz biorąc, obecna pandemia powinna uderzyć w pychę współczesnego człowieka, której drugą stroną, tylko pozornie paradoksalnie, są niepewność i zagubienie. Powinna obudzić w nas zrozumienie zależności od świata, ale nie dzieje się tak, gdyż świadomości tej wbrew pozorom nie wyraża współczesna ekologia. Przeświadczenie, że człowiek determinuje klimat i swoimi działaniami może go dowolnie kształtować, jest zaprzeczeniem pokory, z jaką powinien podchodzić do przyrody. Tymczasem zamiast umiarkowania i ostrożności mamy w ekologizmie do czynienia z kolejnymi projektami rewolucji, tym razem zielonej, która znowu, zasadniczo ma przekształcić cywilizację i przeobrazić życie społeczne. Na to, że tego typu maksymalistyczne zamierzenia prawdopodobnie przyniosłyby odwrotne do zamierzonych efekty, powinien nas uczulić zwykły namysł nad historią. Nie miejsce tu jednak, aby zajmować się tą kwestią.

Pandemia nie jest czymś zupełnie nowym także w naszym świecie. Również obecnie pojawiają się kolejne, nieznane wcześniej lub zmodyfikowane w stosunku do ich poprzednich wersji choroby i to, że nie stały się dotąd pandemią, powinniśmy traktować jako szczęście. Ponad trzy dekady temu światem wstrząsnęła epidemia AIDS, ale z powodu stosunkowo słabej zakaźności nie była tak znacząca społecznie. COVID-19, choć stosunkowo zakaźny, nie jest wyjątkowo groźny. Wystarczy wyobrazić sobie, że wiąże się on ze śmiertelnością eboli, aby pojąć, że i nasza cywilizacja przeżyć może wstrząs porównywalny z XIV-wieczną epidemią czarnej śmierci. Tym ostrożniej powinniśmy obchodzić się ze środkami tak ochoczo trwonionymi w trakcie „klimatycznej rewolucji". Ale, że powtórzę to, co zaznaczyłem na początku, historia dowodzi, że niczego nie jest nas w stanie nauczyć.

Bronisław Wildstein

Autopromocja

eprasa.pl f739b9f58a

28 czerwca w tygodniku SIECI

dodatek dla konsumentów-patriotów

Dowiedz się:

- jak konsumenci mogą wspierać polską gospodarkę?
- jak nasi sportowcy promują Polskę i polskie firmy?
- jak możesz pomóc polskim przedsiębiorcom i rolnikom?

To od nas zależy kondycja polskiej gospodarki!

Kupuję, bo polskie

PAMIĘTAJ!
Twoje codzienne decyzje zakupowe wpływają na całą gospodarkę

Włącz się do akcji Kupuję, bo polskie – zostań konsumentem patriotą!

PATRONAT HONOROWY:

MINISTERSTWO AKTYWÓW PAŃSTWOWYCH

Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej

MINISTERSTWO ROLNICTWA I ROZWOJU WSI

Patronat honorowy Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi Grzegorza Pudy

Ministerstwo Rozwoju, Pracy i Technologii

PARTNERZY DODATKU:

LOTOS

ORLEN

TOTALIZATOR SPORTOWY

65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

eprasa.pl f739b9f58a

Samobójcza Polska Ludowa

„W celu możliwie szybkiego wyprowadzenia Danii z wojny należałoby dokonać uderzeń atomowych na miejscowości Esbjerg (ważny punkt strategiczny w systemie NATO) oraz Roskilde (wyspa Zelandia), a następnie poprowadzić szeroką akcję propagandy specjalnej, mającej na celu pogłębienie powstałej paniki, ostrzeżenie wojsk i ludności cywilnej Danii przed następstwami dalszego oporu oraz zagrożenie, że w wypadku kontynuacji wojny nastąpią dalsze uderzenia atomowe" (z referatu dowódcy Frontu Polskiego gen. Zygmunta Duszyńskiego, 1961 r.)

ROMUALD SZEREMIETIEW

Oficjalna doktryna Układu Warszawskiego (UW) zakładała niedopuszczenie do wybuchu wojny – nie tylko jądrowej, lecz również konwencjonalnej. Komuniści zapewniali o woli rozwiązywania wszelkich spornych spraw na drodze pokojowej środkami politycznymi. Jednocześnie blok sowiecki przygotowywał się do wojny z Zachodem, usiłując zbudować przewagę militarną nad siłami NATO.

W Moskwie zakładano, że po wybuchu wojny, przy początkowym ograniczonym użyciu środków rakietowo-jądrowych, dojdzie następnie do eskalacji działań. I wówczas wojna ogarnie swym zasięgiem nie tylko Europę, lecz także inne kontynenty – nabierze charakteru totalnego, stanie się powszechną wojną jądrową, III wojną światową.

ЕСЛИ ЗАВТРА ВОЙНА

Wobec znacznej przewagi bloku sowieckiego w broni pancernej i zmechanizowanej, po stronie natowskiej zakładano powstrzymanie ataku ze wschodu uderzeniem jądrowym. Przy czym w Moskwie zdawano sobie sprawę, że już sama koncentracja wojsk w ugrupowania zdolne do ofensywy mogła sprowokować NATO do kontruderzenia bronią jądrową. Sojusz nie mógł dopuścić do sytuacji, aby sowieckie czołgi ruszyły do ataku. To jednak było na rękę Sowietom! Tę reakcję NATO Moskwa zamierzała przedstawić jako agresję militarną Sojuszu Północnoatlantyckiego uzasadniającą konieczność jej odparcia.

Uwzględniając taką okoliczność, należy stwierdzić, że sprowokowanie Zachodu do użycia broni jądrowej było bardzo prawdopodobne, ale warunkiem podjęcia na Kremlu decyzji o koncentracji ugrupowań ofensywnych musiałoby być przekonanie, że ZSRR dysponuje przewagą zapewniającą zwycięstwo nie tylko w wojnie konwencjonalnej, lecz także przy użyciu broni jądrowej. W okresie zimnej wojny takiej pewności nigdy na Kremlu nie było. Dlatego III wojna światowa nie wybuchła w dniach sowieckiej blokady Berlina Zachodniego (1948–1949) w czasie wojny koreańskiej (1950–1953), czy kryzysu kubańskiego (1962), nie wspominając już o wojnie wietnamskiej (1961–1975).

Biorąc powyższe pod uwagę, można przyjąć, że zapewnienia kolejnych sowieckich genseków, iż Sowiety nie zamierzają atakować państw zachodnich, były szczere, bo... wojska UW nie miały nieodzownej przewagi nad siłami NATO. Gdy Sowieci byli pewni swej przewagi militarnej, bez wahania stosowali siłę. Przykładem mogą być interwencje ich wojsk w czasie powstania berlińskiego w czerwcu 1953 r. (doszło do starć zbrojnych na terenie Berlina i 272 innych miejscowości w NRD), powstania węgierskiego 1956 r., gdzie w walkach z armią sowiecką zginęło 32 tys. powstańców węgierskich, a 2 tys. komuniści zamordowali po stłumieniu oporu, wreszcie najazd wojsk UW (bez udziału Rumunii) na Czechosłowację dla unicestwienia wolnościowego zrywu w czasie praskiej wiosny (sierpień 1968 r.) i interwencja zbrojna w Afganistanie (1979–1989). W bloku sowieckim obowiązywała doktryna Breżniewa tzw. ograniczonej suwerenności, nakazująca „socjalistycznym" państwom Europy Środkowej, Kubie, Mongolii i Wietnamowi całkowite podporządkowanie się ZSRR.

Z analizy materiałów szkoleniowych UW można wnosić, że planując działania wojenne, rozważano w szczególności sposoby reakcji na koncepcję „strategii wysuniętych rubieży" obwiązującą w NATO dla obszaru Europy Środkowej i Cieśnin Duńskich – sformułowaną w RFN i przyjętą przez gremia decyzyjne Sojuszu w 1965 r. NATO przewidywało także, iż obronne działania na terytorium RFN będą poprzedzone uderzeniami jądrowymi na cele znajdujące się na terytoriach państw Układu Warszawskiego. Zakładano, że następnie siły NATO przeniosą działania bojowe poza Łabę (na terytorium NRD) i na wschód od Odry (obszar PRL). Przy tym najpierw przewidywano zniszczenie celów znajdujących się głównie na terenie NRD i PRL – ten obszar stanowił bazę dyslokacji sowieckich wojsk przeznaczonych do ataku, trasy przerzutu wojsk i zaopatrzenia, tam też

eprasa.pl f739b9f58a

UDERZENIA BRONI MASOWEGO RAŻENIA NA TERYTORIUM PRL

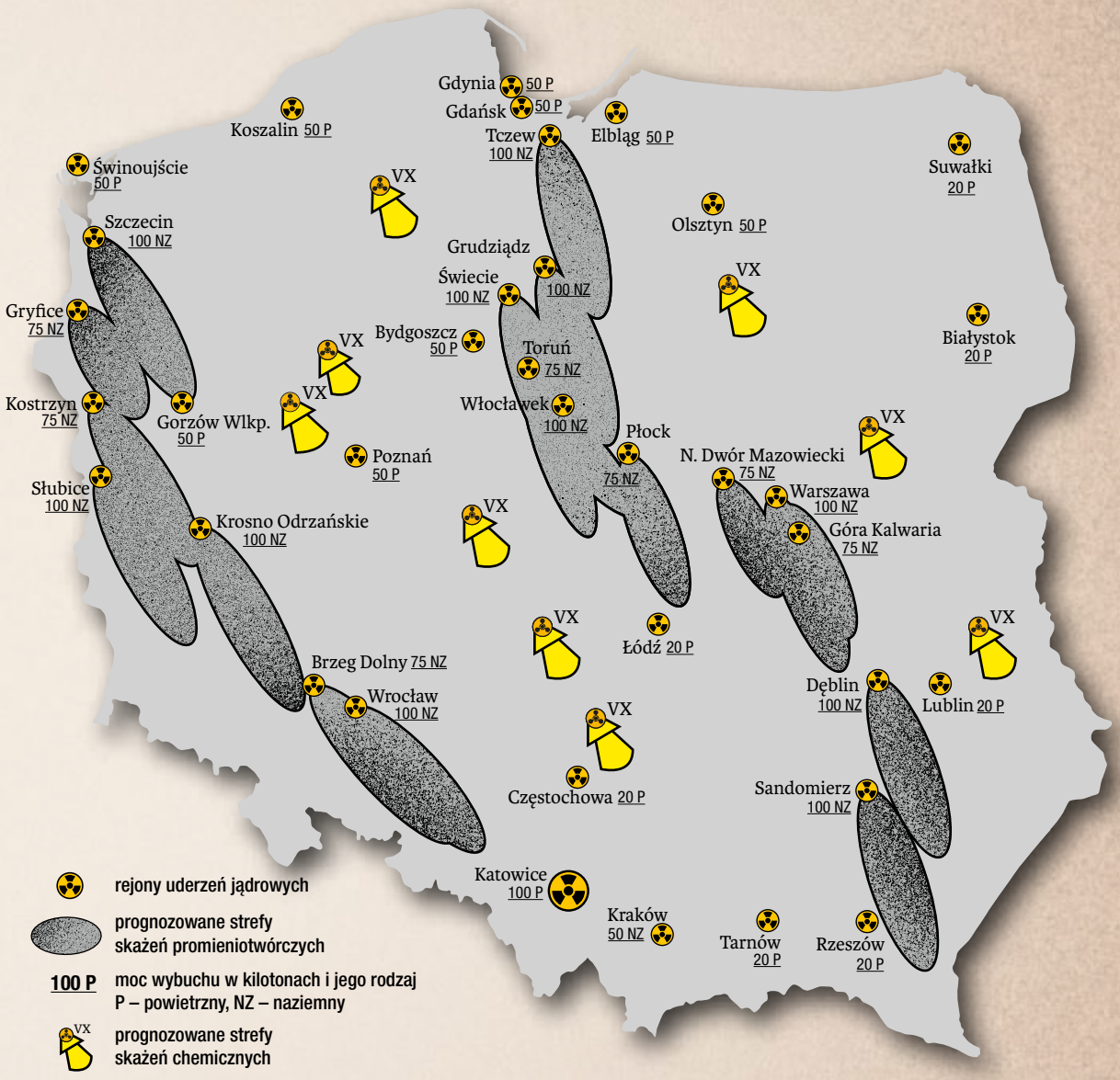

znajdowały się ważne obiekty o znaczeniu operacyjnym i strategicznym.

Wprawdzie z punktu widzenia ówczesnych poglądów obowiązujących w dowództwach natowskich scenariusz ewentualnej wojny jądrowej na terenie Europy nie musiał prowadzić do konfliktu globalnego („strategia elastycznego reagowania"), jednak mimo to Polska byłaby obszarem, w który uderzyłoby wiele bomb i rakiet z głowicami jądrowymi. W dowództwie LWP przewidywano, że na Polskę spadnie 450–650 ładunków jądrowych o mocy do 110 megaton (1 megatona stanowi równowartość wybuchu jednego miliona ton trotylu). Bomba zrzucona na Hiroszimę miała moc 15 kiloton (kilotona to tysiąc ton trotylu). Oceniano, że co najmniej 100 tys. km kw. terytorium PRL znajdzie się w strefie skażeń promieniotwórczych. Były to jednak bardzo optymistyczne założenia. Porównując je z amerykańskimi „Primary Targets", okazuje się, że uderzeń byłoby więcej, a sytuacja dużo gorsza niż sobie wyobrażano w dowództwie LWP.

Skutkiem opisanego ataku byłyby straty nie tylko wśród wojsk Układu Warszawskiego, w tym zwłaszcza LWP, i zniszczenie polskich miast, ale także zagłada polskiej ludności cywilnej. Według szacunkowych danych na

eprasa.pl f739b9f58a

terytorium Polski w bardzo krótkim przedziale czasowym mogłoby zginąć według Stockholm International Peace Research Institute (SIPRI) nawet 10 mln osób.

Liczba zabitych obywateli PRL w ciągu kilku dni wojny nuklearnej byłaby dwukrotnie wyższa od polskich strat ludnościowych w latach II wojny światowej. Znaczna byłaby też liczba osób porażonych promieniowaniem, zatruciami, co prowadziłoby do wielu chorób, zgonów i tym samym zwiększenia liczby przypadków śmiertelnych w dłuższej perspektywie czasowej.

NA PODBÓJ EUROPY!

Pod koniec lat 80. w dowództwie sił zbrojnych UW zaczęto mocniej akcentować „obronny" wariant odparcia ewentualnego ataku sił NATO. Jednak podstawą działań obronnych miały być nadal uderzenia jądrowe na siły przeciwnika oraz kontrofensywa zgrupowaniami własnych wojsk. Nadal nie rezygnowano z operacji zaczepnych. Obrona miała na celu nie tyle odparcie natarcia sił przeciwnika, ile zyskanie na czasie, zaoszczędzenie własnych wojsk i... przeprowadzenie kontrofensywy. Z dokumentów przejętych po byłej armii NRD wynika, że jeszcze do drugiej połowy lat 80. plany strategiczne UW przewidywały, po wstępnej fazie wojny obronnej, przejście do kontruderzenia. W ciągu 13–15 dni zamierzano opanować terytoria do wschodniej granicy francuskiej, a w ciągu kolejnych 30–35 dni zająć pozostałą część Europy Zachodniej. Charakterystyczne, że dywizje LWP miały też podbić dla Sowietów tereny Belgii i Holandii, które w czasach II wojnie światowej wyzwalała 1 Dywizja Pancerna gen. Stanisława Maczka!

Zasadnicza zmiana w poglądach doktrynalnych UW, w tym także w odniesieniu do zadań, jakie miały realizować siły zbrojne PRL, nastąpiła dopiero w 1988 r. Wówczas w pierwszej kolejności zaczęto uwzględniać użycie broni konwencjonalnej, w tym nowoczesnych systemów rozpoznawczo-uderzeniowych. Nie ulega jednak wątpliwości, że to „złagodzenie" zamiarów dowództwa UW wynikało z kłopotów, jakie pojawiły się w bloku sowieckim i słabnięcia ZSRR.

W lipcu 1989 r. odbył się szczyt Układu w Bukareszcie, gdzie uznano, że państwa do niego należące mają prawo do samodzielnego kształtowania swojej polityki. Oznaczało to odejście od doktryny Breżniewa zmuszającej państwa UW do uległości wobec Kremla. Wymuszone czynnikami zewnętrznymi zmiany wskazywały nie tylko na przewartościowanie większości planowanych działań z zaczepnych na obronne. Odtąd pierwszy raz określono terytorium NRD jako przedpole walk obronnych, a nie rejon wyjściowy do natarcia przełamującego linie obronne NATO na zachodzie. Także w LWP rozważano teraz obronę na terytorium własnym, wzdłuż Nysy Łużyckiej, Odry i wybrzeża Bałtyku, a więc na zachodniej i północnej granicy PRL. Jednak ta zmiana wariantu działań wojennych nie eliminowała występującej nieustannie groźby nuklearnego zniszczenia Polski. Dlaczego? Bo na terenie Polski nadal pozostawały obiekty o znaczeniu strategicznym, które musiały stać się celem ataku sił jądrowych NATO.

> W dowództwie LWP przewidywano, że na Polskę spadnie 450–650 ładunków jądrowych o mocy do 110 megaton (1 megatona stanowi równowartość wybuch jednego miliona ton trotylu). Oceniano, że co najmniej 100 tys. km kw. terytorium PRL znajdzie się w strefie skażeń promieniotwórczych

O roli i zadaniach frontu polskiego – zakładając, że zostałby on utworzony – przesądzało jego miejsce w ugrupowaniu strategicznym na zachodnim teatrze działań wojennych. W polskich planach wariantem podstawowym było przewidywane użycie wojsk frontu w drugim rzucie strategicznym dla obrony sytuowanej wzdłuż zachodniej granicy PRL. Natomiast w drugim wariancie zakładano wykonanie tymi siłami uderzenia strategicznego. Rozważano też możliwość przejścia do przeciwnatarcia, nie określając jego głębokości. Działaniom tym stawiano jako cel zerwanie operacji zaczepnej przeciwnika, rozbicie jego zgrupowań, opanowanie ważnych rubieży i stworzenie dogodnych warunków do rozpoczęcia strategicznej operacji zaczepnej.

LEKCEWAŻONA GROŹBA

Obszar Polski stanowił ważny rejon strategicznego rozwinięcia, przegrupowania i zaopatrywania wojsk działających na froncie zewnętrznym. Z geostrategicznego położenia Polski wynikało, że w razie ewentualnej wojny jej skutki niezmiennie obejmowałyby cały obszar kraju. A to oznaczało, że wśród państw należących do UW w razie wybuchu wojny Polska była narażona na nieomal całkowite unicestwienie uderzeniami bronią masowego rażenia.

Z niebezpieczeństwa zmasowanego uderzenia środkami nuklearnymi – przy każdym wariancie działań wojennych – musiało zdawać sobie sprawę ówczesne dowództwo sił zbrojnych i władze PRL. Jednak ich główną troską było przygotowywanie systemu obrony powietrznej, wojsk obrony terytorialnej i formacji obrony cywilnej dla zapewnienia swobody ruchu wojsk operacyjnych – zabezpieczenia ich przegrupowania i operacyjnego rozwinięcia. W planach wojennych zakładano przede wszystkim przedsięwzięcia w razie uderzeń na lotniska, przeprawy i węzły komunikacyjne. Przyszłe działania obronne były ukierunkowane na zapewnienie bezkolizyjnego przegrupowania wojsk sowieckich przez terytorium PRL.

eprasa.pl f739b9f58a

Nie poświęcano należytej uwagi przygotowaniu zabezpieczeń chroniących ludność cywilną przed atakami bronią masowego rażenia.

Mimo dużej skali zagrożenia nie podjęto istotnych działań w celu stworzenia powszechnej sieci schronów dla ludności i wyposażania jej w niezbędne środki przetrwania. Pod tym względem Polska, mimo największego zagrożenia broniami masowego rażenia, miała najgorsze wskaźnik ochrony ludności nie tylko w porównaniu z Europą Zachodnią, ale także w gronie państw Układu Warszawskiego. Co gorsza, pewne prace podjęte w tej dziedzinie w latach 50. (m.in. budowa głębokiego metra w Warszawie) zostały przerwane.

Z przeprowadzonych w PRL ocen wynikało, że NATO, w obawie przed zmasowanym atakiem wojsk pancernych i zmechanizowanych przeciwnika, będzie dążyło do sparaliżowania tego ataku, uruchamiając środki przenoszenia broni jądrowej i uderzając wyprzedzająco w przygotowane do działań siły lądowe bloku sowieckiego. Że tak będzie, zdawano sobie sprawę w kierownictwie UW. Rozbudowywane systemy ostrzegania pozwalały uzyskać informacje o ewentualnych odpaleniach rakiet z głowicami jądrowymi przeciwnika, co dawało kilkanaście minut na reakcję. W dowództwie UW zakładano, że w ciągu 15 minut od podania sygnału 10 proc. stanów lotnictwa bojowego wystartuje do wykonania kontruderzeń; następnie w ciągu paru godzin zaatakowałoby kolejne kilkaset samolotów. Równolegle miała być użyta własna broń rakietowa z głowicami jądrowymi i konwencjonalna broń precyzyjnego rażenia. Blok sowiecki posiadał więc czas na odwet nuklearny, ale trudno założyć, aby w ciągu kilkunastu minut można było ewakuować ludność polskich miast, na które spadłyby rakiety i bomby z głowicami jądrowymi wystrzelone na Zachodzie. Ten problem nie zajmował jednak zbytnio uwagi kierownictwa politycznego PRL ani dowództwa LWP, ani wojskowych władz UW.

Przedstawiony wyżej wariant działań wojennych był przedmiotem ćwiczeń operacyjno-strategicznych UW. Scenariusze ćwiczeń, z drobnymi zmianami, były w latach 70. i 80. podobne. Zwykle dla podkreślenia ich „obronnego" charakteru rozpoczynały się od stwierdzenia zagrożenia wojennego i napaści sił NATO. Przyjmowano, że wojska napastnika wedrą się na głębokość 30–50 km – w głównej mierze na terytorium NRD. W odpowiedzi wojska UW miały zatrzymać to natarcie i przejść do kontruderzenia – do działań zaczepnych. W toku ćwiczeń na różnych etapach realizacji zamierzeń zakładano przejście do działań z użyciem broni jądrowej bezpośrednio na polu walki. Skala uderzeń jądrowych była tak dobierana, aby wojska własne, po zabiegach specjalnych i przegrupowaniach, mogły wznowić działania bojowe. Stąd często ćwiczonym zagadnieniem było usuwanie skutków uderzeń jądrowych, aby własne wojska mogły podjąć dalsze działania.

Tematyka przeprowadzanych ćwiczeń, mimo akcentowania ich obronnego charakteru, świadczyła o hołdowaniu zasadzie, że najlepszą formą obrony będzie atak. Przewidywano m.in. lotnicze i rakietowe wsparcie operacji obronnych, a następnie zaczepnych – wprowadzanie do bitwy zgrupowań uderzeniowych, tzw. operacyjnych grup manewrowych, forsowanie przeszkód wodnych oraz osłonę i wsparcie ze strony wojsk powietrznodesantowych. Rozważano też wariant użycia broni masowego rażenia, w tym oceniano skutki rażenia broni neutronowej oraz bojowych środków chemicznych przeciwnika. Przeprowadzano ćwiczenia lotnicze i morskie (we wszystkich uczestniczyły jednostki lotnictwa myśliwskiego, obrony przeciwlotniczej, oddziały radiotechniczne i inne służby).

Desanty, forsowanie przeszkód wodnych, a przede wszystkim wprowadzanie operacyjnych grup manewrowych świadczyły o przygotowaniach do operacji zaczepnych. Głębokość działania grup w pierwszej fazie wojny obejmowała całe terytorium Niemiec Zachodnich i sięgała do wschodniej granicy Francji. Przy tym cały czas liczono się, że potencjalnymi obiektami uderzeń bronią jądrową strony przeciwnej będą zgrupowania armii drugiego rzutu LWP. Także obiekty armii sowieckich drugiego rzutu i zabezpieczające działania jednostki wojsk rakietowych oraz bazy zaopatrzenia materiałowego (logistyka stacjonarna).

Największe nasilenie ćwiczeń z przewidywanym przejściem do działań z użyciem broni jądrowej (średniej i małej mocy) odnotowano w latach 70. Prowadzone z dużym rozmachem preferowane w tym czasie działania zaczepne uzależnione były od uderzeń jądrowych na siły przeciwnika. Uderzenia te miały zapewnić ruch własnych wojsk na terytorium wroga. Planowano kilka do kilkunastu uderzeń jądrowych na dobę (średniej i małej mocy, w tym także uderzeń neutronowych) wykonywanych na korzyść własnych nacierających dywizji i brygad. Uderzenia te miały zapewnić oszałamiające tempo natarcia – 100 i więcej kilometrów na dobę walki. Takie też normy były zapisane w obowiązujących wówczas regulaminach walki. Zakładano, że powietrzny ładunek jądrowy o mocy 20 kt będzie zdolny zniszczyć siły ekwiwalentnego batalionu. Po kilku uderzeniach i upływie 4–6 godzin planowano tworzenie zgrupowań zbiorczych i kontynuację działań zaczepnych przez siły główne poszczególnych jednostek. Ten optymistyczny zamiar obniżał poczucie zagrożenia ćwiczących i kształtował nieprawdziwe wyobrażenie pola walki po użyciu broni jądrowej. Jednak na wysokich szczeblach dowodzenia w Układzie Warszawskim w zasadzie nie zajmowano się problemem strat i pomocy dla ludności cywilnej. W dowództwie LWP np. uważano, że jest to zbędne, skoro większość rejonów ćwiczeń i przyszłych walk obejmowała obszar na zachód od linii Nysy Łużyckiej i Odry, poza granicami Polski.

Wysokie tempo natarcia mogło być osiągnięte jedynie w przypadku natychmiastowego skierowania wojsk własnych w miejsca wykonanych uderzeń jądrowych, aby uniemożliwić wojskom przeciwnika zablokowanie luk powstałych w obronie. Takie działanie oznaczało narażenie żołnierzy własnych na promieniowanie. A tzw. straty radiacyjne, jakie mogły wówczas powstać, stawiały pod znakiem zapytania realizację optymistycznych planów rozwijania natarcia. Jednak analiz skutków takich działań nikt wówczas nie prowadził.

eprasa.pl f739b9f58a

W myśleniu dowódców i sztabów bloku sowieckiego dominowała jedna zasada: szybkie tempo natarcia dzięki użyciu broni jądrowej, za każdą cenę, także za cenę życia i zdrowia własnych żołnierzy. Na takie traktowanie tej problematyki pozwalał brak regulacji definiujących dopuszczalne progi napromieniowania żołnierzy. Przyjęte ograniczenia sprowadzały się do pewnych zaleceń wymienianych w instrukcjach. Te instrukcje były jednak zatwierdzane przez wojskowych zajmujących niższe szczeble w hierarchii stanowisk służbowych, a więc tym samym znajdujące się w nich zalecenia nie miały mocy wiążącej. Z czasem zagadnienie zostało dostrzeżone przez ekspertów, czego wyrazem była próba wprowadzenia do oceny zdolności bojowej wojsk tzw. czynnika radiacyjnego. Propozycja ta nie została jednak potraktowana ze zrozumieniem przez dowódców wyższych szczebli.

Przełomem w docenieniu niebezpieczeństwa skutków promieniowania stały się dopiero doświadczenia po awarii elektrowni atomowej w Czarnobylu (1986 r.). Okazało się wówczas, że przyjęte wyjątkowo dla tej akcji tzw. bezpieczne poziomy napromieniowania (bezpieczniejsze od obowiązujących w wojsku) są niewystarczające. Efektem było ponad 600 tys. napromieniowanych (głównie powołanych do akcji żołnierzy rezerwy b. ZSRR). Ludzie ci w rezultacie „bezpiecznego" podobno napromieniowania okazali się nieprzydatni do dalszych działań, a w okresie późniejszym, jako osoby z trwałym uszkodzeniem zdrowia, uzyskali uprawnienia do roszczeń rentowych wobec państwa.

W CIENIU ZAGŁADY

W powojennych dziejach Polski okres tzw. zimnej wojny był szczególnie niebezpieczny. Gromadziły się bowiem negatywne następstwa wynikające z warunków geopolitycznych oraz związane z położeniem geostrategicznym PRL jako zaplecza frontu sił UW. Tymczasem narastający konflikt Wschód – Zachód stwarzał realną groźbę masowego użycia broni jądrowej. Skutków jej użycia doświadczyłaby zwłaszcza Polska. Naród polski nie miał żadnych możliwości przeciwdziałania temu zagrożeniu, skoro znalazł się w państwie o ograniczonej suwerenności. W Polsce nie było niezbędnych informacji mogących stanowić podstawę do sformułowania realistycznej oceny zagrożeń. Władze PRL miały zresztą symboliczny dostęp do planów strategicznych Układu Warszawskiego, zwłaszcza dotyczących użycia sił rakietowo-jądrowych.

> Liczba zabitych obywateli PRL w ciągu kilku dni wojny nuklearnej byłaby dwukrotnie wyższa od polskich strat ludnościowych w latach II wojny światowej

Mimo to można zakładać, że zdawały sobie sprawę z istniejących zagrożeń i je ukrywały. Jest to bardzo prawdopodobne, gdy prześledzimy próby zatajenia prawdy w czasie katastrofy elektrowni atomowej w Czarnobylu. Taka postawa ośrodków decyzyjnych państwa i wojska miała też negatywne przełożenie na świadomość dowódców niższych szczebli, którzy nie zdawali sobie w pełni sprawy z grożącego żołnierzom niebezpieczeństwa.

Część kadry zawodowej LWP potrafiła przeprowadzać analizy oparte na dostępnych szczątkowych danych i wykorzystywać tę wiedzę w propozycjach zmniejszenia ewentualnych strat. Próby nie przynosiły istotnych efektów wobec niechętnego stanowiska na wyższych szczeblach dowodzenia LWP. Podkreślana czasem pewna niezależność w sprawach obronności w okresie PRL była w istocie iluzoryczna. Dowodzi tego nie tylko kwestia tak zasadnicza, jak możliwość samodzielnej oceny skali zagrożenia nuklearnego, ale chociażby niepowodzenie wprowadzenia do sił zbrojnych PRL opracowanego polskiego regulaminu walki.

Trudności gospodarcze, a wraz z tym brak możliwości sprostania rozwojowi techniki wojskowej po stronie zachodniej, zmusiły blok sowiecki do obniżania poziomu wyścigu zbrojeń i zmian w doktrynie wojennej. Te zmiany i minimalizowanie roli broni jądrowej w wojnie nie wynikały jednak z polityki „pokojowego współistnienia". Gdyby takie rzeczywiście były przesłanki, to np. wprowadzono by przepisy dotyczące zapewnienia większego bezpieczeństwa radiologicznego żołnierzy. Nie zrobiono tego. Co więcej, władze PRL nie ratyfikowały też przyjętych w 1977 r. Pierwszego i Drugiego Protokołu Dodatkowego do konwencji genewskich z 1949 r., a dotyczących ochrony ludności cywilnej. Ratyfikacja tych międzynarodowych aktów prawnych nastąpiła dopiero po odzyskaniu przez Polskę suwerenności państwowej.

* * *

Pamiętajmy, że w razie wybuchu III wojny światowej siły zbrojne PRL walczyłyby wbrew polskiemu interesowi narodowemu – zwycięstwo sowieckie oznaczało utrwalenie stanu niewoli. Udział LWP w wojnie stwarzał ponadto śmiertelne zagrożenie dla istnienia narodu polskiego. Doszłoby też do całkowitego zniszczenia polskiej gospodarki i infrastruktury. Unicestwieniu uległby wielowiekowy dorobek kultury narodowej.

Są w Polsce ludzie wspominający z nostalgią czasy PRL, takie uczucia ujawniają postkomuniści i mentalni spadkobiercy komunizmu, staliniątka – wnuczęta ubeków. Ale zdarza się, że także ludzie normalni, wspominając swą młodość, ciepło mówią o „Polsce Ludowej". Nie wiedzą, że Polska rządzona przez komunistów przypominała kogoś, komu założono stryczek na szyję i postawiono na stołku. Miał stać tak do czasu, aż ktoś mu ten stołek spod nóg wykopie. Nie doszło do tego dlatego, że Sowieci nie mieli dość sił, aby wywołać wojnę. Nie zapominajmy o tym, słysząc pochwalne pienia na cześć Polski Ludowej.

54/0621/F

eprasa.pl f739b9f58a

GALA WRĘCZENIA NAGRÓD „GAZETY BANKOWEJ”

TechnoBiznes 2021

NAJLEPSZY BANK 2021

OGLĄDAJ WE **WTOREK** 22 CZERWCA **O 18:00** NA W POLSCE PL

ORGANIZATOR:

GAZETA BANKOWA
NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE

PATRONAT HONOROWY KONKURSU TECHNO BIZNES:

MINISTERSTWO INFRASTRUKTURY

Ministerstwo Rozwoju, Pracy i Technologii

Narodowe Centrum Badań i Rozwoju

PARTNER ZŁOTY:

ORLEN

PARTNER GŁÓWNY:

accenture

PARTNER MERYTORYCZNY:

KEARNEY

eprasa.pl f739b9f58a

Dejmek – partyzant z „Rakiety”

Podporucznik Bolesław Indyk ps. Iperyk opowiada, że Kazimierz Dejmek zgłaszał się na ochotnika do szczególnie ryzykownych i niebezpiecznych akcji, a wieczorami recytował kolegom patriotyczne wiersze

Z dr. Piotrem Szopą, historykiem z rzeszowskiego Oddziału IPN, rozmawia Jaromir Kwiatkowski

Kazimierz Dejmek znany jest głównie jako reżyser słynnych „Dziadów”, których zdjęcie ze sceny w 1968 r. stało się zarzewiem studenckich demonstracji, oraz – ewentualnie – jako minister kultury i sztuki w latach 90. XX w., w rządach Waldemara Pawlaka i Józefa Oleksego. Jego partyzancka historia jest o wiele mniej znana. Wiadomo, że najprawdopodobniej w listopadzie 1942 r. został zaprzysiężony do konspiracji. Walczył najpierw w Batalionach Chłopskich, potem trafił do oddziałów Armii Krajowej

Piotr Szopa: Tak naprawdę dokumentów konspiracyjnych (mówię zwłaszcza o spisach ewidencyjnych) jest niewiele, a jeżeli już są, to posługują się pseudonimami lub są zaszyfrowane, więc musimy się posiłkować także różnymi pośrednimi źródłami, np. wspomnieniami dowódcy placówki strzyżowskiej AK. Ale jest kilka dokumentów, które wprost wskazują na to, że Dejmek wchodził w skład oddziału partyzanckiego Obwodu AK Rzeszów o kryptonimie Rakieta.

Do „Rakiety” wrócimy za chwilę, bo to był bardzo ciekawy oddział. Interesuje mnie jeszcze przeskok Dejmka z konspiracji ludowej do AK.

Nie ma w tym niczego dziwnego ani nadzwyczajnego. Trzeba pamiętać, że przełom lat 1943/1944 przyniósł finalizację umów scaleniowych – Bataliony Chłopskie zostały wchłonięte przez Armię Krajową. Wykazy ewidencyjne przypisują Dejmka do placówki AK określonej kryptonimem cyfrowym 50 – Niebylec. W jednym z dokumentów znalazłem, że Dejmek, a także Tadeusz Spisak ps. Rzeźba, przeszli na teren tej placówki z Tyczyna, a wcześniej z Rzeszowa.

Zastanawia mnie, dlaczego Dejmek był w ewidencji placówki niebyleckiej, skoro jego rodzina spędziła okres okupacji w Rzeszowie, tu mieszkali jego rodzice. Choć Rzeszów i Niebylec nie są odległe – dzieli je niespełna 30 km.

Musimy pamiętać, że konspiracja to działanie często trudne dziś do zrozumienia. Na przykład radiostacja Inspektoratu Rzeszowskiego przez dłuższy czas była zlokalizowana na terenie placówki niebyleckiej. Dokładnie w Połomi [20 km od Rzeszowa – przyp. JK]. Do dziś zachowała się jej siedziba – kiedy jedziemy przez Połomię w kierunku Bieszczadów, jest to dom po lewej stronie, na wzgórzu pod lasem. Chodziło o zachowanie bezpieczeństwa, a trudno dostępny teren je gwarantował.

Ze źródeł wiemy, że Dejmek trafił do „Rakiety” z rekomendacji por. Jana Fredyka „Beja”, oficera łączności. Jak podaje w książce „Strzępy wspomnień” Roman Konieczkowski, dowódca placówki AK Strzyżów, do „Rakiety” została włączona sześcioosobowa grupa rzeszowska Dejmka, używającego pseudonimów Ter i But. „Grupa ta była dobrze uzbrojona w broń pochodzącą ze zrzutów, wyszkolona, zdyscyplinowana i doskonale przygotowana do działań partyzanckich, gdyż uprzednio przez szereg miesięcy stanowiła ubezpieczenie ruchomej radiostacji nadawczej rzeszowskiego inspektoratu AK” – wspomina Konieczkowski.

I wszystko jasne.

„Rakieta” była oddziałem szczególnym...

...szczególnym, bo przeznaczonym do trudnych zadań. Na etapie formowania liczył 21 osób. Wybrano do niego wyróżniających się żołnierzy, których rekomendowali ich dowódcy. Oddział organizował się w Gwoźnicy Górnej. Świetne miejsce, praktycznie odcięte od świata. Żołnierze byli tam szkoleni przez kilka tygodni, zgrywali się, ale także wykonywali już pomniejsze akcje. „Rakieta” była kierowana do zadań, których oddziały nieobyte z bronią i nieposiadające odpowiedniego wyposażenia pochodzącego np. ze zrzutów nie mogły realizować. Na pewno brała udział w dywersji i bezpośredniej walce z wrogiem. Żołnierze oddziału specjalizowali się także m.in. w likwidowaniu konfidentów. W Bliziance „Rakieta” zlikwidowała osobę, która współpracowała z Niemcami i miała wyrok cywilnego sądu specjalnego za przestępstwa kryminalne. W Czudcu doszło do egzekucji praktycznie całej rodziny, także żony oficera AK – dowódcy miejscowej placówki. To była bardzo nietypowa sprawa, bo najprawdopodobniej dowódca placówki osobiście wydał dowódcy „Rakiety” rozkaz jej likwidacji. Mjr Łukasz Ciepliński, komendant podokręgu rzeszowskiego AK, prowadził nawet dochodzenie,

eprasa.pl f739b9f58a

czy dowódca placówki w Czudcu nie wykorzystał oddziału do zlikwidowania swojej żony bez podstaw prawnych i z pobudek osobistych. Do dziś można w tej miejscowości usłyszeć opinie, że kobieta ta zginęła niewinnie.

Nie dowiemy się, czy podczas akcji likwidacyjnych Dejmek pociągał za spust, bo tego w raportach nie ma. Ale że brał w nich udział – to wiemy na pewno.

Dokładnie. Na pojedynczą likwidację były kierowane dwu- lub trzyosobowe patrole, ale w większej akcji, takiej jak likwidacja rodziny, uczestniczył cały oddział.

To znacznie poszerza moją wiedzę wyniesioną z anegdot rodzinnych*, według których Dejmek uczestniczył w postrzyżynach kobiet zadających się z Niemcami. O jego udziale w akcjach likwidacyjnych nie słyszałem.

„Rakieta" przeprowadzała też tzw. akcje umoralniające już w miejscu swojego szkolenia, czyli w Gwoźnicy. Pierwszą formą strzeżenia osób, które nie realizowały wytycznych Polskiego Państwa Podziemnego (PPP) dotyczących tego, jak Polacy powinni zachowywać się podczas okupacji niemieckiej, była chłosta lub – jeżeli kobieta miała ciągoty do Niemców – golenie jej głowy. „Rakieta" już w pierwszym tygodniu szkolenia otrzymała dyspozycje do podjęcia takich działań. Jednak bez względu na to, jakie zadania realizował oddział – czy tzw. akcje umoralniające, czy likwidacyjne – chodziło o to, by nie wykonywali ich miejscowi żołnierze, którzy ulegliby wtedy dekonspiracji.

Zastępca dowódcy „Rakiety", ppor. Bolesław Indyk ps. Iperyk, opowiada we wspomnianej książce Konieczkowskiego, że Dejmek zgłaszał się na ochotnika do szczególnie ryzykownych i niebezpiecznych akcji.

Zapewne nie wspominał tego bez powodu. 23 czerwca 1944 r., po akcji likwidacyjnej w Czudcu, o której wcześniej wspomniałem, a w którą był zaangażowany cały oddział, część żołnierzy była jeszcze w mieście, a część już poza miastem. Nagle rozpętała się strzelanina w lesie nad Czudcem

Kazimierz Dejmek

– okazało się, że ci, którzy już wyszli z miasta, natrafili na sowiecką partyzantkę. Żołnierze, którzy pozostali dłużej w mieście, pobiegli na pomoc kolegom. W wyniku tej potyczki zginął dowódca oddziału, por. Roman Dziadek ps. Kos i jeden z żołnierzy, Józef Pasternak ps. Delfin. To, że oddział nie poszedł wtedy w rozsypkę, zawdzięczamy oczywiście „Iperykowi", ale także kilku żołnierzom, którzy otrzymali pochwały na piśmie. Był wśród nich „Ter".

A „Ter" to, jak wiemy, partyzancki pseudonim Dejmka.

Tak. I pochwała, która zachowała się w dokumentach. O ile rzeczywiście chodzi o „Tera", a nie „Tura", bo czytelność dokumentów pisanych ręcznie pozostawia po latach wiele do życzenia.

„Iperyk" wspomina także partyzanckie wieczory, podczas których późniejszy reżyser „Dziadów" recytował kolegom patriotyczne wiersze. Pisze, że te recytacje „stanowiły ucztę duchową, gdyż pozwalały im oderwać się od ponurej rzeczywistości i korzystnie wpływały na samopoczucie".

Wykonanie wyroków śmierci to nie było to samo co walka z Niemcami. Trzeba było przyjść, popatrzeć komuś w oczy – czasami kobiecie lub całej rodzinie.

Choć były to wyroki w imieniu PPP, to pewnie nie było tak, że brew ich wykonawcom nie drgnęła. Jakim obciążeniom podlegali, pokazała książka Stefana Dąmbskiego „Egzekutor", wydana w 2010 r.

Zgoda. Jest różnica między tymi, którzy byli na akcji może raz, a tymi, którzy przenosili i rozrzucali ulotki albo walczyli z Niemcami. Wielu uczestników akcji likwidacyjnych przez lata nie mogło sobie z tym poradzić. Wspomnijmy o jeszcze jednej akcji, w którą została zaangażowana „Rakieta". W lipcu 1944 r. inspektor Łukasz Ciepliński włączył ją w ramy partyzantki o kryptonimie San i wysłał oddział nad San i za San, na pomoc ludności polskiej eksterminowanej przez UPA. „Rakieta" brała udział w przeciwdziałaniu morderstwom na Polakach, ale także w akcjach odwetowych przeciw Ukraińcom. Ciepliński polecił np., by w odwecie za śmierć kilku katolickich księży partyzantka zlikwidowała księży greckokatolickich. Wiemy, że za Sanem działy się dantejskie sceny. W lecie 1944 r. „Rakieta" dostała rozkaz, że ma natychmiast wrócić stamtąd do Hyżnego, bo tam ma akurat miejsce kluczowy moment walki z Niemcami. Jak wyczytałem w jednym z raportów, żołnierze „Rakiety" ostatnie kilka kilometrów pokonali biegiem i natychmiast rzucili się do walki. Udział w partyzantce, choćby w likwidacjach czy w walkach za Sanem (co jest prawdopodobne), na pewno odcisnął na Dejmku głębokie piętno. Dużo widział, wiele przeżył...

W 1944 r. Dejmek został zdemobilizowany. Po wojnie człowiek, który jeszcze niedawno uczestniczył w egzekucjach w imieniu PPP, najpierw został aktorem, a wkrótce potem reżyserem teatralnym. Ale historia jego powojennych wyborów i droga od tworzenia socrealistycznych przedstawień do inscenizacji „Dziadów", to już temat na zupełnie inną rozmowę.

**Babcia Jaromira Kwiatkowskiego i ojciec Kazimierza Dejmka byli rodzeństwem*

Fot. Wacław Klag/REPORTER

eprasa.pl f739b9f58a

Jak odnieść sukces w rozmowach na szczycie

KRÓTKI PORADNIK

MAREK BUDZISZ

Polska ma niewielkie doświadczenie w organizowaniu międzynarodowych spotkań na szczycie, w związku z czym nasza opinia publiczna może nie wiedzieć, że takie wydarzenia jak ostatnie rozmowy Biden–Putin w Genewie rządzą się swoimi prawami. Można nawet mówić o żelaznych regułach, których przestrzeganie zwielokrotnia szansę odniesienia sukcesu. Co ciekawe – przez obydwie strony. Prześledźmy zatem te reguły

1 *Miejsce*

Po kwietniowej rozmowie telefonicznej Biden–Putin, podczas której po raz pierwszy pojawiła się idea spotkania obydwu liderów, zaczęło się poszukiwanie dogodnej lokalizacji. Wiadomo było, że musi to być, w związku z planowaną podróżą amerykańskiego prezydenta, Europa, więc lista możliwych stolic skurczyła się do trzech, bo zazwyczaj tego rodzaju rozmowy odbywają się w państwach neutralnych. Początkowo rozpatrywano Wiedeń i Helsinki, ale pierwsza lokalizacja straciła na atrakcyjności po tym, jak rząd Sebastiana Kurza wsparł politykę Pragi wobec Rosji po ujawnieniu skandalu z wybuchem w magazynie amunicji w Vrběticach, a druga opcja nie była zbyt dobrze widziana w Waszyngtonie.

Fot. Saul Loeb/AFP/Eastnews

eprasa.pl f739b9f58a

Odbycie spotkania w Helsinkach automatycznie nasuwałoby odniesienia do poprzedniego szczytu Trump–Putin, czego za wszelką cenę z wielu względów starała się uniknąć strona amerykańska. W tym samym czasie Moskwa postanowiła „ukarać" Wiedeń. Starał się temu przeciwdziałać kanclerz Sebastian Kurz, przyjmując zaproszenie Putina na Petersburskie Forum Ekonomiczne i występując tam z przemówieniem, które można uznać za rodzaj hołdu wobec Moskwy, ale płaszczenie się na wiele się nie zdało. Zapadła już bowiem decyzja, w trakcie rozmów Nikołaj Patruszew–Jake Sullivan, że rozmowy odbędą się w Genewie.

Jak się wydaje, za wyborem willi La Grange nad Jeziorem Genewskim przemawiały przede wszystkich argumenty historyczne. Tam właśnie w 1985 r. odbyło się spotkanie Reagan–Gorbaczow, które rozpoczęło okres odprężenia po napięciu początku lat 80., kiedy świat zdaniem specjalistów stanął na progu wojny nuklearnej. Strony zresztą świadomie nawiązały do tamtych rozmów, podpisując 16 czerwca br. przy okazji szczytu deklarację w sprawie równowagi strategicznej, w której znalazło się stwierdzenie, że „wojna nuklearna nie może zostać wygrana i w związku z tym nie może wybuchnąć". Identyczne zdanie znalazło się w komunikacie opublikowanym w 1985 r., co wraz z podkreślaniem wagi rozmów na temat równowagi geostrategicznej ma wskazywać na to, iż pragmatyczna współpraca jest możliwa. Stany Zjednoczone i Rosja wysłały też w ten sposób czytelny sygnał, że są w stanie w uporządkowany sposób „zarządzać rywalizacją".

Genewa została też wybrana z innego powodu. Pozwala bowiem zarówno Putinowi, jak i Bidenowi pokazać światu, jak bardzo różnią się od swoich poprzedników. To druga ważna zasada, na podstawie której organizuje się podobnego rodzaju przedsięwzięcia.

2 Jesteśmy lepsi niż nasi poprzednicy

Udowodnienie tej tezy leży w oczywistym interesie zarówno Joego Bidena, którego formacja już w przyszłym roku stanie do wyborów, jak i tym bardziej Władimira Putina, mającego przed sobą głosowanie (bo chyba nie wybory) do Dumy już we wrześniu tego roku.

Jak ujawnił tygodnik „The Time", Biden, przygotowując się do rozmów z Putinem, codziennie rozmawiał z szefem CIA Williamem Burnsem, który w czasie rozpadu ZSRR był ambasadorem w Moskwie i blisko współpracował z byłym sekretarzem stanu Jamesem Bakerem. Ponadto w skład sztabu prezydenta Stanów Zjednoczonych wchodzili zarówno byli ambasadorowie w Moskwie, uchodzący za jastrzębia Michael McFaul oraz John Tefft, a także pracująca w administracji Trumpa Fiona Hill. To ten sztab doradców, jak informował portal Axios, opracował zręby amerykańskiej strategii na Genewę. Jej głównym założeniem było to, że Putin musi się spotkać z „twardą" odpowiedzią Bidena we wszystkich poruszanych kwestiach. Chodzi oczywiście o retorykę, której celem miało być wykazanie, że teraz Waszyngton będzie znacznie bardziej stanowczy wobec Moskwy niż za czasów Trumpa. Z tego też względu strona amerykańska nie zgodziła się na rozmowy w cztery oczy, a także była przeciwna wspólnej konferencji prasowej, podczas której istniało ryzyko, że Biden wypadnie gorzej niźli jego rozmówca.

Putin miał łatwiejsze zadanie niż Biden, bo Gorbaczow jest uznawany przez dzisiejsze rosyjskie elity za jednego z głównych winowajców „największej katastrofy geopolitycznej XX w.", jaką był rozpad ZSRR. Przy czym w tej interpretacji nie chodzi o to, że Moskwa przegrała technologiczny wyścig zbrojeń, ale raczej o to, że Gorbaczow okazał się politykiem „zbyt miękkim", zbyt wobec Zachodu ustępliwym. Putin, aby wypaść dobrze na tak zarysowanym tle, musiał się przedstawić jako polityk twardo broniący, niezależnie od osobistych odczuć, interesów Rosji. Takie też było jego główne przesłanie na konferencji prasowej po zakończeniu rozmów.

3 Nie oczekiwać zbyt wiele

To żelazna zasada sukcesu w polityce, w tym w relacjach międzynarodowych. Przed rozmowami w Genewie eksperci obydwu stron studzili nadzieje. Żadnego resetu nie będzie, jedyne, na co można liczyć, to poszukiwanie pól pragmatycznej współpracy, co zresztą było zgodne z wcześniejszymi zapowiedziami Bidena. Jedynym wymiernym, jak na razie, efektem rozmów jest zapowiedź dalszych negocjacji w sprawie równowagi strategicznej. Rosyjski wiceminister spraw zagranicznych Riabkow powiedział dziennikarzom, że rozpoczęcie dialogu na poziomie eksperckim w kwestii potencjałów nuklearnych to bardziej kwestia tygodni niż miesięcy. Rosjanie do tego obszaru zdają się przywiązywać największą wagę, o czym świadczy skład ich delegacji. W Genewie obecni byli zarówno szef sztabu rosyjskich sił zbrojnych Walerij Gierasimow, jak i rosyjski ambasador w Waszyngtonie, w przeszłości przez wiele lat kierujący departamentem rozbrojenia w rosyjskim MSZ, gen. Anatolij Antonow. Jedynymi konkretami po negocjacjach są zapowiedź powrotu „z konsultacji" ambasadorów obydwu państw oraz możliwość, bo taką deklarację złożył Putin w czasie konferencji prasowej, wymiany obywateli obydwu państw odbywających kary więzienia. Przy czym warto pamiętać, że Rosjanie domagają się zwolnienia znanego handlarza bronią Wiktora Buta oraz Konstantina Jaroszenki, który odsiaduje w Stanach Zjednoczonych 20-letni wyrok za handel narkotykami, a Amerykanie zabiegają o zwolnienie Trevora Reeda, który dostał dziewięć lat za awanturę z rosyjskimi policjantami, oraz Paula Whelana, skazanego za rzekome szpiegostwo. Osiągnięcie porozumienia w kwestii ich uwolnienia ze względu na wagę zarzutów zapewne nie będzie proste i zajmie nieco czasu, ale nie można wykluczyć kompromisu.

4 Porozumiewać się w sprawach, których nikt nie rozumie

To kolejna zasada negocjacji na poziomie mocarstw, która znalazła zastosowanie w Genewie. Bo kto przy zdrowych zmysłach byłby przeciwny nuklearnemu rozbrojeniu? Poza fachowcami niewiele osób wie, jak dużym ustępstwem ze strony Stanów Zjednoczonych była podjęta przez Bidena już pierwszego dnia jego urzędowania decyzja o przedłużeniu traktatu New START. Putin na tę propozycję ochoczo przystał nie tylko dlatego, że w rozmowach z Marshallem Billingsleą, głównym negocjatorem administracji Trumpa, rosyjscy negocjatorzy proponowali dalej idące ustępstwa, które za Bidena nie okazały się w ogóle potrzebne. Teraz rozmowy rozbrojeniowe będą trwały. Intencje Waszyngtonu są niejasne, bo

eprasa.pl f739b9f58a

jak ujawnił w niedawnym wywiadzie dla stacji radiowej Echo Moskwy Aleksandr Dynkin, szef Instytutu im. Primakowa Rosyjskiej Akademii Nauk, za pośrednictwem środowisk eksperckich Waszyngton sonduje gotowość redukcji potencjału strategicznego o 30 proc.

Niepewność Europejczyków w sprawach „parasola nuklearnego" jest paradoksalnie na rękę zarówno Stanom Zjednoczonym, jak i Federacji Rosyjskiej. W tym pierwszym przypadku może wymusić ustępstwa przede wszystkim Berlina w kwestii programu Nuclear Sharing i generalnie zwiększyć skłonność europejskich partnerów NATO, aby wydawać więcej na swoje bezpieczeństwo. Jeśli zaś chodzi o Moskwę, to ona już zaczęła używać tego argumentu w charakterze narzędzia wywarcia presji na Europę. Wskazują na to słowa Siergieja Ławrowa, który w trakcie niedawnego Forum Rosja–Unia Europejska przedstawił credo Moskwy w zakresie polityki na Starym Kontynencie. Rosyjski polityk stwierdził, że „z żalem zauważa, iż amerykański »parasol« doprowadził Europejczyków do utraty niezależności i po prostu utraty poczucia rzeczywistości oraz umiejętności właściwej oceny nowych wyzwań i najlepszych sposobów reagowania na ich własne i wspólne europejskie interesy podstawowe". Ponadto przypomniał o tym, iż historyczne próby wykluczenia Rosji z europejskiej architektury bezpieczeństwa zawsze kończyły się dla Europy tragicznie, oraz że do podobnych efektów prowadzi polityka mająca na celu „odgrodzenie" się Europy od Rosji. Słowa te trudno odczytać inaczej niż ostrzeżenie ze strony Rosji pod adresem Europy, że Stany Zjednoczone bardziej zainteresowane Chinami mogą zacząć zwijać swój „parasol ochronny", a Rosja pozostanie, i to z nią trzeba zacząć się dogadywać.

5 Skupić uwagę widowni na sprawach marginalnych

Wątków pobocznych przy okazji spotkań na szczycie zawsze pojawia się wiele i zawsze pozwalają one skupić uwagę publiczności na sprawach tyleż barwnych, ileż mało istotnych. I tak, zauważono, że Putin znany ze swej niepunktualności, tym razem się nie spóźnił, odmiennie niźli Biden. Rosyjski prezydent miał podobno odmówić spotkania na lotnisku z prezydentem Konfederacji Szwajcarskiej Guyem Parmelinem, a ponadto opuścił samolot, którym przyleciał, osłoniętym trapem. Rosyjscy dziennikarze uskarżali się, że codziennie muszą sobie robić testy PCR na COVID-19, co skądinąd jest ciekawą informacją jak na kraj, który pierwszy w świecie dopuścił swoją szczepionkę i na dodatek uważa, że jest ona najlepsza na świecie.

> Poważne decyzje, takie jak wznowienie dialogu strategicznego, przedłużenie umowy New START oraz zgoda na dokończenie Nord Stream 2, zapadły jeszcze przed rozmowami Bidena i Putina w Genewie

Światowa opinia publiczna niewątpliwie zainteresowana jest też tym, że miejscowi biznesmeni, właściciele sklepów z pamiątkami i restauratorzy utyskiwali na spadek obrotów w związku z podjętymi środkami ostrożności, w związku z czym władze municypalne Genewy postanowiły o wypłacie odszkodowań. Wreszcie ważnym wydarzeniem było to, w jakiej pozycji usiedli w bibliotece willi La Grange obydwaj liderzy (Biden w swej ulubionej „noga na nogę", a Putin w rozkroku), a także to, że w bezpośredniej bliskości prezydentów mogło pracować po 15 dziennikarzy z każdego kraju, którzy jednak mieli swe osobne centra prasowe.

Konferencje prasowe obydwu liderów też były bardziej widowiskiem, rodzajem teatru na użytek własnej publiczności, niż służyły przekazaniu istotnych informacji. Biden musiał pokazać, że wobec Putina jest twardzielem, stąd informacje na temat tego, co się stanie, jeśli Nawalny umrze w kolonii karnej („konsekwencje będą rujnujące dla Rosji"), a także o tym, że powiązani z Moskwą hakerzy mają nie ważyć się atakować amerykańskich instalacji infrastrukturalnych (pojawiła się nawet lista 16 najważniejszych), bo Stany Zjednoczone mają w tym obszarze „znaczące zdolności". Nie do końca wiadomo jakie, bo o amerykańskim potencjale nie świadczy ani ubiegłoroczny atak SolarWinds, ani tegoroczne obezwładnienie największego rurociągu Colonial. Należy też wątpić, czy Władimir Putin, który zresztą na swojej konferencji prasowej odrzucił te oskarżenia, posłucha przestróg Bidena, ale tego rodzaju pomruki są dobrze widziane.

Z kolei prezydent Rosji starał się grać wyluzowanego i wielkoduszn ego polityka światowego formatu. Osobiście prowadził konferencję prasową i zwracał się do dziennikarek per dziewczyna, a do korespondenta „Kommiersanta" Andrieja Kolesnikowa po imieniu (dobrze, że nie Andriuszka). Putin chciał w ten sposób odróżnić się od Bidena, który miał zawczasu przygotowaną listę dziennikarzy zadających pytania, ale ten pokazowy luz nie bardzo wyszedł. Rosyjskiemu prezydentowi udało się jednak przekazać kluczową informację dla krajowej publiczności. Odpowiadając na pytanie korespondenta „Moskiewskiej Prawdy", powiedział, że nie odczuwał presji ze strony Bidena i amerykańskiej delegacji, a mimo to „dał radę". Zresztą, jak zauważył, spotkał się z prezydentem Stanów Zjednoczonych nie po to, aby się przyjaźnić, co zresztą jest niemożliwe, bo obydwaj panowie się nie lubią, ale aby dbać o interesy własnego kraju. Przekaz drugiej strony jest w gruncie rzeczy identyczny, co oznacza, że szczyt w Genewie zakończył się sukcesem i mamy dwóch zwycięzców tej potyczki.

Poważne decyzje, takie jak wznowienie dialogu strategicznego, przedłużenie umowy New START oraz zgoda na dokończenie Nord Stream 2, zapadły jeszcze przed rozmowami w Genewie. To kolejna, może najważniejsza z listy, zasada, dzięki której można odnieść sukces w tego rodzaju rozmowach, a nawet w ogóle je odbyć.

eprasa.pl f739b9f58a

KULTURA WIELU WYMIARÓW
Muzeum II Wojny Światowej

- ***Muzeum już otwarte dla zwiedzających***
- ***Raport z Westerplatte***
- ***Ekshumacje na terenie Wojskowej Składnicy Tranzytowej***
- ***Jak nazywał się żołnierz z odnalezionego zdjęcia?***
- ***Wyjątkowy projekt Festiwal Decalogue – 10 Prostych Słów!***

Szanowni Państwo,
z nową energią oraz licznymi pomysłami wyszliśmy z pandemii, radośnie witając gości w murach Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. To dla Was przygotowujemy kolejne wystawy, projekty oraz wydarzenia. Nie zapominamy również o licznym gronie odbiorców wirtualnych, którzy tylko w 2020 r. wyświetlili nasze treści ponad 35 mln razy. W trudnym dla nas wszystkich czasie pandemii, starając się dotrzeć do jak najszerszego grona odbiorców – zwłaszcza do tych najmłodszych – skupiliśmy się m.in. na cyfrowych projektach wykorzystujących nowoczesne technologie. Prezentowane w przystępny i atrakcyjny sposób ciekawe lekcje historii online, projekty dające możliwość przeniesienia się w czasie do realiów sprzed 80 lat czy zwiedzanie historycznych obiektów z września 1939 r. to jedne z wielu cyfrowych propozycji edukacyjnych MIIWŚ, nagradzanych i docenianych przez liczne gremia. Na odwiedzających naszą placówkę na miejscu także czekają liczne nowości. Poza otwartą wystawą główną zapoznać się można z wystawami czasowymi, w tym z prezentowaną od maja br. unikatową wystawą „Tadeusz Pietrzykowski – wojownik o duszy artysty", prezentującą zbiór prac artystycznych legendarnego „boksera z Auschwitz". Na muzealnych gości czekają: kameralne Kino Muzeum, biblioteka, hotel, restauracja z widokiem na historyczny Gdańsk, a także funkcjonujący z powodzeniem od kilku sezonów muzealny teatr dla dzieci i młodzieży. Dla wszystkich melomanów już 26 czerwca br. w ramach Festiwalu Decalogue na placu przed MIIWŚ zagrają m.in. Arka Noego i Luxtorpeda, którzy przypomną o 30. rocznicy pierwszej wizyty Jana Pawła II w Polsce, inaugurując jednocześnie początek lata.

Pomimo trwającej pandemii nie zwolniliśmy tempa intensywnych prac na Westerplatte. Zamieszczony w niniejszym numerze artykuł przygotowany przez badaczy z Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku jest poświęcony właśnie tematyce tego miejsca, któremu przez ostatnie cztery lata konsekwentne przywracamy pamięć.

Budowa Muzeum Westerplatte i Wojny 1939 jest możliwa dzięki wsparciu od samego początku Ministerstwa Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu. Sprawna realizacja tego ważnego projektu jest wynikiem starannie przeprowadzonej procedury legislacyjnej. 1 września 2019 r. wmurowany został kamień węgielny pod budowę nowej placówki, a jesienią tego samego roku archeolodzy MIIWŚ odnaleźli spoczywające przez ponad 80 lat w bezimiennych mogiłach szczątki dziewięciu obrońców Westerplatte. Noty identyfikacyjne pięciu poległych zostały wręczone rodzinom przez prezydenta RP Andrzeja Dudę w trakcie porannych uroczystości 1 września 2020 r. na półwyspie. W sierpniu 2020 r. zaprezentowaliśmy założenia programowe projektowanego muzeum, którego budowa, podzielona na etapy, przewidziana jest na lata 2020–2027. Pod koniec 2020 r. w ramach międzynarodowego konkursu została wybrana zwycięska koncepcja cmentarza wojskowego Żołnierzy Wojska Polskiego na Westerplatte, którego otwarciu 1 września 2022 r. towarzyszyć będzie uroczysty pogrzeb obrońców Wojskowej Składnicy Tranzytowej. Budowa cmentarza oraz udostępnienie nowoczesnej wystawy w zabytkowym budynku Elektrowni stanowią pierwszy etap realizacji inwestycji.

Mam nadzieję, że zarówno lektura artykułu poświęconego odkrywaniu przeszłości Westerplatte, jak i przedstawione, wybrane spośród licznych aktywności, działania Muzeum II Wojny Światowej zachęcą Państwa do odwiedzenia naszej instytucji na miejscu i w przestrzeni wirtualnej. Będzie to także przyczynek do bliższego poznania półwyspu Westerplatte, gdzie powstaje plenerowe muzeum opowiadające historię miejsca rozpoczęcia II wojny światowej.

Dr Karol Nawrocki
Dyrektor Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku

Fot. Andrzej Wiktor

Archiwalne zdjęcia

wskazówką do poznania historii Westerplatte

Jedną z kwestii przez lata nurtujących badaczy historii Wojskowej Składnicy Tranzytowej były niewyjaśnione losy szczątków większości spośród 15 polskich żołnierzy poległych bądź zmarłych w wyniku ran odniesionych w trakcie obrony Westerplatte. Odnalezienie miejsca ich pochówków stało się jednym z najważniejszych zadań dla archeologów Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, realizujących działania pod kierownictwem Filipa Kuczmy

Od 2016 r. (wówczas jeszcze – do kwietnia 2017 r. – jako Muzeum Westerplatte i Wojny 1939 w organizacji) gromadzili oni i analizowali wszelkie dostępne materiały archiwalne dotyczące poległych westerplatczyków. Dopiero drobiazgowa analiza badawcza oraz tysiące metrów sześciennych skrupulatnie przebadanej ziemi doprowadziły do przełomu w nierozwiązanej od 80 lat sprawie.

Prace poprzedzające badania archeologiczne rozpoczęto od analizy relacji polskich jeńców cywilnych – Polaków aresztowanych przez Niemców na terenie Gdańska i Gdyni, których już 8 września 1939 r. kierowano na Westerplatte w celu uprzątnięcia terenu po bitwie. Jednym z ich pierwszych zadań było pogrzebanie polskich żołnierzy odnalezionych w trakcie porządkowania półwyspu. Jeńców zmuszono m.in. do wydobycia ciał, które znajdowały się w ruinach wartowni nr 5 – budynku zniszczonym 2 września w trakcie nalotu Luftwaffe. Siła eksplozji dwóch celnych bomb lotniczych o wadze 50 kg doprowadziła do zawalenia się części parterowej wartowni i śmierci co najmniej sześciu jej obrońców. Dzięki analizie wspomnień świadków udało się jedynie ustalić, że miejsce wyznaczone przez Niemców na pochowanie poległych westerplatczyków znajdowało się w pobliżu zniszczonej wartowni oraz budynku willi oficerskiej. Złożono tam zarówno zwłoki wydobyte z wartowni nr 5, jak i szczątki polskich żołnierzy odnalezione w innych częściach półwyspu.

Zdjęcia

Kluczowym elementem, który umożliwił zlokalizowanie mogił poległych obrońców Westerplatte, była analiza zdjęć niemieckich żołnierzy, licznie odwiedzających teren składnicy po zakończeniu walk. Na fotografiach wykonanych z trzech kierunków przedstawiono zarówno prowizoryczne kopczyki grobowe, jak i ich najbliższe otoczenie – ukształtowanie terenu, drzewa czy budynki. Dzięki porównaniu widocznych na archiwalnych fotografiach elementów krajobrazu z obecnym wyglądem Westerplatte określono miejsce przyszłych badań archeologicznych. Niebagatelne znaczenie miała również nabyta podczas wcześniejszych prac wykopaliskowych wiedza o dokładnej lokalizacji nieistniejących już budynków Składnicy, widocznych także na wspomnianych fotografiach.

24 września 2019 r. archeolodzy Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku odkryli pierwszą mogiłę, do której niemal równo 80 lat wcześniej wrzucono okaleczone zwłoki polskiego żołnierza. W kolejnych tygodniach zlokalizowano cztery kolejne groby. Ze wszystkich mogił podjęto szczątki co najmniej dziewięciu poległych westerplatczyków. Na podstawie wykonanych kwerend muzealni badacze ustalili szczegółową listę 15 obrońców poległych na Westerplatte bądź zmarłych w wyniku ran odniesionych w trakcie walk. Dzięki pracy zespołu specjalistów z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie oraz śledztwu prowadzonemu przez Oddziałową Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu IPN w Gdańsku udało się na chwilę obecną ustalić tożsamość pięciu spośród odnalezionych obrońców Westerplatte. Wszyscy zidentyfikowani żołnierze zginęli 2 września 1939 r. w rozbitej bombami wartowni nr 5.

Na zdjęciu zaznaczono rozpoznane przez archeologów MIIWŚ ciało poległego 2 września 1939 r. w wartowni nr 5 obrońcy Westerplatte. Fotografia wykonana najpewniej 10 września 1939 r. przez niemieckiego żołnierza (MIIWŚ)

Zdjęcie ukazujące miejsce pochówków polskich żołnierzy poległych w trakcie obrony Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte. W tle widoczne ruiny wartowni nr 5. Fotografia wykonana najpewniej po 11 września 1939 r. (MIIWŚ)

Opracowanie

Prace wykopaliskowe, które przyniosły tak istotne dla Westerplatte oraz dla historii początków II wojny światowej odkrycia, zakończono w listopadzie 2019 r. Dla muzealnych archeologów rozpoczął się czas żmudnego opracowywania zebranych informacji i zabytków, a także kontynuacji prac nad zbiorem archiwalnych zdjęć. Szczegółowej analizie poddano m.in. fotografie, na których Niemcy utrwalili zniszczoną bombami wartownię nr 5.

W pierwszej kolejności podjęto próbę ułożenia zbioru zdjęć wartowni nr 5 chronologicznie. Pozwoliło to na uchwycenie zmian, jakie poczyniono podczas oczyszczania i systematycznej rozbiórki zrujnowanego budynku. Najwcześniejszą fotografię wykonano najprawdopodobniej już dzień po kapitulacji Składnicy, czyli 8 września 1939 r. Widać na niej uzbrojonych niemieckich żołnierzy w hełmach, stojących na gruzach górnej kondygnacji wartowni całkowicie pokrytej jeszcze szczątkami drewnianego dachu. Fotografie wykonane w następnych dniach września ukazują demontaż budynku – pozbyto się drewnianych elementów dachu i przemieszczono fragmenty żelbetowej konstrukcji. Szczególną uwagę pracowników działu archeologicznego muzeum przykuło kilka zdjęć ukazujących północno-zachodni fragment rozerwanej eksplozją górnej kondygnacji wartowni. Na obrzeżach kadrów widać pozujących na tle ruin żołnierzy niemieckich oraz rozrzucone polskie skrzynki amunicyjne z wyposażenia wartowni. To właśnie na tych elementach skupiali się dotychczas badacze historii Westerplatte. Zainteresowanie archeologów wzbudziły jednak mało czytelne na pierwszy rzut oka kształty w centrum kadrów – szczegóły, które przez lata nie zwróciły niczyjej uwagi.

Analiza

Szukając odpowiedzi na pytanie, czym w zamyśle fotografów był główny temat zdjęć, przystąpiono do ich analizy. Na powiększeniu jednego ze zdjęć, w centrum kadru, wśród gruzu dostrzeżono zarys nagiej prawej stopy ludzkiej skierowanej piętą do góry. Przeglądając powiększenia kolejnych fotografii, na których widoczny był ten sam motyw, badacze nabrali przekonania, że przedstawiają one zwłoki polskiego żołnierza poległego w wartowni nr 5. Obrońca leży na brzuchu, jego prawa, zgięta w kolanie noga opiera się na gruzie, stopa bez buta w nienaturalny sposób skierowana jest w górę, głowę zaś przykrywa betonowy fragment budynku. Widoczne są także obrażenia, których doznał poległy – rozległe rany na wysokości łopatek, pleców i pośladków. Przy prawej ręce żołnierza zauważono cylindryczny przedmiot – najpewniej metalowy pojemnik na maskę przeciwgazową. To właśnie na tle poległego w wartowni nr 5 polskiego obrońcy fotografowali się niemieccy żołnierze.

Porównując informacje utrwalone na zdjęciach z odnalezionymi przez archeologów szczątkami poległych westerplatczyków, można postawić hipotezę, że sfotografowany żołnierz został pochowany w mogile oznaczonej w trakcie wykopalisk numerem 3. Wskazuje na to kontekst odnalezienia szczątków:

- brak prawego buta na stopie szkieletu – jedyny taki przypadek wśród odnalezionych szczątków;
- pojemnik od maski przeciwgazowej wz. 1924 RCS odnaleziony przy głowie poległego;
- charakter zaobserwowanych na szkielecie urazów – przebite odłamkami łopatki oraz kości miednicy, co odpowiada ranom zaobserwowanym na zdjęciach przedstawiających poległego żołnierza.

Można też ustalić prawdopodobną datę wykonania omawianych zdjęć. Wedle zapisów z dziennika kapelmistrza Williego Auricha z 10 września 1939 r. na teren Westerplatte udała się grupa marynarzy z okrętu „Schleswig-Holstein". W trakcie zwiedzania pola bitwy dotarli oni w okolice zniszczonej wartowni nr 5. Widzieli tu ciała dwóch polskich żołnierzy i przygotowania do ich pochówku. Według relacji wewnątrz budynku znajdowały się zwłoki czterech Polaków, lecz zalegający gruz uniemożliwiał ich wydobycie. Wyciąganie ciał rozpoczęto zatem dopiero następnego dnia – 11 września. Być może to niemieccy marynarze z grupy Auricha wykonali omawiane fotografie, pozując przy zwłokach zabitego przeciwnika.

Kim był uwieczniony na zdjęciach poległy polski żołnierz, którego ciało bezpardonowo wrzucono 10 września 1939 r. do głębokiego dołu? Na dziś nie został zidentyfikowany. Mamy nadzieję, że prowadzone badania wkrótce pozwolą na przywrócenie tożsamości wszystkich poległych westerplatczyków, odkrytych w 2019 r. przez archeologów MIIWŚ.

* * *

W okresie od marca do czerwca br. Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku prowadziło VII już etap badań archeologicznych na Westerplatte. W trakcie badań ustalono dokładne położenie i stan zachowania wartowni nr 5. Podczas prac odsłonięto także ruiny willi oficerskiej – miejsca kwaterowania dowódcy Składnicy mjr. Henryka Sucharskiego oraz jego zastępcy kpt. Franciszka Dąbrowskiego. Tegoroczne prace poprzedzały budowę nowego cmentarza wojskowego Żołnierzy Wojska Polskiego na Westerplatte, zlokalizowanego w miejscu odnalezienia w 2019 r. mogił polskich żołnierzy. Koncepcja realizowanego cmentarza została wybrana w ramach międzynarodowego konkursu w grudniu 2020 r. Inwestycja ta stanowi pierwszy etap budowy Muzeum Westerplatte i Wojny 1939, realizowanej przez MIIWŚ. Uroczysty pochówek obrońców Westerplatte planowany jest na 1 września 2022 r. Realizacja kolejnych sezonów badań archeologicznych oraz budowa muzeum na półwyspie Westerplatte stały się możliwe dzięki połączeniu dwóch państwowych instytucji kultury: Muzeum Westerplatte i Wojny 1939 z Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, funkcjonujących od 2017 r. pod dyrekcją dr. Karola Nawrockiego.

Adam Dziewanowski, Filip Kuczma, Wojciech Samól
Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku

eprasa.pl f739b9f58a

To 10 prostych słów

Muzeum zaprasza na Festiwal Decalogue

Nie tylko melomani powinni zapisać sobie w kalendarzu datę 26 czerwca. To właśnie tego dnia w pięknym mieście nad Motławą, na placu przed Muzeum II Wojny Światowej zostanie zorganizowany Festiwal Decalogue – 10 Prostych Słów! Czego może się spodziewać spragniona muzycznych doznań publiczność?

To będzie niezwykły dzień, wypełniony muzyką, energią, świadectwami i fragmentami wystąpień św. Jana Pawła II. To jego wizytę w Polsce chcą wspomnieć organizatorzy, Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku i twórcy projektu Festiwal Decalogue – 10 Prostych Słów!, którego honorowym patronem będzie metropolita gdański abp Tadeusz Wojda.

Śladami świętego

Czerwcowa wizyta Ojca Świętego w Polsce w 1991 r. przebiegała pod hasłem „Bogu dziękujcie, Ducha nie gaście". Św. Jan Paweł II przekonywał naszych rodaków, że odzyskana wolność jest zadaniem i historyczną szansą, której nie można zmarnować. Zachęcał do sięgnięcia do fundamentu wiary, do Dekalogu.

„Oto Dekalog, oto 10 słów. Od tych dziesięciu prostych słów zależy przyszłość człowieka i społeczeństw. Przyszłość narodu, państwa, Europy i świata" – przypominał nasz wielki rodak.

Hasło jego podróży do ojczyzny „Bogu dziękujcie, ducha nie gaście" przepełnione było radością z odzyskanej wolności, ale zdradzało też niepokój o to, jak uda nam się tę wolność zagospodarować. Ojciec Święty przypomniał, że musimy używać wolności przede wszystkim do pokonania kryzysów społeczno-ekonomicznych i moralnych polskiego społeczeństwa.

Słowa wypowiedziane 30 lat temu nie straciły nic ze swojej aktualności.

„Bogu dziękujcie, ducha nie gaście"

Koncert zacznie się o godz. 15.00, od występu uwielbianego przez publiczność zespołu dziecięcego Arka Noego. W skład tej supergrupy wchodzą głównie dzieci członków zespołu 2Tm2,3 oraz ich przyjaciele. Działalność Arki Noego sięga 1999 r., kiedy powstała pierwsza piosenka z okazji pielgrzymki Ojca Świętego Jana Pawła II. Od tego czasu młodzi wykonawcy koncertują nie tylko w Polsce, lecz również za granicą, np. w USA i Kanadzie.

Kolejną muzyczną atrakcją będą ostrzejsze, rockowe brzmienia powstałej w 2010 r. Luxtorpedy. Koncert grupy założonej z inicjatywy gitarzysty i wokalisty Roberta Friedricha, znanego z zespołów: Acid Drinkers, Arka Noego, Kazik na Żywo i 2Tm2,3, zaplanowany jest na godz. 18.30.

O 19.15 rozpocznie się koncert Józefa Skrzeka. Ten znany polski multiinstrumentalista, wokalista i kompozytor współpracował w przeszłości z najwybitniejszymi muzykami z Polski i świata, m.in. Czesławem Niemenem.

Współtwórca grupy SBB, z którą nagrał kilkanaście płyt, demonstruje światu nową formułę muzyki uniwersalnej, ze słowiańską romantyką oraz buntowniczą dynamiką rocka.

Wspólnie z Lechem Majewskim wystawił operę współczesną „Pokój Saren". Współpracuje także z prof. Wiesławem Komasą, intuicyjnie łącząc słowo mówione z muzyką (spektakl „Jesteś, który jesteś"). Jego niebywały dorobek artystyczny został doceniony złotym medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis".

W ramach finałowego występu wszystkich artystów uczestniczących w Festiwalu Decalogue – 10 Prostych Słów! słuchacze zostaną zaproszeni na koncert złożony z wystąpień wielu znakomitych polskich wokalistów, połączony z elementami przemówień Jana Pawła II z 1991 r.

Na scenie wystapia m.in. Marika, Andrzej Lampert, Adeb Chamoun Trio, Polski Chór Kameralny; Marcin Pospieszalski wraz z sekcją rytmiczną oraz wielu innych artystów. Wydarzenie będzie także okazją do wsparcia „Mostu do Nieba" – pierwszego hospicjum dla dzieci na Litwie, na którego rzecz będzie prowadzona kwesta w trakcie koncertu.

Organizatorzy i twórcy Festiwalu chcą przypomnieć wciąż niezwykle aktualne nauczanie Ojca Świętego, który podkreślał wagę Dekalogu jako fundamentu życia chrześcijańskiego. Przypominają, że papieskie słowa sprzed lat, mimo odmiennego kontekstu, nic nie straciły ze swej aktualności. *(AC)*

eprasa.pl f739b9f58a

Polacy poza horyzontem

SIECI

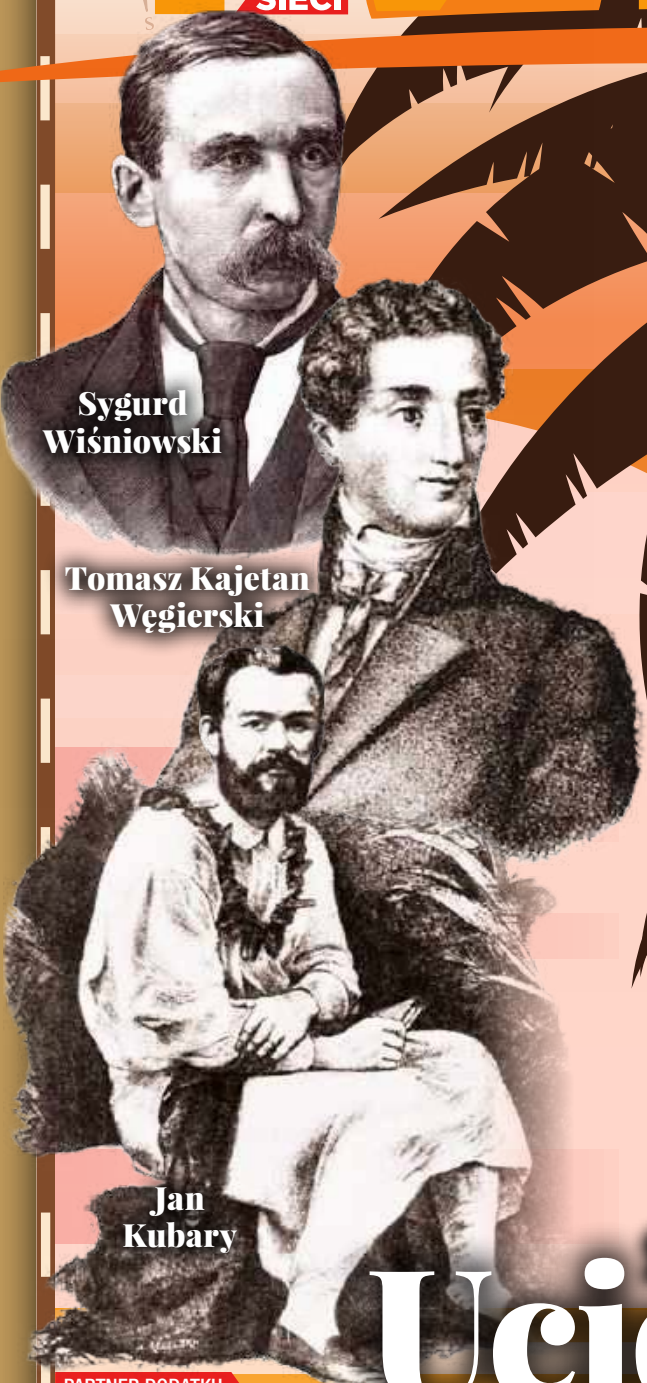

odc. 5

Uciec jak najdalej

PARTNER DODATKU

ORLEN

eprasa.pl f739b9f58a

W kraju był spalony, więc uciekł, i to z rozmachem, od razu na drugi koniec świata. Przez następne 30 lat Jan Stanisław Kubary przemierzał kolejne wyspy Oceanii, na wielu z nich pojawiając się jako pierwszy biały człowiek

Inicjacje białego szamana

W 1868 r. Jan Kubary skreślił list do matki. Utrzymany był w tonie pożegnalnym, a kończyło go zdanie: „Całe moje życie, licząc od 1863 r., było tylko boleścią". I chyba nie kłamał. Nie było to co prawda zbyt długie życie, bo w momencie wybuchu powstania styczniowego miał 17 lat, teraz liczył więc sobie 22, ale istotnie miał prawo czuć się źle. W powstaniu wziął udział, ale zdezerterował. Zaszantażowany przez kolegów, powrócił w szeregi, został nawet pomocnikiem naczelnika powiatu olkuskiego, ale już w marcu 1864 r. złożył dymisję. Uciekł wówczas do Drezna, gdzie za prawo powrotu do kraju zgodził się za pieniądze donosić ochranie na polskich spiskowców. I istotnie to robił.

Jego wcześniejsze życie nie jest warte poważnej wzmianki. Ukończył w Warszawie gimnazjum, następnie rozpoczął studia medyczne, ale przerwał je – praca w konspiracji, a później powstanie ostatecznie zakończyły jego szkolną edukację. Współpracując z Rosjanami, mógł co prawda ponownie podjąć naukę, ale – jak pisał Wacław Słabczyński – „wyrzuty sumienia spowodowane załamaniem się moralnym w młodości i nie-

eprasa.pl f739b9f58a

chlubną rolą, jaką odegrał po upadku powstania styczniowego, sprawiły, że nie ukończywszy studiów medycznych w Szkole Głównej, uciekł za granicę, nie pożegnawszy się nawet z rodziną". Tak naprawdę nie miał wyjścia. Pozostając w kraju, musiałby już zawsze być szpiclem ochrany, bo w razie odmowy trafiłby zapewne na Syberię. Zdecydował się więc na samodzielną zsyłkę.

Uznany za wodza

Po wyjeździe z Polski przez rok włóczył się po Niemczech, nie mając chyba pomysłu na życie. Nie miał konkretnego zawodu, bo medycynę ledwo liznął, imał się więc zapewne dorywczych prac, by jakoś przeżyć. Nie wiadomo gdzie ani w jakich okolicznościach poznał niejakiego Jana C. Godeffroya – bogatego armatora z Hamburga, mającego zapewne spore ambicje naukowe, bo poza wysyłaniem swojej floty w zamorskie rejsy handlowe wydawał też pismo naukowe „Journal des Museum Godeffroy". Coś musiało pociągać go w młodym Polaku, bo z miejsca zatrudnił go w roli przedstawiciela handlowego, podpisując z nim kontrakt na pięć lat. Kubary nie mógł trafić lepiej. Po pierwsze, był w tym momencie ustabilizowany finansowo, po drugie, mógł wreszcie na czyjś koszt wyrwać się z Europy. Jego przygoda zaczęła się 1 maja 1869 r., kiedy wypłynął z Hamburga na parostatku „Wandrahm".

Cokolwiek zaintrygowało Godeffroya w Kubarym, można mieć pewność, że były to również jego przyrodnicze pasje. Nic nie wiemy o jego wcześniejszych zainteresowaniach tymi sprawami, ale kiedy po czterech miesiącach podróży wylądował na Samoa, niemal natychmiast odkrył, opisał i wysłał do Hamburga okazy nieznanego wcześniej w Europie gołębia wodnego. Już to mówi przynajmniej o dwóch rzeczach: Kubary potrafił ptaka rozpoznać, miał więc pojęcie o biologii. Ale wiedział też, że musi go wysłać do Godeffroya – armator zlecił mu więc nie tylko prowadzenie transakcji handlowych, ale też misję naukową.

I Kubary nie zawiódł. Przez kolejnych pięć lat podróżował nieustannie po wyspach Mikronezji, opisując ich geografię, rysując mapy, odkrywając nowe gatunki fauny i flory, a także opisując lokalne plemiona, zazwyczaj dołączając słowniczek i gramatykę ich języka. „Opisywał w sposób zadziwiająco wszechstronny. Wśród jego prac nie brak tekstów dokumentujących dogłębne studia etnograficzne i lingwistyczne, ale często można spotkać prace geograficzne, i to zarówno z zakresu geografii fizycznej, jak i politycznej i gospodarczej. Wszystkie te prace łączy wspólna cecha. Są ładnie napisane. Język Kubarego urzeka swą soczystością, ułatwiającą czytelnikowi przeniesienie się wyobraźnią w odległe światy mikronezyjskie" – pisali Maciej Jędrusik i Magdalena Jackowska z Uniwersytetu Warszawskiego.

Lecząc krajowców i wielu z nich ratując od śmierci, postrzegany był jako ktoś w rodzaju szamana, nic też dziwnego, że uznany został za honorowego wodza. To zaś otwierało mu drzwi do chat autochtonów – miał dostęp do tajemnych rytuałów, świętych opowieści – wszystkiego tego, co dla białych było zakazane

Wszystko to sprawiło, że wysyłane do Hamburga artykuły przedrukowywane były w prasie europejskiej, zaskakująco szybko przysparzając mu sporej popularności zarówno u zwykłych czytelników, jak i badaczy akademickich. Także w Polsce, bo jego teksty publikowały takie pisma, jak „Wędrowiec" czy „Tygodnik Ilustrowany".

W ciągu pierwszych pięciu lat swojego pobytu w Mikronezji bardzo często zmieniał lokalizację. Kilka miesięcy spędził na atolu Ebon, kolejnych kilka na Karolinach, nieco później, dwa lata mieszkał wśród tubylców archipelagu Palau – w wielu z tych miejsc był pierwszym białym człowiekiem, jakiego widzieli. I potrafił to wykorzystać. Jego skromna wiedza medyczna była i tak dość duża jak na mikronezyjskie warunki. Lecząc więc krajowców i wielu z nich ratując od śmierci, postrzegany był jako ktoś w rodzaju szamana, nic też dziwnego, że uznany został za honorowego wodza. To zaś otwierało mu wszystkie drzwi do chat autochtonów – miał dostęp do tajemnych rytuałów, świętych opowieści – wszystkiego tego, co dla białych było zakazane. Kto wie, może dzięki temu Kubary wniósł pewien wkład w rozwój dzisiejszej turystyki? To w każdym razie on właśnie odkrył tzw. Wenecję Pacyfiku, czyli ok. 90 wysepek na Ponape – częściowo usypanych sztucznie – z zachowanymi ruinami nieznanej cywilizacji sprzed blisko tysiąca lat.

„Niektóre prace, szczególnie o ustroju społecznym Palau, są dziś klasyką literatury etnograficznej" – przyznaje Maciej Jędrusik. Ale chyba zdawano sobie z tego sprawę już w połowie lat 70. XIX w. „Studia naszego ziomka nad społecznymi urządzeniami wyspy Mortlock lub Ponape, archipelagów bońskiego lub palauskiego, są przyczynkiem do nauki, który pozostanie na zawsze, mówimy wyraźnie »na zawsze«, świadomi tego zwrotu" – pisał wówczas Ludwik Krzywicki.

Na Palau, czyli w domu

Po pięciu latach Kubary wyruszył do Europy. Z przygodami, bo w okolicach Wysp Marshalla jego statek uległ katastrofie i znaczna część zebranej kolekcji zatonęła. Strata była duża, ale w tym momencie badacz cieszył się już taką renomą, że jego przyjazd był wartością samą w sobie. Godeffroy bez mrugnięcia okiem przedłużył mu kontrakt na kolejnych pięć lat, a także – co może dla Kubary było cenniejsze – wystarał u władz rosyjskich zgodę na jego wizytę w Polsce. W 1875 r. odwiedził więc rodzinę w Warszawie, a także wziął udział w Zjeździe Lekarzy i Przyrodników we Lwowie – co, rzecz prosta, tylko umocniło jego pozycję nad Wisłą. Mikronezja

eprasa.pl f739b9f58a

jednak ciągnęła go już w tym momencie bardziej.

Na Samoa dotarł ponownie w 1876 r. I znów miesiącami pomieszkiwał na wyspach Nukuoro, Mortlock czy Fefan – co rusz odkrywając coś nowego; czy miał to być nieznany gatunek ryby, czy niespotykany nigdzie indziej, archaiczny rytuał inicjacyjny lokalnego plemienia. Ale jego uwadze nie umknęły także negatywne zjawiska, zwykle związane z coraz silniejszą penetracją tych ziem przez białych. Niekiedy w pełnym tego słowa znaczeniu: „O cnocie więc Samoanek nie należy wątpić, choć niestety, trzeba otwarcie wyznać, że od czasu przyjścia białych Apia ma także swoją prostytucję. Krajowcy, których córki w niej grzęzną, bywają zwykle pocieszani złotem, którym biali za miłość płacą. Na szczęście ma to miejsce tylko w siedzibach konsulów, w Apii. Trzy kroki poza nią, spotykamy dawną, nieucywilizowaną uczuciowość" – pisał na Samoa.

Trzy lata minęły mu beztrosko, potem jednak wydarzyło się coś, co mogło się skończyć fatalnie dla dalszych badań. W 1879 r. Godeffroy zbankrutował, Kubary stracił pracę, a że w międzyczasie wziął ślub – musiał nagle zająć się poszukiwaniem jakiegokolwiek zajęcia. A z tym wiodło mu się różnie. Najpierw zarządzał plantacją palm kokosowych na Pohnpei – ale palmy powyrywał tajfun. Na pewien czas osiadł w Japonii i pracował dla muzeum tokijskiego, ale Japończycy w tamtym czasie byli mocno ksenofobiczni, nie utrzymał się więc długo na stanowisku.

Przez jakieś dwa lata jego sytuacja była więc dość ciężka, ale nie tragiczna. „Pomocy Kubaremu udzielili wyspiarze, pamiętający jego zasługi w zwalczaniu grypy. Jeden z wodzów ofiarował mu piękny dom gminny na Palau. Tak więc mimo ciężkiej sytuacji materialnej mógł nadal prowadzić swoje badania. Wraz z krajowcami wyruszył znów na wyspę Yap. Tam otrzymał wiadomość, że dzięki poparciu znanego podróżnika Adolfa Bastiana został zaangażowany przez Muzeum Etnograficzne w Berlinie" – pisał Tadeusz Słabczyński.

Radość była jednak przedwczesna. Muzeum wkrótce wymówiło mu umowę i po raz kolejny pozostał bez środków do życia. Tak naprawdę imał się odtąd każdego zajęcia. Był tłumaczem niemieckiej floty wojennej, buszującej wówczas w tych rejonach. Nadzorował plantację na Nowej Brytanii. Kierował stacją handlową na Nowej Gwinei, gdzie został również urzędnikiem stanu cywilnego – jak przekonuje Słabczyński – pierwszym w dziejach wyspy. Autor ten sugeruje, że był to być może najszczęśliwszy okres w życiu Kubarego. Jego sytuacja ustabilizowała się, przyroda Nowej Gwinei oszałamiała swoim bujnym bogactwem, chyba nie narzekał też na życie rodzinne. Jedyny kłopot polegał na tym, że był już wówczas człowiekiem mocno schorowanym.

List o raju

Nie dolegało mu nic konkretnego, ale klimat Oceanii nie jest na dłuższą metę przyjazny dla Europejczyków. Przeszedł malarię i czerwonkę, coraz częściej miewał trudności z oddychaniem – być może z powodu kilkakrotnie większej wilgotności klimatu, a może wzmagającej się choroby serca. Żył barwnie, ale z pewnością nie zdrowo. Mieszkał w buszu, z dala od jakichkolwiek wygód, nieustannie pracował, jadał, co popadło i co niekoniecznie było strawne dla europejskiego żołądka. Teoretycznie wciąż był mężczyzną w sile wieku – na początku lat 90. ledwo przekroczył czterdziestkę. Zużycie organizmu dodawało jednak kolejnych dekad do metryki.

„Ma pan do wyboru wyjazd do Europy, albo – grób na Nowej Gwinei" – powiedział mu w 1891 r. polski lekarz Maksymilian Łukowicz i Kubary wziął sobie tę radę do serca. Pojechał nawet do Europy, ale zupełnie nie był tam w stanie znaleźć pracy – niestety również w Polsce. Nie miał wyboru – przez lata to właśnie Oceania stała się jego domem, nie mając więc gdzie się podziać, po prostu tam wrócił. Nie na długo jednak. Pracował przez dwa lata w Kompanii Nowogwinejskiej, po upływie kontraktu postanowił jednak osiąść na Ponape i prawdopodobnie żyć skromnie na plantacji. Plantacji jednak już nie było – została zniszczona w powstaniu przeciwko Hiszpanom, które wybuchło pod jego nieobecność.

Kubarego także wkrótce już nie było. Znaleziono go martwego 9 października 1896 r. Zachował się jednak list, dzięki któremu możemy wyobrazić sobie, w jakiej scenerii przyszło mu żyć przez większość życia i w jakiej umrzeć:

„Tuż poza moim domostwem czerni się dziewiczy las, ze swymi wysokimi pniami, owiniętymi w gąszcz nieprzebyty, wiecznie zielonych powojów, paproci i mchów. Sprzed mojego domku, stojącego na tarasowato wznoszącym się ponad wodę brzegu, widzę przed sobą cały port i otwarte morze, ograniczone prawie czwartą częścią horyzontu; nieco na prawo, wysunięte przylądki ziem plemienia Nut, wznoszące się ku wnętrzu w łańcuch gór o bardzo stromych, wiecznymi lasami pokrytych stokach. Tuż pode mną wije się ramię morza o ciemnej gęstwie mangrowców, stanowiące wschodnią granicę mej ziemi; zachodnią tworzy rzeka ze swymi kaskadami, poza mną lasy, wąwozy, góry".

Wojciech Lada

Fot. Smithsonian Libraries, British Library (x2)

Reklama | 54/0121/F

eprasa.pl/739b9f58a

20 LAT CLUB VITAY

ORLEN

20 lat Programu VITAY.

Wciąż się rozwijamy!
Aplikacja **ORLEN VITAY** w nowej odsłonie.

Jakie korzyści daje aplikacja?

- Zyskaj wirtualną kartę VITAY
- Nawiguj do najbliższej stacji ORLEN
- Oszczędzaj dzięki kuponom promocyjnym
- Zbieraj punkty na nagrody z Katalogu VITAY
- Płać bezgotówkowo z funkcją ORLEN Pay

Pobierz **ORLEN VITAY**

Download on the App Store

GET IT ON Google Play

eprasa.pl f739b9f58a

Tym, czego Sygurd Wiśniowski nie wytrzymywał, była nuda. Ucieczka przed nią zaprowadziła go do Australii i na Dziki Zachód. Dzięki reportażom z tych miejsc stał się przez pewien czas gwiazdą literatury

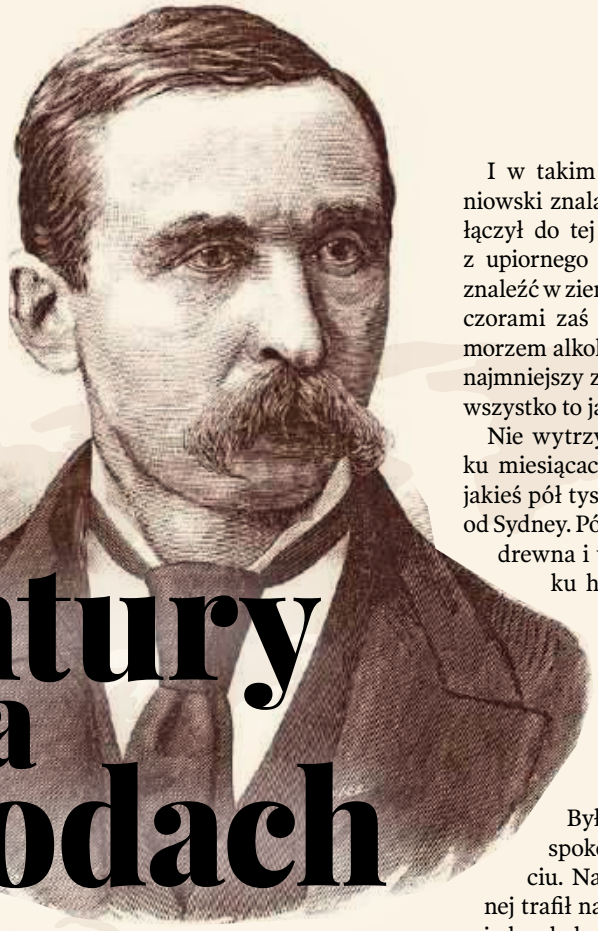

Awantury na antypodach

Pierwszy raz uciekł, gdy miał lat 17. Prosto z rodzinnego Podola przedostał się do Turcji, gdzie zatrudnił się przy budowie pierwszych linii telegraficznych. Po latach nie ukrywał, że był wówczas zawadiaką, nie stronił od bójek ani ostrzejszego popijania w robotniczych tawernach. Rodzina chyba zdawała sobie z tego sprawę, bo po roku ściągnęła niesfornego chłopaka z powrotem do kraju. Tu ukończył gimnazjum, poszedł nawet na uniwersytet lwowski, ale tak banalne życie szybko mu się znudziło.

Drugi raz uciekł, mając lat 19. Tym razem przez Turcję przejechał tylko tranzytem, by zaciągnąć się do wojsk Garibaldiego na Sycylii. Był rok 1860. Z Sycylii przedostał się do Londynu, skąd odpłynął w kierunku Australii i Oceanii.

Jak w upiornym westernie

Stefan Bratkowski określił go kiedyś krótko i wymijająco: „Strzeleckim nie był" – robiąc tu aluzję do Pawła Edmunda Strzeleckiego, który nieco wcześniej został wybitnym badaczem, a w zasadzie odkrywcą dzikiej Australii. Wiśniowski nie miał w sobie nic z naukowca, miał jednak wybitny dar obserwacji. Jeśli Strzelecki potrafił opisać warstwy geologiczne, odnaleźć złoża minerałów czy przebadać obrządki Aborygenów, to Wiśniowski nie mniej wnikliwie przedstawiał obraz życia białych ludzi w kontakcie z dziką, nieucywilizowaną jeszcze naturą. Na początku lat 60. XIX w. miał w Australii okazję obserwować ich dokładnie. Dlaczego? Bo wszystkich – niezależnie od pochodzenia, wykształcenia i stanu – przyciągała trwająca tu gorączka złota. Nawiasem mówiąc, wywołana odkryciami Strzeleckiego.

„Kopią oni szachty jeden przy drugim, a powierzchowność nie zdradza dawniejszego znaczenia, godności lub wykształcenia" – pisał Seweryn Korzeliński, świadek tych wydarzeń. „Pułkownik wyciąga ziemię majtkowi, adwokat już nie piórem, ale łopatą macha, ksiądz uczynnie daje ognia do fajki murzynowi, doktor leży na kupie ziemi z Chińczykiem, literat dźwiga worek na plecach, niejeden hrabia lub baron z Indianinem idzie na wódkę, a wszystko to brodate, zakurzone i zabłocone tak, że własna matka żadnego by nie poznała".

I w takim właśnie środowisku Wiśniowski znalazł się w 1862 r. On też dołączył do tej zakurzonej ferajny rodem z upiornego westernu, która usiłowała znaleźć w ziemi swój kawałek złota – wieczorami zaś przepijając niepowodzenia morzem alkoholu, przegrywając w karty najmniejszy zysk i wdając się w bójki, by wszystko to jakoś odreagować.

Nie wytrzymał jednak długo. Po kilku miesiącach pracował już na farmie, jakieś pół tysiąca kilometrów na północ od Sydney. Później jako górnik, dostawca drewna i wreszcie intendent na statku handlowym kursującym do Peru. Kiedy nadarzyła się okazja, wysiadł ze statku w Auckland – stolicy Wysp Nowozelandzkich.

Pięścią i nożem

Był to jeden z najbardziej niespokojnych okresów w jego życiu. Najpierw na Wyspie Północnej trafił na wojnę – toczoną wówczas między kolonistami a rdzenną ludnością Maorysów – i tylko szybka ucieczka uchroniła go przed wcieleniem na siłę do oddziałów milicji. Na Wyspie Południowej trafił znów na gorączkę złota, która – tak jak na kontynencie – przyciągała w te rejony najbardziej zdegenerowany element. „Co parę tygodni wieszano zabójcę. Raz powieszono całą bandę złożoną z czterech ludzi. Przez rok prawie trudnili się oni rozbojem i przeszło osiemdziesięciu ludzi pozbawili życia i mienia" – wspominał później i dodawał: „Trzeba było się bronić rewolwerem i kułakiem. Irlandczycy zwykle chodzili tłumami i wypędzali słabsze towarzystwo z własności. Niemcy bojaźliwsi najbardziej na tym cierpieli; my broniliśmy się kułakami, nożami, a czasem i kulą. Guzy i rany zadawano sobie bardzo często. Kilkanaście lekcji, jakie wziąłem w Sydney w sztuce boksowania, bardzo mi się tutaj przydały".

Wraz z grupą Francuzów, do której się przyłączył, bronił się najwyraźniej bardzo skutecznie, skoro Nową Zelandię opuszczał z pewnym majątkiem. Ale wiózł także coś znacznie cenniejszego. A mianowicie gotowy pomysł na książkę, która wkrótce ukaże się pod tytułem „Dzieci królowej Oceanii" – kawałek

Fot. Biblioteka Narodowa

eprasa.pl f739b9f58a

świetnej literatury podróżniczo-awanturniczej, pogłębionej błyskotliwymi opisami ludzkich zachowań w sytuacji ekstremalnej, relacji białych z autochtonami, ale też pięknymi opisami bujnej, egzotycznej natury. I nie ma tu nic z wyidealizowanego świata, jaki przedstawiał choćby Karol May, który nigdy nawet nie ruszył się z Niemiec, by zobaczyć prawdziwą scenerię przygód Winnetou. U Wiśniowskiego czuć, że dotknął i posmakował takiego życia – miał po prostu duszę reportera ekstremalnego. Jak zauważył później Julian Tuwim: „Wiśniowskiego pisarza stworzyła włóczęga po świecie. Wszystko prawie, co napisał, to tylko odbicie tej włóczęgi".

Włóczył się więc dalej. Z Nowej Zelandii popłynął do Melbourne, stamtąd konno dotarł do Nowej Południowej Walii i dalej na Fidżi. W zasadzie tryb jego życia się nie zmieniał, można jednak odnieść wrażenie, że z czasem bardzo się uwrażliwiał na los lokalnych plemion. Cenił tubylców – widział ich kulturę w fazie upadku na skutek brutalnej i bezmyślnej kolonizacji. Z podziwem patrzył na to, z jakim uporem udawało im się zachować przynajmniej jej resztki. Militarnie byli bez szans, ale moralnie ich przewagę widać było gołym okiem i Wiśniowski zapamiętał to na zawsze. „Co do Fidżi, zaręczyć mogę, że niewolnik amerykański szczęśliwszym był od biednego Kanaka. Tam pan szanował swą własność, jak my szanujemy cennego konia, tutejszy plantator nie dba o życie człowieka, z którego tylko kilka lat pracy chce wyzyskać".

Zniesmaczony opuścił więc Fidżi dość szybko, powrócił na kontynent, zdążył nawet znaleźć żyłę złota i nadać jej nazwę New Warsaw. Ale chyba musiał odpocząć od przygód, bo w 1872 r. powrócił do Europy.

Człowiek z piórkiem w zadku

Jeśli dotąd był anonimowym awanturnikiem, teraz stał się awanturnikiem pisarzem. Pierwsza jego książka „Dziesięć lat w Australii" ukazała się we Lwowie w 1873 r. i od razu zrobiła furorę. Brylował na salonach, poznawał sławy, wszędzie był mile widziany. Mimo to nudził się w pogrążonej w marazmie Polsce. „Wystraszony srogością klimatu Europy i zimnem wiejącym od najbliższych mi osób, mam znów ochotę w gorętsze puścić się kraje, pomiędzy mniej skostniałych ludzi" – napisał jeszcze w tym samym roku, po czym ruszył na Dziki Zachód.

Spotkał tu mniej więcej taką samą mozaikę dziwacznych i lekko zdegenerowanych osobowości jak w Australii – określił ich „towarzystwem ludzi, trzymających wiecznie palec na cynglu rewolweru" – podobne były też problemy w ich relacjach z Indianami. Tym razem postanowił jednak nieco mniej wdawać się w awantury i spróbować innego życia. Zakupił ziemię na pograniczu Minnesoty i Dakoty, gospodarował na niej, a nawet zaczął parać się polityką – po otrzymaniu obywatelstwa został na jedną kadencję posłem lokalnego parlamentu.

„Błysnął w literaturze polskiej jak meteor" – stwierdził Julian Tuwim. Ale już to, że poeta napisał to w przedmowie do jego „Pism wybranych" ponad pół wieku po śmierci podróżnika, świadczy o tym, że nie zniknął jednak zupełnie

Ale nie przestał podróżować. Zjeździł Nebraskę i Kolorado, wspinał się na Góry Skaliste, a jako korespondent dziennika „New Ulm Herald" wziął udział w wojskowej wyprawie w Góry Czarne. „Żadna epoka mego życia nie była dziwaczniejsza i pełniejsza awantur" – pisał w jednym z listów do rodziny. Jednak najbardziej tragicznej szczęśliwie uniknął – wyprawa, w której na początku brał udział, zakończyła się dwa lata później słynną bitwą nad potokiem Little Bighorn, będącą największym zwycięstwem Indian, a konkretnie Siuksów i Czejenów, nad wojskiem amerykańskim. Skończyła się masakrą tych ostatnich, ale jednocześnie otworzyła epokę permanentnej zemsty białych, która skończyła się zdziesiątkowaniem populacji wszystkich praktycznie Indian. Nieco przypadkiem Wiśniowski był jednym z pierwszych Europejczyków, którzy dawali z tych wydarzeń korespondencje do kontynentalnej prasy.

Codzienne życie na farmie szybko mu się jednak znudziło. Mniej więcej od 1876 r. kursował między Stanami, Londynem i Polską, chyba usiłując znaleźć pomysł na życie. Miał zaledwie 35 lat i wciąż go nosiło, ale rozsądek podpowiadał stabilizację. Henryk Sienkiewicz, który usiłował spotkać go w Londynie, zanotował później: „Przybywszy, odszukałem natychmiast jego legowisko, ale p. Sygurd akurat tydzień temu wyjechał do Paryża, nie zostawiwszy adresu, skąd zapewne, nim przyjadę, wyjedzie do Sahary lub bieguna północnego. Że ten człowiek ma piórko w zadku, nie ulega najmniejszej kwestii".

W końcu jednak, w 1884 r., zdecydował się wrócić na stałe do kraju i rozpocząć nowe życie. Przemysłowca.

Przygoda z naftą

Wiśniowski był już nad Wisłą postacią doskonale znaną. Popularność zdobył „Dziesięcioma latami w Australii", teraz umocnił ją „Dziećmi królowej Oceanii", ale jeszcze lepiej znane były jego regularne korespondencje, które wysyłał m.in. do „Kłosów" oraz „Tygodnika Mód i Powieści". Zdawano też sobie sprawę z jego międzynarodowej renomy. W Australii opublikowano tłumaczenie „Dzieci królowej Oceanii", a w USA zbiór reportaży „America. 100 Years Old. A Globtrotter View". W Polsce zaś ukazały się dodatkowo „Światełka w ciemnym kraju" oraz zbiór „Powieści".

W 1884 r. Wiśniowski czuł się chyba spełniony jako autor, bo w zasadzie z dnia na dzień porzucił pisanie. Od pewnego już czasu interesował się przemysłem naftowym w Galicji, teraz postanowił z nim związać resztę życia. Założył we Lwowie przedsiębiorstwo zajmujące się wydobyciem nafty w okolicach Krosna i Kołomyi, brał udział w działalności politycznej regionu i zupełnie nie ciągnęło go już w świat. Zmarł 23 kwietnia 1892 r.

Wojciech Lada

eprasa.pl f739b9f58a

Podróżnik bez powodu

Miał zaledwie 21 lat, kiedy jego kariera w Polsce była skończona. Przyczyną był zupełny brak poczucia humoru kilku pań, które – na nieszczęście poety – nosiły nazwiska najpotężniejszych rodów magnackich Rzeczpospolitej, miały ogromne wpływy na dworze, a jedna z nich była nawet siostrą króla. „Portrety pięciu Elżbiet" ukazały się co prawda anonimowo, ale ustalenie autorstwa nie było trudne. Węgierski i tak miał sporo szczęścia, bo w 1776 r. na stosie rozpalonym na warszawskim rynku kat spalił tylko egzemplarze tego dzieła, nie zaś jego samego.

Skandal z paszkwilem na wpływowe magnatki oznaczał dla Węgierskiego upadek z wielkim hukiem. Ukończył Collegium Nobilium, miał opinię obiecującego poety, bywał na słynnych obiadach czwartkowych. Młody, przystojny, dowcipny – był jednym z ulubieńców stołecznych salonów i wszystko wskazywało, że jego kariera rozwinie się szybko i efektownie. „Żywy jego charakter, wesoły, nieco uszczypliwy dowcip" – oceniał go nieco później Antoni Edward Odyniec. Po feralnym epizodzie stracił jednak zarówno posadę w Departamencie Sprawiedliwości, jak i większość zamożnych przyjaciół. Z Warszawy ewakuował się więc na prowincję.

Po pewnym czasie zdał sobie sprawę, że w kraju nie ma już czego szukać. Zwłaszcza że z biegiem czasu jego libertyńsko-antyklerykalna postawa nabierała ostrości – podobnie jak pióro, którym ostro krytykował kulturę sarmacką Rzeczypospolitej. Pod tym względem był dzieckiem oświecenia – tłumaczył nawet dzieła Jana Jakuba Rousseau. Z radością przystał więc na propozycję Kajetana Potockiego, który zaoferował mu wspólną podróż do Włoch. Podczas dwuletniej wyprawy zasmakował życia w drodze. Z Italii ruszył więc w świat. Bez planu i celu – dla zaspokojenia ciekawości i włóczęgowskiego temperamentu.

Pierwszym przystankiem była Martynika. Zarówno ona, jak i całe Karaiby jednocześnie oszołomiły go swoją egzotyką i przeraziły kolonialną codziennością – niewolnictwem, wyzyskiem, brutalnością białych plantatorów. Był zafascynowany i zniesmaczony, i oba te wrażenia walczą z sobą o miejsce w jego literackich pamiętnikach, pisanych w formie listów do kochanki. Jest młody i bardzo chłonny. Wyrwawszy się z Europy, docenia wysoki poziom lokalnych kultur: szuka w nich inspiracji i jest pod tym względem poetą bardzo nowoczesnym. Ale nie tylko. Jest też bacznym obserwatorem. Koniec XVIII w. to co prawda schyłek epoki „piratów z Karaibów", ale zarówno ich niedobitki, jak i legenda wciąż miały się nieźle. Węgierski natykał się na nie w licznych tawernach – zachwycony historiami o życiu poza systemem, wolności i otwartości lokalnej ludności.

> Żył szybko i umarł młodo. Tomasz Kajetan Węgierski był skandalizującym poetą o usposobieniu włóczęgi i silnym poczuciu wolności. Właśnie to pchnęło go w świat

Niestety Karaiby to nie tylko palmy, słońce i malownicze zatoki. To także malaria, tajfuny i setki jadowitych zwierząt – schorowany i zmęczony poeta decyduje się w końcu porzucić rajskie krajobrazy i ruszyć dalej. Do Ameryki Północnej.

Adam Czyż tak go charakteryzował: „Wobec przeszłości, tradycji, formacji ojców, był Węgierski doskonale obojętny". Ale odnosi się to chyba bardziej do jego poezji niż postawy życiowej. Wiadomo, że korespondował w tamtym czasie z królem i ważniejszymi postaciami w kraju. Usiłował wystarać się o jakiś urząd dla siebie, by znaleźć się w rządach Rzeczypospolitej. Znaczy to tyle, że myślał jednak o powrocie.

Legenda mówi, że utrzymywał się wówczas z grania w karty i wysoka wygrana pozwoliła mu kontynuować podróż. W karty zapewne istotnie grał, może nawet wygrywał, ale na brak majątku i bez tego nie mógł narzekać.

W każdym razie wobec braku możliwości powrotu Węgierski ruszył w podróż po Ameryce. Odwiedził podobno wszystkie stany „angielskiej Ameryki", a jego notatki są pierwszym polskim opisem ledwo wówczas znanego Polakom kontynentu. Spotkał Kościuszkę, poznał wielu twórców młodego państwa, w tym Jerzego Waszyngtona. Jak pisał: „Wszystkie portrety generała Waszyngtona, jakie widziałem w Europie, nie są prawie do niego podobne. Jest to jeden z najpiękniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem; jego postać jest szlachetna, wojownicza mina, a maniery swobodne. Grzeczność z jego strony, okazywana od pierwszej chwili spotkania się aż do ostatka, podoba mi się niesłychanie i przy końcu dwóch godzin można było spostrzec, że się go dopiero poznało". Nie tylko o Waszyngtonie wyrażał się tak ciepło. Amerykanie ujmowali go głównie pogodą ducha.

Do Europy wrócił w 1784 r. i pomieszkiwał przed wszystkim w Anglii. Nieustannie tworzył i znów starał się powrócić do Polski – podobno z poparciem Stanisława Augusta Poniatowskiego. Ale nie zdążył. Zmarł w Marsylii w 1787 r. w wieku zaledwie 31 lat. Żył więc krótko, a jego podróż trwała zaledwie kilka lat. Ale jak barwny był to czas, można się przekonać, czytając choćby „Podróż do Martyniki" czy „Podróż do Ameryki Północnej".

Wojciech Lada

Fot. Biblioteka Narodowa

eprasa.pl f739b9f58a

Miło wraca się do kina, w którym na dużym ekranie, obok Bartłomieja Topy i Roberta Więckiewicza, pojawia się ona – Karolina Gruszka. Tym razem w „Mieście", rodem z kina noir

Piękno w mroku

Fot. Gałązka/AKPA, KinoŚwiat

eprasa.pl f739b9f58a

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Jest na ekranie rudowłosą femme fatale. Kobietą pożądaną. Zarówno przez detektywa, który przybywa do tytułowego miasta, by rozwikłać zagadkę tajemniczego morderstwa, jak i wysoko postawionych w lokalnej społeczności gangstera i naukowca.

W jej postaci debiutujący w roli reżysera kinowego Marcin Sauter skupił jedyne na ekranie piękno. Pozostali bohaterowie tkwią w stylowym mroku. Dotyczy to też rodzinnego miasta Sautera – Bydgoszczy – które w filmie znakomicie wpisało się w klimat gatunku.

SPOSÓB NA ROLĘ

Karolina Gruszka wie, jak – używając minimalnych środków – przepięknie zabłysnąć, oczarować, wciągnąć widza w świat kolejnych, tworzonych przez siebie postaci. Nawet gdy brak efektownego kostiumu i podkreślania atutów urody, a rola wymaga stłumienia osobistego wdzięku.

Odkąd jako 17-latka stanęła przed kamerami na planie serialu „Sposób na Alcybiadesa", by rok później zadebiutować w kinowej „Sponie", bardzo szybko oswoiła dla siebie i swoich bohaterek przestrzeń ekranu. Od początku miała szczęście do znakomitych reżyserów i kolegów aktorów, m.in. podczas realizacji „Sławy i chwały" Kazimierza Kutza, ale przede wszystkim „Bożej podszewki" Izabelli Cywińskiej.

Otwierało się przed nią kino – zagrała u Jana Jakuba Kolskiego („Daleko od okna", 2000) i w rosyjskiej megaprodukcji „Córka kapitana". Kostium czekał też na nią w „Przedwiośniu" Filipa Bajona (2001). Potem przez chwilę zatrzymała się we współczesności sensacyjnej „Sfory" (2002) Wojciecha Wójcika i kolejnych odsłonach serialowego „Oficera" (2004–2006).

Po premierze filmu „Inland Empire" jego reżyser David Lynch miał powiedzieć: „To wspaniała aktorka".

MIĘDZY POLSKĄ I ROSJĄ

Rola w „Kochankach z Marony" (2005) według Iwaszkiewicza w reżyserii Izabelli Cywińskiej przyniosła jej (od roku absolwentce warszawskiej Akademii Teatralnej) nagrodę dla głównej aktorki na festiwalu w Gdyni. Była rozpoznawalna, kochana przez widzów i rozchwytywana przez filmowców, gdy poznała rosyjskiego reżysera i dramatopisarza Iwana Wyrypajewa. Wciągnął ją na dobre w świat i styl teatru dogłębnie wchodzącego w postaci (nawet gdy kręcił filmy „Tlen", 2009, czy „Zbawienie", 2015). Dawna, pełna energii rudowłosa dziewczyna poza sceną stawała się coraz bardziej ascetyczna. Przestała być też tak dostępna dla polskich widzów jak dawniej. I na ekranie, i na scenie.

Już jako żona, a potem mama, dzieliła pracę i życie na dwa miasta: Warszawę i Moskwę. W ostatnim czasie to się zmieniło. Nie tylko pandemia zatrzymała ją z rodziną na dłużej w Polsce. Po tym jak Iwan Wyrypajew wziął udział w proteście pod Ambasadą Federacji Rosyjskiej w Warszawie, domagając się uwolnienia Aleksieja Nawalnego, powrót do Rosji stał się dla niego niebezpieczny.

PANI Z EKRANU

W lipcu tego roku Karolina Gruszka będzie świętować 41. urodziny. Czas jest dla niej wyjątkowo łaskawy. Podobnie jak aktorstwo. W 2014 r. wróciła na polskie ekrany w komedii „Pani z przedszkola" Marcina Krzyształowicza, potem zagrała zjawiskową Różę w „Szczęściu świata" Michała Rosy i „Marię Curie" w filmie Marie Noëlle (oba z 2016 r.). Znów na jakiś czas opuściła polskich widzów, by całkiem niedawno pojawić się m.in. w różnorodnych gatunkowo serialach „Królestwo kobiet" i „Kod genetyczny".

Teraz na premierę czeka, wstrzymany przez pandemię, film „Żużel" Doroty Kędzierzawskiej, gdzie stworzyła niewielką rolę. W produkcji jest serial „Pod dwoma orłami" Waldemara Krzystka, w którym (rozpisaną na lata) postać kluczowej bohaterki Zofii dzieli z Małgorzatą Zajączkowską. Sądząc ze zdjęć z planu komedii rodzinnej „Detektyw Bruno" Mariusza Paleja, w przyszłym roku widzów rozbawi trio: Karolina Gruszka, Piotr Głowacki, Iwo Rajski (świetny Antoś, syn Lotty i Jaśka ze „Stulecia Winnych").

NIEPOKÓJ AKTORA

Karolina Gruszka rzadko zgadza się na wywiady. Jeśli już, to rozmawia o zawodzie. Podkreśla, że to teatr jest miejscem, w którym nadal najwięcej się uczy, bo można tu „głębiej wejść w aktorski proces". Pracy przed kamerą towarzyszy pośpiech, który – zwłaszcza w produkcjach kinowych – wymaga ogromnej dyscypliny i pełnej gotowości. Dobrze, że chociaż w serialu nie trzeba wszystkiego budować w jednej czy dwóch scenach, co daje szansę na oddech i przestrzeń.

Pytana, w jakim miejscu jest dziś jako aktorka, mówi, że wciąż czuje się spragniona tego, co przed nią. Także dlatego, że z żadnej roli, jaką dotychczas zagrała, nie jest w stu procentach zadowolona. Cieszy ją, że mogła doświadczyć wielowymiarowości zawodu, który uprawia, i tego, że udało się jej uniknąć zaszufladkowania. – Moje postaci mają różne charaktery i temperamenty, poruszają się w ramach odrębnych historii i gatunków – stwierdziła w jednym z wywiadów. Ma przy tym świadomość, jak nieprzewidywalne potrafi być aktorstwo. Nauczyła się tolerować towarzyszący mu niepokój, chociaż nie jest to szczególnie przyjemne uczucie.

Fot. Gałązka/KPA

Reklama | 7/0621/F

eprasa.pl f739b9f58a

Szkoła Wyższa Wymiaru Sprawiedliwości

SWWS

PRAWO

JEDNOLITE STUDIA MAGISTERSKIE
BEZPŁATNE
O PROFILU PRAKTYCZNYM

swws.edu.pl/prawo

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

Szkoła Wyższa Wymiaru Sprawiedliwości
ul. Wiśniowa 50, 02-520 Warszawa
tel. 22 602 44 14
e-mail: **rekrutacja.studia@swws.edu.pl**

prasa.pl f739b9f58a

3 MIŁOŚCI

Potwór Pana Cogito

ROBERT TEKIELI

Parlament Europejski 23 czerwca robi kolejny krok w pracach nad raportem na temat „zdrowia, praw seksualnych i reprodukcyjnych". Raport został przyjęty w maju większością głosów przez Komisję Praw Kobiet i Równouprawnienia PE. Sprawozdawcą jest chorwacki europoseł Predrag Fred Matić z Grupy Postępowego Sojuszu Socjalistów i Demokratów. Raport Maticia i wynikająca z niego wstępna rezolucja są narzędziami mającymi urzeczywistnić w sferze prawnej i politycznej cele rewolucji obyczajowej. Pod pozorem troski o zdrowie i realizacji „praw seksualnych i reprodukcyjnych" sekskomuniści chcą w całej UE przeforsować prawną akceptację nieograniczonej aborcji, wprowadzenie wulgarnej edukacji seksualnej oraz praktyk zakazanych w wielu krajach europejskich (obrót komórkami jajowymi, surogacja). Raport chorwackiego europosła uderza w suwerenność krajów członkowskich, a także w wolność sumienia i wolność religijną. Lekarze, anestezjolodzy i pielęgniarki będą zmuszani do wykonywania aborcji wbrew własnemu sumieniu i osobistym przekonaniom. Łamanie sumień. Tak się robi rewolucję.

Unia Europejska spełnia dziś już właściwie tylko dwie funkcje. Jest narzędziem kolonizacji „nowej" Europy przez „starą" oraz taranem mającym roztrzaskać struktury państw narodowych. ONZ jest zaś narzędziem gospodarczej, kulturowej i obyczajowej kolonizacji państw uboższych. Obie te organizacje prowadzą cały czas zmasowany atak na wolność polityczną, wolność sumienia i wolność religijną.

Liberalno-lewicowa międzynarodówka realizuje rewolucyjny plan przy pomocy UE i ONZ. Trwa walka o kształt już nie tylko cywilizacji zachodniej, lecz całego świata.

Etapy marksistowskiego podboju kulturowego swojego kraju w punktach ujęła swego czasu Alicia Rubio, represjonowana przez reżim działaczka antymarksistowska, dziś polityk hiszpańskiej partii Vox. Oto one: tolerancja (zostaw mnie w spokoju), akceptacja (jesteśmy tacy sami, musisz mnie zaakceptować bez krytyki), celebracja (promowanie tez ideologicznych jako wartościowych), nacisk (przymusowy udział w narzuconej kulturze), karanie (prześladowanie mających inne zdanie). Metody marksistów są zawsze te same: upaństwowienie, wtargnięcie w sferę prywatną, uchwalenie prawodawstwa dyskryminacyjnego, indoktrynacja nieletnich.

Hiszpanie nie dali rady. Polacy muszą więc wreszcie dostrzec las. Bo poszczególne drzewa każdy człowiek normalnie patrzący na świat już widzi. Choćby takiego posła liberalno-lewicowej PO Roberta Kropiwnickiego, który chce realizacji scenariusza komunizmu hiszpańskiego w PL. Twierdzi on bowiem, że nauczyciele mają prawo wyprowadzać uczniów na wiece polityczne bez zgody rodziców, bo to edukacja obywatelska, a pogadanki o tożsamości płciowej LGBT uświadamiają dzieci, jakie mają prawa.

Jest jednak coś jeszcze groźniejszego od realizacji projektu zawartego w raporcie Maticia – rewolucyjna działalność ONZ. Świat nie będzie już taki sam, gdy nastąpi ratyfikacja negocjowanej od dwóch lat nowej umowy partnerskiej pomiędzy UE a biedniejszymi państwami Afryki, Karaibów i Pacyfiku, która uzależnia dalszą pomoc materialną dla 79 krajów od ich aktywnego poparcia skrajnych postulatów marksistowskich rewolucjonistów kulturowych. Ta zmiana prawa międzynarodowego wymusi na wszystkich związanych nią krajach formalne popieranie na forum międzynarodowym koncepcji „praw reprodukcyjnych i seksualnych" oraz radykalnych postulatów ruchu politycznego LGBT. W projekt umowy wpisano również znane z konwencji stambulskiej pojęcie „gender", chociaż wiele państw UE jasno ją odrzuciło.

Jeżeli umowa wejdzie w życie, marksiści uzyskają wyraźną większość głosów w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ, a broniące dotąd tradycyjnych wartości państwa będą musiały pod rygorem utraty środków podporządkować się dyktatowi bogatszych krajów.

Ordo Iuris tworzy międzynarodową koalicję organizacji społecznych i polityków, by przeciwdziałać wprowadzeniu w życie raportu Maticia. W Polsce dyrektor szkoły, który zezwolił w Dobczycach, bez zgody rodziców, na wyprowadzenie dzieci na polityczno-ideologiczny wiec, ma siedem dni na odniesienie się do zarzutów kuratorium. Postępowanie dyscyplinarne objęło także nauczycieli. Mamy akt oskarżenia przeciwko Michałowi Sz., znanemu jako „Margot" – czy takie odosobnione działania wystarczą, by się obronić przed ekspansją ideologii gender/LGBT? Bronimy się nie tylko my. Szwajcarzy odrzucili właśnie główne założenia innej marksistowskiej teorii – walki ze zmianami klimatycznymi, uznając je za bezsensowne. Ale to wszystko nie daje szans na powstrzymanie globalnej rewolucji. Marksizm miażdży. Czeka nas uduszenie bezkształtem. Nibyt.

eprasa.pl f739b9f58a

WOJNA CYWILIZACJI

POPKULTURA

Niewarte Chrystus schodzi z krzyża, by zabić swoich prześladowców za pomocą broni maszynowej, po czym znika z ekranu z dwoma miłymi paniami w bikini, a po chwili słyszymy odgłosy jednoznaczne. Jezus jest też zwolennikiem powszechnego dostępu do broni, albowiem „broń czyni świat lepszym". Takie rzeczy w kreskówce ***„Paradise P.D."*** opowiadającej o nieudolnych gliniarzach z małego amerykańskiego miasteczka. Netflix po raz setny prowokuje liczącą ponad 2,2 mld wyznawców wspólnotę. CitizenGo zbiera podpisy pod petycją o wycofanie chrystofobicznych scen z serialu największej na świecie platformy streamingowej. Autorzy protestu piszą: „Pomimo tego rażącego bluźnierstwa widownia Netflixa jak dotąd prawie nie zwróciła na to uwagi. Podczas gdy wcześniejsze, nawet łagodne, satyryczne przedstawienia Mahometa wywołały ogromne oburzenie opinii publicznej i oskarżenia o rasizm i islamofobię, ten jawny atak na Jezusa Chrystusa nie zaniepokoił współczesnych dziennikarzy i krytyków filmowych". Artystyczna wolność słowa to wielka wartość. Jednak nie jest wartością największą czy bezwzględną. Sól jest smaczna i do życia niezbędna, można jednak przesolić.

Czy w tej kolejnej agresji symbolicznej Netflixa chodzi o kasę czy o ideolo, jakie ma to znaczenie?

Jezus nie skrzywdził nikogo. Ktoś, kto nie broni kochanej osoby, jest zwykłym tchórzem. Twórcy platformy CitizenGo piszą: „Byliśmy w stanie wpłynąć na D.C. Comics, aby wycofali się z bluźnierczej edycji komiksu »Second Coming« (Powtórne przyjście)". „Nasze kampanie w obronie producentów z Hollywood doprowadziły do odłożenia na półkę premiery »Habit«, kolejnej produkcji atakującej wizerunek Jezusa Chrystusa i wszystkich chrześcijan". Musimy bronić naszych wartości. Możemy być skuteczni. Zapraszam wszystkich na citizengo.org.

POPKULTURA

Warte A na platformie Netflix oprócz produkcji bluźnierczych świetne klasyki kina komediowego, dramatycznego i romantycznego. M.in. „Dirty Dancing", „Mamma Mia", „Och życie", „Kłamca, kłamca" z Jimem Carreyem w roli prawnika, który nagle zaczyna mówić tylko prawdę, czy „Listy do Julii", o romansie we współczesnej Weronie, oraz jeden z najbardziej popularnych i zabawnych seriali wszech czasów, ***„Jak poznałem waszą matkę"***, z błyskotliwie złośliwym Neilem Patrickiem Harrisem i przeuroczą Cobie Smulders. Komedia opowiada historię młodości pewnego ojca dwójki dzieci, jego pierwszych miłości, w tym tej najważniejszej.

W kwietniu ogłoszono, że powstanie spin-off serii. Wszystkie dziewięć sezonów serialu, pokazywanego przez CBS w latach 2005–2014, dostępne są w Polsce na Netfixie od 2019 r. Serial „Jak poznałem waszą matkę" dostępny jest też na cda.pl, tyle że w angielskiej wersji językowej.

POPKULTURA

Zobaczymy Są nowiny, których nie można pominąć, nawet z małym opóźnieniem: już wkrótce na ekranach kin całego świata zderzą się legendy. Tim Burton („Edward Nożycoręki", „Charlie i fabryka czekolady") zmierzy się z kultową postacią „Rodziny Addamsów". I nie, nie, gdy piszę o najmocniejszej karcie z talii Addamsów, nie myślę wcale o Rączce. Ani nie o Morticii, Gomezie, nawet nie o Wujku Festerze. Burton będzie musiał dorównać bowiem kreacji Christiny Ricci początku lat 90. Dorównać albo polec.

W tworzonym właśnie przez Netflixa, a skierowanym do młodzieży, serialu Wednesday Addams zobaczymy w czasach studiów w Nevermore Academy. Jej postać będzie się mierzyć ze swoimi zdolnościami parapsychologicznymi, nadprzyrodzoną zagadką kryminalną sprzed lat oraz problemami miłosnymi. Pierwszy sezon serialu ma się składać z ośmiu odcinków, a jego scenarzystami są Alfred Gough i Miles Miller. Główną rolę zagra Jenna Ortega. Ta 18-letnia amerykańska aktorka ma nieprawdopodobnie imponujące portfolio („IronMan 3", „The Fallout" + seriale „You" oraz „Jane the Virgin"). Zobaczymy, czy jest w stanie dorównać Christinie Ricci, która w wieku zaledwie 10 lat zadebiutowała z sukcesem u boku Cher, Winony Ryder i Boba Hoskinsa, by w wieku lat 11 stworzyć postać Wednesday, dzięki której stała się ikoną popkultury i jedną z najpopularniejszych aktorek dziecięcych Hollywood. Burtona czeka tym większe wyzwanie, gdyż wszystkie wcześniejsze ekranizacje niezwykle popularnego w USA komiksu Charlesa Addamsa cieszyły się wielkim powodzeniem, szczególnie ta z Christiną Ricci właśnie. Ponadto skrajnie trudno jest stworzyć zabawne kino, a nie propagandę, robiąc film o posługującej się językiem odwróconych wartości, kochającej się rodzinie masochistów, sadystów oraz sadomasochistów. W 1991, 1993 i w 2019 r. to się udało, o czym donosi z satysfakcją

Robert Tekieli
Polskie Radio

epraasa.pl f7359b958a

Adamski

Nie bądź aniołem

Kino

Poczułem się jak w kapsule czasu. „Małe rzeczy" wyglądają jak policyjny thriller z początku XXI w., gdy na fali obrazu „Siedem" Davida Finchera jak grzyby po deszczu wychodziły mroczne filmy o seryjnych mordercach. Denzel Washington nawet w jednym zagrał („Kolekcjoner kości"). Do tego dochodzi rasowy motyw w kinie policyjnym, gdzie jeden partner jest biały, a drugi czarny. Od „48 godzin" Hilla, przez „Zabójczą broń" Donnera, aż po właśnie przełomowe „Siedem". Washington stworzył mieszany rasowo duet z Ethanem Hawkiem w „Dniu próby" Fuqui (dostał za rolę swojego drugiego Oscara). A więc nic nowego?

Przez sporą część filmu można odnieść takie wrażenie. Zaczyna się od dosyć wyświechtanego schematu. Oto do Los Angeles przybywa Joe Deacon (Denzel Washington). Kiedyś legenda posterunku, a dziś szeryf hrabstwa Kern. Dlaczego wyjechał z Miasta Aniołów na prowincję? Deacon ma tylko zebrać dowody na swoim dawnym posterunku i wrócić do spokojnej pracy w sennej części Kalifornii. Na starych śmieciach spotyka jednak młodego i ambitnego sierżanta Jima Baxtera (Rami Malek), co powoduje, że nieoficjalnie angażuje się w prowadzone przez niego śledztwo w sprawie mordów młodych kobiet.

Stary, zmęczony gliniarz w duecie z ambitną, wierzącą w swoją misję, wschodzącą gwiazdą policji? Kolejny wyświechtany motyw. Jeżeli dołożymy do tego szarżującego (ale w dopuszczalnych granicach) aktorsko Jareda Leto z aurą tajemniczości drani z serii „Detektyw" Nicka Pizzoletta, to mamy pełen zestaw recyklingowy. Nie spodziewajcie się w tym filmie zabawy gatunkiem ani ambicji przemeblowania policyjnego kina. Reżyserem filmu jest specjalista od klasycznej narracji John Lee Hancock, mający na koncie solidne i tradycyjne w formie filmy jak „McImperium" czy biograficzne „The Highwayman" i „Ratując pana Banksa". Jest ten film trochę bałaganiarski narracyjnie. Jest wtórny w wątku zderzenia starego gliny z młodym gliną. Kopiuje posępny klimat z innego mistrzowskiego kryminału Finchera pt. „Zodiak", choć samo osadzenie akcji w latach 80. sprzyja stylistyce retro. Mnie jednak w „Małych rzeczach" intryguje coś innego.

W kluczowym momencie filmu Joe, jadąc autostradą, spogląda na osadzony na wzgórzu krzyż. Odwraca wzrok. Gdy Jim pyta go o wiarę w Boga, odpowiada, że widzi Go w pięknie przyrody, ale odkrywając kolejne zwłoki, wątpi już w Jego miłosierdzie. W Deaconie toczy się walka duchowa. Gonią go upiory przeszłości. Nocami widzi ofiary, których nie udało mu się ocalić. „Nie bądź aniołem" – mówi do młodego kolegi. Bo bycie aniołem w Mieście Aniołów, gdzie grzech leje się w dół ze wzgórz Hollywood, za wiele kosztuje? Polański w „Chinatown", Hanson w „Tajemnicach Los Angeles", Lynch w „Mulholland Drive", w końcu Tarantino, który wszystko kręci w LA, pokazywali, że to miasto jest przesiąknięte złem i przemocą. Tarantino w swoim arcydziele „Pewnego razu w Hollywood" miał swojego blond anioła o twarzy Brada Pitta, który zmieniał historię. No, ale to była baśń.

Dlatego to krytykowany przez wielu recenzentów finał „Małych rzeczy" jest najmocniejszą częścią tej opowieści. Jest tam ładunek utraty nadziei, porażki, ale też tlącego się w zaciszu duszy odkupienia. Szkoda, że Hancock nie potrafi przy tym zbudować odpowiedniego napięcia i zapomina, jak kino policyjne zostało przebudowane przez Pizzoletta. Niemniej jednak zarówno warstwa duchowa, jak i aktorski pojedynek trzech zdobywców Oscara Washington–Malek–Leto rekompensuje mielizny scenariusza. To solidny kryminał, choć z innej epoki.

„MAŁE RZECZY",
REŻ. JOHN LEE HANCOCK, DYSTR. WARNER BROS

Fot. Warner Bros

eprasa.pl f739b9f58a

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Kino

Ładnie opakowana pustka

Pogranicze polsko-sowieckie, przełom lat 20. i 30. XX w. Miasteczkiem rządzą gangi utworzone przez klany. Lewenfiszowie to gang sióstr, na których czele stoi Róża (Maja Ostaszewska). Przeciwko sobie ma sowieckiego bandziora Lwa (Andrzej Chyra). W wojnę klanów wplątani zostają bracia syjamscy Hudini (Dawid Ogrodnik, Mateusz Kościukiewicz), którzy z pomocą miejscowej seksbomby Heleny (Magdalena Boczarska) chcą okraść bank. W końcu gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta, nieprawdaż? Ale do miasteczka przybywa pani szeryf o twarzy Agaty Kuleszy. Brzmi intrygująco? Musi przyciągać uwagę ten western rozgrywający się na polskim wschodnim pograniczu. A więc eastern?

Dobrze się bawiłem na tym filmie jako miłośnik stylistycznych żonglerek i otwierania polskiego kina na nowe gatunki. Niestety poza pustą zabawą film Macieja Bochniaka absolutnie nic nam nie daje. „Magnezja" po prostu nie ma scenariusza. Tzn. ma (napisany przez Bochniaka i Mateusza Kościukiewicza), ale jest on bałaganiarski bardziej niż ulice Neapolu w czasie kryzysu śmieciowego. Absurdalny miszmasz. Groch z kapustą. Bardzo pustą. Byle rym dla rymów u mnie? Cóż, dopasowuję się do poziomu tego filmu. Jest to pokraczny eklektyzm gatunkowy, który co chwila przecieka przez palce Bochniaka. Manifest feministyczny, czarna komedia, kino gangsterskie, kryminał – przy sprawniejszej ręce reżyserskiej wszystko by się skleiło. Dostajemy natomiast zlepek mniej lub bardziej udanych scenek. Przyczynowych, efekciarskich, ale też najwidoczniej kręconych z potrzeby serca ludzi oddychających popkulturą i postmodernizmem z magicznych i mitologizowanych najntisów.

Stylistycznie jest świetnie. Wielkie brawa za kostiumy dla Doroty Roqueplo, za zdjęcia dla Pawła Chorzępy, a także za charakteryzację i scenografię. Aktorsko jest też (choć nie zawsze) bardzo dobrze, mimo szeleszczenia papierem i komiksowego przerysowania (Ostaszewska, Kulesza) kilku postaci. Ogrodnik (dobre wejście w slapstick!), Chyra i jego zęby rodem z cygańskich wariacji Kusturicy, Borys Szyc w sukience bawią i zapadną w pamięć, muzyka maestro i zdobywcy Oscara Jana A.P. Kaczmarka doskonale imituje klimat z kina Sergia Corbucciego i Sergia Leone. Co jednak z tego, skoro wszystko wygląda jak plac zabaw dla gwiazd polskiego kina, które igrają swoim wizerunkiem, a reżyser wydaje się usilnie skupiać na sprawdzaniu swojego warsztatu w miniaturowych scenach. Żadna z postaci nie jest na tyle dobrze napisana, by wzbudzała emocje. Bohaterowie padają od kul i noży, co wywołuje najwyżej moje wzruszenie ramion. Włoskie ballady w rytm slow motion krwawego baletu są fajne (nie lubię tego słowa, ale pasuje tutaj jak skórzana kurtka do Kuleszy), ale są niczym więcej niż imitacją kina Luca Bessona, Guya Ritchiego i Quentina Tarantina. Ba, jest nawet kopia jeden do jednego grepsów Roberta Rodrigueza (puste spluwy w pojedynku) z „Desperado". W poprzednim filmie Bochniaka, czyli „Disco Polo," zabawa kiczem miała uzasadnienie. Broniłem przed krytyką jego sposób oddania fenomenu polskiego disco. Ale tutaj? Nie ma ten polski eastern żadnego sensu. Jest czysta zabawa formą bez zwracania uwagi na logikę, rozwój postaci i spójność. Ma to swój klimat i urok. Pastisz, który się rządzi swoimi prawami. Niemniej jednak szkoda zmarnowanego potencjału na filmową wariację z polskiego pogranicza. To mogłaby być kapitalna bajka z zagubionego i utraconego Dzikiego Wschodu. Wyszła kulejąca imitacja Dzikiego Zachodu, i to w balansującej na skraju autoparodii wersji spaghetti. Brawa jednak za odwagę bezczelnej zabawy gatunkiem. Brakuje tej brawury w polskim kinie. Nawiasem mówiąc, to jestem ciekaw, czy siepacze politpoprawności nie doczepią się, że Szyc gra postać kobiecą albo transseksualną. Facet przebierający się za babę? Cóż, polski kabaret jest jednak nieśmiertelny.

„MAGNEZJA",
REŻ. MACIEJ BOCHNIAK,
DYSTR. KINO ŚWIAT

Fot. Kino Świat

eprasa.pl f739

Działajmy razem dla dobra pacjentów

Czego się dowiedzieliśmy o systemie ochrony zdrowa w czasie pandemii? Czy zboczyliśmy z obranego kursu, czy zdajemy egzamin w kryzysowej sytuacji? Jak działać wspólnie dla dobra pacjenta? Na te pytania próbowaliśmy odpowiedzieć podczas debaty w ramach III Forum wGospodarce.pl, zatytułowanej „Wyzwania i priorytety systemu ochrony zdrowia w 2021 r."

Temat ochrony zdrowia stał się jednym z kluczowych zagadnień debaty publicznej w czasie pandemii. Z reformą ochrony zdrowia mierzymy się od 30 lat, jednak dopiero w ciągu ostatnich pięciu lat przyspieszyło wiele procesów. O doświadczeniach wyniesionych z kryzysu COVID-19, roli profilaktyki i planach zmian w systemie zdrowia rozmawiali: Maciej Miłkowski, wiceminister zdrowia, Krzysztof Górski, dyrektor Wydziału Nauki i Finansowania Projektów w Agencji Badań Medycznych, Wiktor Janicki, prezes zarządu AstraZeneca, Aleksander Kwieciński, dyrektor generalny AbbVie, Paul Stanek, prezes zarządu Dr. Schumacher, Joanna Drewla, dyrektor generalna Servier, Sylwia Borowska-Kurek, prezes zarządu Abbott.

Jak radzimy sobie nie tylko w walce z COVID-19, lecz we wszystkich innych potrzebach zdrowotnych Polaków? Czy pandemia nie zdominowała działań podejmowanych przez Ministerstwo Zdrowia na niekorzyść innych, niezwykle ważnych programów profilaktycznych i prozdrowotnych?

Maciej Miłkowski: Pandemia mocno obciążyła system. Przekierowaliśmy olbrzymie zasoby na walkę z koronawirusem: i finansowe, i sprzętowe, a przede wszystkim personel medyczny. Nie można było leczyć pacjentów w normalnym harmonogramie. Przyczynił się do tego lęk przed zarażeniem COVID-19 – szczególnie w pierwszym etapie epidemii. Podczas nadzwyczaj wysokiej trzeciej fali system był na granicy wydolności. W pewnym momencie dostępność do leków wykorzystywanych w intensywnej terapii była na granicy. Do pomocy ruszyły firmy farmaceutyczne. Aby zapewnić odpowiednią ilość tlenu, wykorzystywaliśmy linie produkcyjne wytwarzające tlen techniczny – dzięki wsparciu firm przemysłowych. I tak razem się udało! W tym czasie również po raz pierwszy doświadczyliśmy realnej współpracy z Unią Europejską. Wszyscy wiedzieliśmy, że lockdown nie może dotyczyć produkcji i transportu leków pomiędzy krajami.

Od maja wychodzimy z pandemii, spada liczba zakażeń, sytuacja się poprawia. Czas więc na realizację najważniejszych zadań, czyli powrót dostępności normalnego leczenia dla pacjentów. To nasze kluczowe zadanie: wyjść z okresu ograniczonej liczby wykonywanych świadczeń. Liczy się i czas oczekiwania na świadczenie, i wczesne wykrywanie chorób. Chociaż teleporady sprawdziły się podczas pandemii, chcemy powrócić do praktyki bezpośredniego badania u lekarza POZ. Świetnie działające usługi e-zdrowia nie są po to, aby leczenie pacjenta odbywało się zdalnie. Ministerstwo pracuje dziś nad uruchomieniem mocy przerobowych w ambulatoryjnej opiece specjalistycznej. Widzimy wąskie gardło w kwalifikacji do ustalenia planu leczenia, zabiegów i samego leczenia – w każdej dziedzinie: czy to kardiologii, czy onkologii, czy innej. Choć w onkologii ostatnie lata przyniosły wiele zmian, jak Narodowa Strategia Onkologiczna czy współpraca z branżą lekową, dzięki której przybywa leków onkologicznych. Dostępność do systemu zdrowia to nasz najważniejszy cel. Jego elementem jest polityka płacowa. Wdrażamy Strategię Restrukturyzacji Lecznictwa, czyli lepsze wykorzystanie zasobów, zmniejszenie kosztów, aby podnosić nie tylko najniższe wynagrodzenia, lecz także móc opłacać ekspertów. Stawiamy na efektywność: ustawa o świadczeniach opieki zdrowotnej finansowanych ze środków publicznych zawiera element tworzenia regionalnych map potrzeb zdrowotnych – gdyż większość świadczeń wykonywanych jest w regionach. W nowelizacji ustawy refundacyjnej jest w niej propozycja wsparcia przemysłu w zakresie produkcji leków

eprasa.pl f739b9f58a

i substancji aktywnych w Polsce. Oczekujemy od branży krytycznego przyjrzenia się tym zapisom, aby ta ustawa była dobrą regulacją, opartą na podpowiedziach ze strony biznesu, korzystną dla wszystkich.

Przy redystrybucji szczepionek na koronawirusa odczuliśmy zależność od zewnętrznych producentów, dostawców. Czy Polska jest już gotowa, aby podjąć wyzwanie, jakim jest wynalezienie i produkcja własna szczepionki czy leku na koronawirusa?

Krzysztof Górski: Wynaleźć – to nie problem w warunkach polskich. Sama technologia mRNA ma swoje korzenie w polskiej myśli naukowej. Polskim problemem jest pociągnięcie badań w późniejszym etapie realizacji rozwoju produktu. Pandemia pokazała, że potrzeba wsparcia zarówno badań naukowych w tym zakresie, jak i rozwoju możliwości produkcyjnych danych leków na terenie Polski. Gdyby dziś pojawił się u nas producent, który chciałby produkować szczepionkę na bazie technologii mRNA, zabrakłoby nam możliwości. Agencja Badań Medycznych podjęła wspólnie z Ministerstwem Zdrowia działania, które w kilkuletniej perspektywie pozwolą nam się przygotować na kolejne potencjalne zagrożenia zdrowotne. Niedawno ogłosiliśmy konkurs, który z jednej strony przeznaczony jest na rozwój prac badawczych nad polską szczepionką bazującą na technologii RNA, a z drugiej strony ma się przyczynić do rozwoju możliwości produkcyjnych produktów leczniczych bazujących na tej technologii.

Wiele europejskich krajów prowadzi działania na rzecz wzmocnienia lokalnej produkcji leków. Stosowną strategię przygotowuje również Unia Europejska. Jakich działań Ministerstwa Zdrowia zmierzających do długofalowego wsparcia produkcji leków w Polsce oczekują firmy farmaceutyczne?

Joanna Drewla: Wielu producentów, którzy przenieśli technologię pozyskiwania substancji czynnej do Azji, miało ogromne problemy z jej importem, szczególnie w czasie pandemii, choć takie sytuacje zdarzały się już wcześniej. Skutek był taki, że momentami leków brakowało, a pacjenci odbijali się od apteki z pustymi rękoma. Sytuacje te pokazały, że najbezpieczniej jest produkować substancję czynną na miejscu – lokalnie. Kolejne kraje – Belgia, Rumunia, Wielka Brytania, Hiszpania – już od jakiegoś czasu tworzą mechanizmy zachęcające inwestorów do przeniesienia produkcji substancji aktywnej do Europy. Servier realizuje taką strategię od lat. Nasze fabryki, w których produkujemy substancje czynne, są zlokalizowane na terenie Unii Europejskiej: we Francji, Hiszpanii i na Węgrzech. To podejście, które się sprawdza i realnie wpływa na bezpieczeństwo lekowe. Kolejnym elementem, ważnym dla bezpieczeństwa lekowego, jest lokalizacja fabryki leków w Polsce. Te dwa czynniki realnie przyczyniły się do tego, że nawet podczas pandemii mieliśmy komfortową sytuację ciągłości dostaw, szczególnie dla polskich pacjentów. Ta strategia jest efektywna, ale wymaga stałych inwestycji. Tymczasem presja cenowa zmusza producentów do poszukiwania najtańszych rozwiązań, np. importowania substancji aktywnej z Azji, lub wdrażania takich rozwiązań jak na przykład specjalizacja fabryk, które pozwoliłyby optymalizować koszty produkcji. W Servier trwa właśnie transformacja zmierzająca do specjalizacji naszego zakładu produkcyjnego i w dalszej perspektywie rozwoju także eksportu. To perspektywa konkretnych inwestycji, które mają szansę być ulokowane u nas w kraju. Dlatego bardzo istotna jest przewidywalność i stabilność w polityce refundacyjnej, ponieważ inwestycja w fabrykę to proces wieloletni. Stajemy właśnie przed piątą rundą negocjacji. Brak przewidywalności nie stawia nas w dobrej pozycji negocjacyjnej wobec naszej centrali, a mamy szanse na pozyskanie dużych inwestycji rozwojowych dla naszej fabryki w Warszawie, o wartości ponad 200 mln zł w ciągu najbliższych kilku lat. Taka skala inwestycji pozwoliłyby nam podwoić produkcję dzisiejszych 50 mln opakowań (z tego ponad 63 proc. jest obecnie eksportowane, przy jednoczesnym zaspokojeniu potrzeb naszego lokalnego rynku), zwiększyć zatrudnienie o 50 proc., a przede wszystkim dokonać transferu bardzo nowoczesnych technologii do naszego kraju. Nasza warszawska wytwórnia leków z regionalnej fabryki stałaby się globalnym zakładem produkcyjnym, który eksportowałby leki do 70–80 krajów na całym świecie! Aby takie plany zrealizować, musimy mieć stabilne i przewidywalne warunki prowadzenia biznesu i pewność, że możemy długoterminowo planować inwestycje i rozwój krajowej produkcji.

Podczas pandemii problemem okazała się profilaktyka. Tymczasem wczesna diagnostyka jest kluczowym elementem systemu ochrony zdrowia. Jaką rolę odgrywają badania przesiewowe we wczesnym wykrywaniu chorób?

Aleksander Kwieciński: Dziś mówmy dużo o chorobach zakaźnych. Problemem nie są pacjenci, którzy już trafiają do lekarza, ale ci niezdiagnozowani. Podczas pandemii pacjenci w obawie przed koronawirusem nie odwiedzali lekarzy. Efekty są widoczne chociażby w przypadku WZW C. Zwykle wykrywano ok. 4 tys. przypadków rocznie, a w ostatnim roku – niecały tysiąc! Przebieg wirusowego zapalenia wątroby typu C jest latami utajony. Kiedy nie ma objawów, a wytyczne każą zostać w domu, pacjenci nieświadomi konsekwencji nie badają się. Z perspektywy diagnostyki ten rok pandemii dla chorób bezobjawowych jest rokiem straconym. Pokazuje to ogromną wartość badań przesiewowych, które można zrobić w dowolnym szpitalu, POZ, laboratorium. Barierą są oczywiście koszty, jednak profilaktyka w dłuższej perspektywie przynosi zysk. Wczesna diagnostyka oznacza, że interwencję można przeprowadzić dużo niższymi zasobami, mniejszymi nakładami. Szacuje się, że 1/4 przeszczepów wątroby w Polsce jest efektem niewykrycia WZW C. Każda transplantacja kosztuje ponad 200 tys. zł, czyli niewykryte WZW C rocznie obciąża system na ok. 20 mln zł. Najskuteczniejsza w dotarciu do pacjentów jest publiczna służba zdrowia: ze swoim

eprasa.pl f739b9f58a

zasięgiem, kompetencjami i zaufaniem społecznym. To zaufanie jest bardzo istotnym elementem profilaktyki zdrowotnej, aby przekonać pacjentów, że lepiej zapobiegać, niż leczyć.

Jak z dostępnością do innowacyjnych technologii medycznych? Czy rozumiemy ich rolę w zwiększaniu przewidywalności budżetowej?

Aleksander Kwieciński: Nowoczesne terapie dają szybkie i długotrwałe efekty terapeutyczne. Niektóre stosowane są przez określony czas, w przeciwieństwie do terapii przewlekłych, zapewniają pełną przewidywalność wydatków. Na przykładzie przewlekłej białaczki limfocytowej widać, że przynoszą także oszczędności – nie tylko w wymiarze finansowym, lecz i czasowym, w postaci zmniejszonego obciążenia pracą lekarzy. Nowoczesne terapie podawane przez z góry określony czas działają dłużej. Dzięki temu pacjent pozostaje w remisji i wraca do normalnego życia. Znikają koszty podawania leku, hospitalizacji i opieki lekarskiej, a społeczeństwo odzyskuje obywatela aktywnego zawodowo oraz społecznie i przestaje ponosić koszty związane z leczeniem oraz wzmożoną opieką.

Jak dziś wygląda sytuacja z dostępnością do nowoczesnych terapii onkologicznych i kardiologicznych oraz terapii biologicznych w leczeniu chorób układu oddechowego?

Wiktor Janicki: Wyciągamy wnioski z tego, co zadziało się w covidzie. Ministerstwo zapowiedziało program Profilaktyka 40+, który ma postawić diagnozę, w jakim stanie zdrowotnym wyszliśmy z pandemii. Widzimy próby wprowadzenia opieki koordynowanej, zapowiedzi wzrostu nakładów na zdrowie. Borykamy się dziś z diagnostyką, obciążeniem systemu, koniecznością wyrównania długu zdrowotnego powstałego w wyniku pandemii. Jednym z obszarów, który pozostaje priorytetowy, jest kardiologia, a w szczególności niewydolność serca, która nie tylko zbiera dramatyczne żniwo w postaci śmierci (co godzinę umiera 16 osób), lecz również generuje liczone w setkach milionów koszty hospitalizacji. Odpowiedzią jest szybka diagnoza i wczesna interwencja farmakologiczna. W ten sposób można zwolnić koszty hospitalizacji rosnące z roku na rok. Potrzeba odważnych decyzji w sprawie zmian systemowych: co do koordynacji, ale również w doborze leków. I Ministerstwo Zdrowia, i branża, wspólnie poszukują złotego środka, gdy każda ze stron ponosi część ryzyka. Jest jednak wiele terapii, na które polscy pacjenci wciąż czekają. Deklarujemy chęć wypracowania rozwiązania, aby im je udostępnić. Jako branża coraz częściej doceniamy efekty dobrej współpracy między lekarzami POZ a specjalistami. Staramy się ich w tym wspierać. Warto leczyć kompleksowo.

Jak przekonać Polaków do profilaktyki? Co mogłaby zrobić branża, aby zachęcić do szczepień?

Wiktor Janicki: Jestem zwolennikiem edukacji, wskazywania korzyści ze szczepień w skali całego społeczeństwa. Teraz oczywiście najważniejszy jest COVID-19, ale od lat borykamy się z niskim zainteresowaniem szczepieniami na grypę. Jestem optymistą i spodziewam się, że osiągniemy odporność na SARS-CoV-2, ale jeśli chodzi o grypę, to jesienią, kiedy dzieci wrócą do szkół, zacznie się ona rozprzestrzeniać. Ostatni sezon grypowy minął bezboleśnie, ale tylko dlatego, że byliśmy pozamykani, zamaskowani, zażelowani. Czas więc zacząć przypominać o znaczeniu szczepień przeciw grypie i aktywnie wspierać proces szczepień pacjentów np. dzięki szczepieniom w szkołach lub aptekach.

Niedługo powszechne ograniczenia się skończą. Zapotrzebowanie na dobre środki dezynfekcyjnie jednak nie minie. Czy dostępność profesjonalnych środków dezynfekcyjnych, aby obniżyć liczbę infekcji w placówkach medycznych, znajdzie się wśród priorytetów rządu?

Paul Stanek: Skuteczne zapobieganie infekcjom należy do kluczowych tematów dzisiejszej debaty. Pandemia uzmysłowiła to nam wszystkim, lecz temat nie jest nowy. Od dziesięcioleci poważnym problemem służb i placówek ochrony zdrowia na całym świecie są zakażenia wewnątrzszpitalne. Najniebezpieczniejsze wśród nich, najtrudniejsze w terapii i często śmiertelne są zakażenia mikroorganizmami opornymi na antybiotyki. Do prawie 75 proc. takich zakażeń doszło w placówkach ochrony zdrowia! W Europie fatalne „żniwo" tylko tych odpornych mikrobów to rocznie około 33 tys. spośród ponad 91 tys. zgonów spowodowanych przez 2,6 mln przypadków zakażeń wewnątrzszpitalnych.

Z etycznego punktu widzenia trudno się pogodzić z tym, że w XXI w. w Europie każdego roku setki tysięcy ludzi zakażają się w pozornie bezpiecznych szpitalach i innych placówkach ochrony zdrowia. Jeszcze trudniej jest zaakceptować, że przechodzą oni często obciążające terapie i mimo nich umierają z powodu tych infekcji. Połowie przypadków można by zapobiec! Zdaniem ekspertów można zapobiec 1/3 zakażeń wewnątrzszpitalnych tylko przez poprawę higieny rąk.

Jakie korzyści i oszczędności przynosi dobrze opracowany i wdrożony system ochrony? Czy są to fundusze, które miałyby realny wpływ na ulepszenie systemu ochrony zdrowia?

Paul Stanek: W skali europejskiej szacuje się, że infekcje wewnątrzszpitalne odpowiedzialne są za 16 mln dodatkowych dni hospitalizacji, co odpowiada dodatkowym kosztom w wysokości 7 mld euro. W praktyce koszty są dużo większe, ponieważ dane te nie uwzględniają późniejszych skutków infekcji. Reguły higieny rąk są proste i zrozumiałe. Trzeba tylko stworzyć warunki do ich przestrzegania, szkolić personel medyczny i motywować pracowników do stosowania tych reguł, a także monitorować ten system. Oczywiście, nie jest to możliwe bez pewnych nakładów. Jednak te nakłady zawsze się opłacają. Zapobieganie jest bardziej etyczne i dużo tańsze niż leczenie. Szpital, przyjmujący rocznie około 22,6 tys. pacjentów, może dzięki redukcji liczby zakażeń wewnątrzszpitalnych osiągnąć oszczędności netto w wysokości 1–2 mln euro w skali roku. Wyobraźmy sobie efekty takiego projektu dla całego państwa! Jako wiodący europejski producent profesjo-

eprasa.pl f739b9f58a

nalnych preparatów do dezynfekcji (dopuszczonych do użytku w Polsce, a niedługo tu produkowanych) proponujemy wprowadzenie narodowego programu poprawy stanu higieny rąk. W wybranym dużym szpitalu w Polsce możemy modelowo udowodnić jego skuteczność. W tym celu zapewnimy profesjonalne preparaty do dezynfekcji rąk, pełną informację, profesjonalnych audytorów. Wierzymy w sukces tego projektu, który będzie sukcesem polskiej służby zdrowia.

Pandemia powoli mija, a co z pacjentami z chorobami przewlekłymi? Cukrzyca z niemal 3 mln chorych w Polsce jest nazywana niezakaźną pandemią XXI w. Prognozy mówią aż o 4,2 mln diabetyków w 2030 r. Jak wesprzeć walkę z cukrzycą za pomocą innowacyjnych technologii medycznych?

Sylwia Borowska-Kurek: Cukrzyca jest bardzo poważną chorobą cywilizacyjną – znajduje się w pierwszej trójce najczęstszych schorzeń w Polsce i dlatego powinna być traktowana priorytetowo. Obecnie na leczenie cukrzycy NFZ wydaje 4 mld zł: 2 mld zł kosztuje leczenie cukrzycy, a kolejne 2 mld to koszty leczenia powikłań. W 70 proc. przypadków pacjent cukrzycowy jest również pacjentem kardiologicznym, ale powikłań jest więcej: np. retinopatia, nefropatia. Bardzo ciężkim powikłaniem źle monitorowanej i nieleczonej cukrzycy jest stopa cukrzycowa, która często kończy się amputacją. W Polsce w 2017 r. średnio co 2 godziny lekarze przeprowadzali amputację stopy lub części nogi z powodu powikłań związanych z cukrzycą.

Niestety, według szacunków wyzwania związane z cukrzycą w naszym kraju będą się pogłębiać i w 2030 r. będziemy mieli około 4,2 mln osób z cukrzycą. W profilaktyce cukrzycy chodzi więc przede wszystkim o zapobieganie powikłaniom. Inwestycja w nowoczesne technologie – leki czy wyroby medyczne – pozwala późniejsze koszty powikłań ograniczyć.

Cukrzyca jest chorobą wymagającą stałej kontroli. Aktywność, posiłek, podanie leku, wysiłek fizyczny, stres powodują zmiany poziomu cukru, a jego niewyrównanie może prowadzić do negatywnych konsekwencji w przyszłości. Ciągłe monitorowanie glikemii w praktyce zyskało już status narzędzia terapeutycznego, ponieważ samo jego stosowanie pomaga w skutecznym kontrolowaniu optymalnego poziomu cukru. Pandemia pokazała, że cukrzyca jest jednym z czynników najmocniej skorelowanych z ostrym przebiegiem COVID-19. Jeden na trzy zgony spowodowane koronawirusem dotyczył właśnie cukrzyków. Te doświadczenia powinny posłużyć nam, by wdrożyć dostępne, nowoczesne, sprawdzone w Polsce systemy ciągłego monitorowania glikemii u pacjentów na szerszą skalę, niż się to dzieje obecnie. Dowody naukowe wskazują, że stosowanie sensorów pozwala na częstszą kontrolę glikemii niż w przypadku stosowania glukometrów i dostarcza większy zakres danych, co wpływa na lepszą kontrolę glikemii u pacjentów, w tym na zapobieganie groźnym w skutkach hipoglikemiom. Polskie dzieci dzięki przychylności Ministerstwa Zdrowia leczone są na najwyższym światowym poziomie. Dodatkowo, bazując na ostatnich miesiącach doświadczeń w tej populacji, zaobserwowano, że zdalna opieka nad pacjentem przy zastosowaniu ciągłego monitorowania glikemii jest tak samo efektywna jak opieka stacjonarna i wpływa na prawidłowy poziom wyrównania glikemii.

Podsumowanie – postulaty zmian

- Powołać narodowy program poprawy higieny rąk, zwłaszcza w szpitalach.
- Zależy nam na partnerstwie między rządem, środowiskiem medycznym, pacjentami i branżą w poszukiwaniu rozwiązań systemowych.
- Potrzebna jest nam transparentna, przewidywalna, długofalowa polityka lekowa. Liczymy na to, że wprowadzi to wyczekiwana nowelizacja ustawy refundacyjnej.
- Zależy nam na przewidywalności, która ułatwia nam pracę w przedsiębiorstwach, połączonej z dialogiem.
- Postulujemy powołanie Narodowego Programu Przesiewowego.
- Musimy myśleć kompleksowo i długofalowo o strukturze kosztów, dobrym rozwiązaniem jest wspólna debata. Korzystajmy ze zdobyczy telemedycyny.
- Najważniejsze jest podejście, że wszyscy działamy RAZEM dla naszych pacjentów.

Jak możemy wesprzeć walkę z cukrzycą za pomocą innowacyjnych technologii medycznych i telemedycyny? W jaki sposób najlepiej wykorzystać środki z tzw. opłaty cukrowej?

Sylwia Borowska-Kurek: W tym kontekście pragnę podkreślić, że w Polsce w ramach profilaktyki dysponujemy optymalnymi terapeutycznie, a zarazem efektywnymi kosztowo sprawdzonymi rozwiązaniami telemedycznymi. Systemy te pozwalają pacjentom monitorować stan zdrowia, minimalizując – co ważne, bez uszczerbku dla efektywności terapii – bezpośredni kontakt pacjenta z lekarzem. Najnowsze wytyczne Polskiego Towarzystwa Diabetologicznego stanowią wprost, że „osoby z cukrzycą powinny być zachęcane do korzystania z technologii sprzętowych i aplikacji ułatwiających zdalne wizyty lekarskie". Stanowisko to, szczególnie w kontekście bezpieczeństwa epidemicznego, potwierdza również amerykańskie CDC.

Konieczne jest jak najszybsze przeznaczenie wpływów z opłaty cukrowej na walkę z cukrzycą, otyłością i edukację, a także na inwestycje w innowacje w e-zdrowiu, w tym te o udowodnionej naukowo skuteczności klinicznej, umożliwiające monitorowanie pacjentów. Właściwy monitoring cukrzycy to oszczędności w najbliższej przyszłości – uniknięcie kosztów hospitalizacji, leczenia powikłań, ciężkich stanów chorobowych.

Podsumowując, chciałabym podkreślić, że panuje powszechna zgoda odnośnie do tego, że systemy ciągłego monitorowania glikemii są najbardziej efektywnym kosztowo sposobem zapewnienia pacjentom z cukrzycą optymalnej opieki zdrowotnej. Stanowisko to jest podzielane przez wszystkie najważniejsze towarzystwa naukowe, autorytety medyczne i organizacje pacjentów zrzeszające diabetyków.

Notowała ***Anna Niczyperowicz***

eprasa.pl f739b9f58a

TYTUS BRZOZOWSKI*

Przez 12 miast

Od kiedy zdecydowałem, że chcę się zajmować malarstwem, miałem w głowie ideę, by moje prace działały na dwóch polach. Przede wszystkim były atrakcyjnymi obrazkami, na które miło jest popatrzeć, ale też – i jest to dla mnie bardzo ważne – by każdy, kto tego zapragnie, mógł odszukać w nich wartość intelektualną, zapisany przekaz.

Obrazy stworzone dla Instytutu Polonika w cyklu „12 miast" świetnie tę ideę realizują. Tu każdy obiekt coś symbolizuje, każda postać mówi o jakiejś znaczącej historii [na potrzeby tego tekstu przywołamy tylko niektóre z nich – przyp. red.].

Na obrazie **„Chicago"** odnajdziemy m.in. Copernicus Center z wierną kopią wieży zegarowej Zamku Królewskiego, ale też abakany (postawiłem je na dachu jednego z budynków). Magdalena Abakanowicz to jedna z niewielu światowej sławy polskich artystek. Ponad sto rzeźb jej autorstwa, znajdujących się w centralnym Grant Parku, robi wrażenie.

Zaraz po Chicago wyruszyłem do **Rapperswilu**. Niesamowite, jak nad tym małym szwajcarskim miasteczkiem unosi się wielki średniowieczny zamek, który jest centrum polskości. Powstało w nim (w 1870 r.) pierwsze polskie muzeum narodowe, założone przez hr. Platera w czasach zaborów i (choć z przerwami) trwa do dzisiaj. We wrześniu, właśnie do Rapperswilu, trafi wystawa „12 miast".

W **Rzymie** – to ciekawostka w stylu Copernicus Center – znajdziemy rzeźby Igora Mitoraja na wrotach bazyliki Matki Bożej Anielskiej. Jeden z przedstawionych tam aniołów jest identyczny jak ten, którego zobaczyć możemy na wrotach kościoła Jezuitów w Warszawie.

Uniwersytet w **Padwie** wykształcił ponad 1,6 tys. polskich medyków. W historycznych salach uczelni są wymalowane herby polskiej szlachty, która tam studiowała i fundowała też pracę uniwersytetu.

Petersburg potwierdził moją refleksję, że miasta mają swoje kolory. Poszerzyłem tu paletę o barwy modre i kobalty. Ze śladów polskości postawiłbym na most Błagowieszczeński zaprojektowany przez Stanisława Kierbedzia. W Warszawie też mieliśmy projekt jego autorstwa. Dziś w jego miejscu stoi most Śląsko-Dąbrowski.

Jeśli chodzi o **Wilno**, nie sposób zmieścić na jednym arkuszu wszystkich ważnych i niosących polskość obiektów, ale od początku w środku kompozycji miała się znaleźć się Ostra Brama. I bardzo się starałem, by Panna Święta naprawdę w niej zaświeciła.

„Petersburg"

„Drezno"

„Lwów"

„Wilno"

W **Paryżu**, na jednym z mostów, które namalowałem, znajduje się rzeźba św. Genowefy. Zaprojektował ją Paul Landowski, syn powstańca styczniowego, także autor znanego na całym świecie olbrzymiego pomnika Chrystusa Odkupiciela w Rio de Janeiro.

W **Wiedniu** jest sporo zabawnych historyjek związanych z naszym militarnym sukcesem. Jedną z nich jest opowieść o polskim szpiegu Jerzym Kulczyckim, który wykorzystując zdobyczne na Turkach worki z nieznanym większości ówczesnych Europejczyków ziarnem, założył pierwszą w Wiedniu kawiarnię i zbił fortunę.

W **Tbilisi** zaskoczyła mnie intensywna działalność polskich architektów w XIX i w początkach XX w. Tacy twórcy jak Hryniewiecki, Szymkiewicz, Rogojski czy Kryczyński stworzyli tu gmachy m.in. Państwowego Teatru Akademickiego, stacji kolejki szynowej, konserwatorium czy Muzeum Jedwabnictwa.

Polski **Londyn** pełen jest odniesień do waleczności naszych lotników w Bitwie o Anglię, stąd m.in. pomnik polskich sił powietrznych w Northolt.

Bogactwo architektoniczne **Lwowa** obezwładnia. Na obrazie miasta – które ma tak istotne znaczenie w naszej kulturze i przeżyciach XX w., i tak jest dla Polaków cenne – ważne miejsca „zawiesiłem" w chmurach, bo są one dla nas po części marzeniem, wspomnieniem i trochę też marą senną.

Drezno dla kogoś, jak ja, skupionego na malowaniu Warszawy było szczególnie ważne. To miasto malował Bernardo Bellotto, czyli nasz Canaletto przed przybyciem do Polski i wykonaniem swoich słynnych warszawskich wedut (obrazów przedstawiających krajobraz miejski).

W cyklu „12 miast" powstało 13 obrazów. Ostatnim jest kolaż. Przy jego kompozycji zainspirowałem się pomysłem Franka Lloyda Wrighta, który zaprojektował Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku. Ekspozycję oglądamy, wspinając się po długiej spiralnej pochylni.

Jolanta Gajda-Zadworna

Obszerniejsze omówienie prac z cyklu „12 miast" na stronie internetowej autora pod adresem: 12 miast – Google Arts & Culture oraz na wystawie w warszawskim Muzeum im. Bolesława Biegasa

**Architekt, malarz, twórca cyklu „12 miast"*

Fot. Instytut Polonika

eprasa.pl f739b9f58a

SŁODKO-SŁONY

Czosnek na inaugurację

ANNA MONICKA

Kiedy faraon Cheops rozkazał budowanie swojej piramidy na płaskowyżu w Gizie, nie wiedział, że stanie się ona jednym z siedmiu cudów świata. Wznosiło ją z mozołem, poświęcając życie 100 tys. ludzi – tyle pracowało w jednej ekipie. „Zmiany" nie wytrzymywały długo, co trzy miesiące do dźwigania i przesuwania wielkich kamieni trzeba było najmować kolejną. Cheops nie wiedział też, że przejdzie do historii z jeszcze jednego powodu – otóż na budowie doszło do pierwszego strajku okupacyjnego w dziejach ludzkości. Poszło o... czosnek.

Ratował przemęczonych robotników, którzy na rozkaz faraona dostawali codziennie porcję tego specjału sprowadzanego z Nubii. Gdyby nie on, ekipy harujące przy piramidzie trzeba byłoby wymieniać znacznie częściej. Kiedy więc statek z czosnkiem gdzieś po drodze utknął i nie pojawił się w porcie, budowlańcy, głównie niewolnicy, byli tak zdeterminowani, że powiedzieli „dość" i przerwali pracę. Na ścianie grobowca jest ponoć inskrypcja, która potwierdza to wydarzenie. A więc ludzie – i bogaci, i biedni – dobrze znali moc tej rośliny, traktowanej zresztą w tamtych czasach jako środek płatniczy.

Wiem, pisałam o czosnku. I białym, i czarnym. Że zdrowy (obniża ciśnienie, cholesterol, zwalcza wszelkie zarazki, oczyszcza krew, wzmacnia organizm – lista zasług jest znacznie większa), że trzeba go jeść jak najwięcej i nie przejmować się paskudnym zapachem, który zresztą nie każdego odstręcza (ja tam lubię), poza tym da się go zneutralizować. Natką pietruszki na przykład. Ale gdy dziś rano zajrzałam do mojego ulubionego Pana Warzywka i zobaczyłam świeżutkie, soczyste i piękne główki, nie potrafiłam się powstrzymać przed hurtowymi zakupami.

Pierwszy raz w historii mojej przygody kulinarnej zamiast ogórków małosolnych, które zazwyczaj inaugurowały sezon, na parapecie dumnie ustawiłam słój z czosnkiem. Wygląda jak malowanie – oskubane całe główki, niektóre przypominające białe róże z lekko zaróżowionymi na końcach płatkami, ułożone na koprze, doprawione chrzanem, listkami laurowymi i zielem angielskim, okraszone kulkami kolorowego pieprzu i zalane przestudzoną solanką (łyżka soli kłodawskiej na litr wody). Ogórki przy takiej pogodzie będą dobre za dwa–trzy dni, on będzie potrzebował więcej czasu, ale warto poczekać. Dodajemy go do wszelkich sałatek, pieczemy z mięsem albo sam, a potem zajadamy pyszny miąższ rozsmarowany na grillowanej bagietce. Wtedy już nie jest taki ostry ani nie pachnie tak mocno, a jego działanie jest wzmocnione dzięki bakteriom z kiszonki.

Fot. A. Monicka, Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Szlachetny wawrzyn

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jakie znaczenie wawrzyn czy też laur miał w starożytności, nie trzeba wyjaśniać – tak dalece słowo to, a nawet obszerny ciąg konotacji wszedł do języka i kultury. Zauważmy tylko, że wraz z podwójną nazwą nobilitującego wieńca: wawrzyn/laur, istnieje również podobna dwoistość w zakresie imion. Romański San Lorenzo to nasz św. Wawrzyniec, męczennik z III w. n.e., diakon Rzymu (pochodzący, co ciekawe, z Hiszpanii).

Jaka jednak konkretna roślina kryje się za pojęciem szlachetnego wawrzynu? Okazuje się bowiem, że wciąż, na różne sposoby – i to wcale nie w sferze językowej, lecz jak najbardziej fizycznej – mamy styczność z wawrzynem vel laurem.

Wawrzyn szlachetny *Laurus nobilis* to niewielkie, dorastające maksymalnie 10 m drzewko o kwiatach żółtawych i niedużych oraz o owocach mających postać niewielkiej czarnej kulki, który to typ owocu określany jest w botanice jako jagoda. Liście są lancetowate, kilkucentymetrowe, błyszczące i twarde. Znamy je bardzo dobrze pod postacią tzw. liści bobkowych. W tym zakresie wawrzyn przeszedł więc interesującą drogę od szlachetnego wieńca do przyprawy do rosołu (prawdę mówiąc wyróżnianie za pomocą wieńców zawsze wydawało mi się nieco sztuczne, nie uważam więc wcale takiej zmiany za degradację, wręcz przeciwnie – jako przyprawa liść bobkowy zyskał zresztą uznanie w kuchni nie tylko polskiej, lecz również tej z dalekich zakątków świata).

Wawrzyn szlachetny pochodzi z Azji Mniejszej, jednak już w starożytności jego uprawa rozpowszechniła się na cały obszar śródziemnomorski. Dziś uprawiany jest zarówno dla celów kulinarnych, na wspomniane liście bobkowe, jak i na potrzeby przemysłu perfumeryjnego, jego owoce dostarczają bowiem cennych olejków. Ma również inne zastosowanie.

Jeżeli ktoś będzie w Hiszpanii, niech zwróci uwagę na zieleń uliczną w miastach, zwłaszcza w obrębie historycznej zabudowy, na uliczkach, na których nie ma zbyt wiele miejsca. Rosnące wzdłuż tychże uliczek niewysokie drzewa, dobrze radzące sobie pomimo małych okienek, w których je posadzono, jak i temperatury, zabójczej dla wielu innych gatunków, to właśnie odporne wawrzyny szlachetne, dodające jeszcze uroku pięknym miastom i wprowadzające element przyrody do malowniczych zaułków.

eprasa.pl f739b9f58a

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Naiwność wujka Sama

www.wojciechreszczynski.pl

Doprawdy trudno się zorientować, na czym ma polegać polityka zagraniczna Ameryki pod rządami nowej administracji. Pozostawia się nas, ludzi racjonalnych i rozumnych, w sferze domysłów i mniemań, skazanych na żer wszystkowiedzących publicystów i tzw. analityków. „Wiedza, rozum są dzisiaj tak zagrożone, jak to się niegdyś rzadko zdarzało, a wraz z nimi zagrożone jest także to, co ludzkie po prostu, być może nawet samo istnienie człowieka". Tak już w 1954 r. pisał o. Józef Maria Bocheński.

Mamy być przekonani, że obecna amerykańska polityka zagraniczna po propagandowym potwierdzeniu sojuszy z krajami Europy Zachodniej i w ramach NATO dąży do ułożenia dobrych stosunków z Rosją, aby w większym stopniu skoncentrować się na zagrożeniach ze strony Chin. Te same Stany Zjednoczone, które wyposażyły Chiny w linie technologiczne, know-how i wypchały je miliardami dolarów, dziś odnajdują w Państwie Środka już nie tanią siłę roboczą powiększającą zyski amerykańskich koncernów, lecz przyszłego hegemona militarno-gospodarczego w rejonie wschodniego Pacyfiku, na którego trzeba wywierać nacisk. Mamy przyjąć do wiadomości, że dziś największym zagrożeniem dla USA są Chiny, dlatego istnieje pilna potrzeba uspokojenia relacji z Rosją, o której Joe Biden wyraził się w Genewie, jako o kraju, który „nie przestrzega jakichkolwiek praw międzynarodowych". Padła jednak zapowiedź dwustronnego dialogu strategicznego, czyli rozmów wojskowych ekspertów.

O ile w polityce i retoryce byłego prezydenta Donalda Trumpa można było odnaleźć jakieś wątki nawiązujące do naszej zachodniej czy łacińskiej cywilizacji, a więc także do chrześcijaństwa, które tę cywilizację budowało, o tyle u demokratów, na czele z byłym zastępcą Baracka Obamy, a obecnym prezydentem, utrzymuje się ideowa pustka, jakby chęć zawrócenia kijem koła historii.

A niby w imię jakich celów i racji Ameryka ma bronić swojej czołowej pozycji jako przywódca świata zachodniego? Kraj podzielił się na zwolenników i przeciwników tęczowej reformy i gender, polityczna poprawność niszczy wolność słowa, odżywa rasizm à rebours. Ciemnoskóra burmistrz Chicago np. zapowiada, że nie będzie udzielała wywiadów białym dziennikarzom. Tłumy czarnych obalają pomniki „białych rasistów", domagając się przejęcia władzy municypalnej w celu zastąpienia znienawidzonej policji.

Historia jakby zawróciła, przekroczyła ocean i po 50 latach przypomniała dawne Chiny i ich rewolucję kulturalną. Tamte Chiny z ponad miliardem ludzi, ubranych w jednakowy granatowo-szarawy uniform, skandujących myśli przewodniczącego Mao z czerwonej książeczki w rękach, jak gdyby wyeksportowały do USA. U siebie zaś przywdziały różnokolorowe zachodnie T-shirty, przyjmując europejski czy amerykański styl bycia. Dziś każdy Chińczyk i każda Chinka chcą się od siebie różnić, jakby przyjmując zachodni personalizm, choć jest to tylko pozór. Państwo Środka nie zmieniło rdzenia swojej cywilizacji. Lekko ją tylko zewnętrznie zmodyfikowało. Wciąż tak samo konsekwentnie tępione jest tam chrześcijaństwo. Komunistyczny kapitalizm pozwala się bogacić, ale państwo trzyma mocno w garści komunistyczna partia.

Dlatego, co potwierdził Joe Biden, tak ciężko się z nimi rozmawia.

Równocześnie ze strony USA nie widać śladu jakichkolwiek prób zdefiniowania niebezpiecznego rywala, za jakiego mają uchodzić Chiny. Nie ma też żadnego wyjaśnienia genezy rosyjskiego agresywnego imperializmu, a wystarczyłoby poznać, czym jest cywilizacja turańska. Sądzę, że współczesny Rosjanin i Chińczyk będą gotowi oddać życie za własny kraj. A jak zachowa się współczesny Amerykanin? No ale skoro odrzuca się własne korzenie, to trudno na bazie sztucznie wytworzonej pustki odnosić się do tych światowych centrów, które reprezentują inne cywilizacje, a więc inne wartości i imponderabilia.

Dlatego za kompletnie nietrafione wobec tych światów, a więc także wobec Rosji i Chin, uważam odwoływanie się przez przywódcę USA do hasła obrony praw człowieka. To prawne, humanistyczne pojęcie, odwołujące się do godności każdego człowieka, jest historyczną wartością wytworzoną przez świat Zachodu. Dziś jednak ten sam świat odrzuca, redukuje prawa człowieka, czego najwymowniejszym przykładem jest pozbawienie dzieci nienarodzonych prawa do życia. Chińska polityka posiadania jednego dziecka za czasów rewolucji kulturalnej przypomina dzisiejsze poglądy depopulacyjne magnata komputerowego Billa Gatesa. Chiny zezwalają już na posiadanie trojga dzieci, a za protest pod kliniką aborcyjną w Kanadzie nadal idzie się do więzienia.

Inne z praw człowieka, np. wolność słowa, tak ważne w historii Ameryki, mogliśmy poznać podczas ostatnich wyborów prezydenckich. Blokadę informacyjną Donalda Trumpa pozytywnie ocenił jego konkurent, obecny prezydent, który tak martwi się dziś o reputację Rosji, która, jego zdaniem, ucierpiała. A jak ucierpiała reputacja Stanów Zjednoczonych?

eprasa.pl f739b9f58a

Bank Pekao kolejny raz na podium

Magazyn „Global Finance" po raz dziewiąty wyróżnił Bank Pekao jako najlepszy bank powierniczy w Polsce. Aby przyznać laur Best Sub-custodian Bank in Poland, redakcja magazynu przeprowadza badania rynków, pozyskuje opinie ekspertów i podmiotów korzystających z usług powierniczych oraz gromadzi dane z banków

Działalność Banku Pekao od lat zyskuje wysokie uznanie specjalistów branżowych, rynku i mediów, co znajduje wyraz w przyznaniu wielu nagród i wyróżnień na arenie krajowej i międzynarodowej. Wśród nich najbardziej prestiżowe i świadczące o międzynarodowym uznaniu dla osiąganych wyników i prowadzonej przez bank polityki zarządzania ryzykiem są tytuły najlepszego banku w Polsce przyznane przez magazyny finansowe „The Banker", „Euromoney" i „Global Finance".

RANKINGI „GLOBAL FINANCE"

Wydawany od ponad 30 lat nowojorski magazyn „Global Finance" co roku publikuje rankingi najlepszych instytucji finansowych na całym świecie. Czekają na nie czytelnicy ze 189 krajów na wszystkich kontynentach: prezesi, dyrektorzy i menedżerowie, aby opierając się na wiarygodnym źródle lepiej podejmować decyzje strategiczne dla rozwoju swoich firm i instytucji.

„Zwycięzcami nie zawsze są największe banki, ale raczej najlepsze – te o cechach, których korporacje powinny szukać przy wyborze banku. Są to banki ze skutecznymi systemami zarządzania ryzykiem, wysokiej jakości usługami i najlepszymi praktykami zarządzania" – uzasadnia swój wybór redakcja „Global Finance".

Spełniając w najwyższym stopniu te kryteria, Bank Pekao od niemal dekady jest liderem rankingów.

– Jesteśmy regularnie uznawani za najlepszy bank powierniczy w kraju. Naszą ambicją jest utrzymanie tej pozycji. Nagrodę „Global Finance" traktujemy jako wyraz uznania naszych działań na lokalnym i międzynarodowym rynku, ale także jako zachętę do dalszej pracy. Nadal będziemy zapewniać klientom najwyższej jakości obsługę i szeroką ofertę usług powierniczych – mówi Jerzy Kwieciński, wiceprezes Pekao, nadzorujący Pion Bankowości Korporacyjnej, Rynków i Bankowości Inwestycyjnej.

W tym roku „Global Finance" wybrał Bank Pekao także: The Best Trade Finance Provider in Poland i The Best Investment Bank.

BANK PEKAO Z USŁUGAMI POWIERNICZYMI

Usługi powiernicze w Banku Pekao obejmują m.in.: prowadzenie rachunków i rozliczanie transakcji na krajowych i zagranicznych papierach wartościowych, obsługę zdarzeń korporacyjnych (wypłaty dywidend, odsetek, realizację praw poboru). Powiernictwo to też udział w imieniu klientów w walnych zgromadzeniach czy wsparcie w odzyskiwaniu nadpłaconego podatku od dywidend i odsetek, zgodnie z umowami o unikaniu podwójnego opodatkowania.

Bank Pekao jest czołowym bankiem pod względem wartości przechowywanych aktywów oraz największym agentem rozliczeniowym dla zagranicznych firm inwestycyjnych działających na GPW.

DOCENIANY BANK

Jeszcze nie jesteśmy na półmetku 2021 r., a Bank Pekao uzbierał pokaźną kolekcję nagród i wyróżnień w wielu odsłonach swojej działalności. Rok rozpoczął certyfikatem Top Employers, po raz jedenasty z rzędu znajdując się w gronie najlepszych pracodawców w Polsce. Drugi raz z rzędu zakwalifikował się do indeksu Bloomberg Gender-Equality Index, w którym znajdują się duże spółki giełdowe aktywnie zabiegające o równość płci w środowisku pracy. Do kolekcji banku trafił brązowy medal Stevie Awards for Sales & Customer Service za obsługę i wsparcie procesu otwierania konta na selfie dla małych firm w kategorii Najlepsze wykorzystanie technologii w sprzedaży. Zyskała uznanie bankowość prywatna Pekao, otrzymując 5 gwiazdek „Forbes" i tytuł Laureata oraz Złote Godło w konkursie Najwyższa Jakość Quality International 2021 w kategorii QI Product. Bank jest również liderem rankingu Instytucja Roku w kategorii Najlepszy zdalny proces otwarcia konta i konkursu Złoty Bankier 2021 za najlepsze konto osobiste. Uznanie budzi pakiet PeoPay Kids, który otrzymał specjalną nagrodę przyznaną przez jury konkursu Przedsiębiorca Roku UW i tytuł Bankowej Innowacji Miesiąca nadany przez EFMA.

Materiał powstał przy współpracy z Bankiem Pekao SA

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 71/0521/F

eprasa.pl f739b9f58a

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Wieczór i ranek

Aleksander Nalaskowski

W swoich zbiorach mam takie dwie fotografie. Na obu jest ten sam człowiek. To Tadeusz Boy-Żeleński. Na pierwszej z nich siedzi rozparty na ławce na krakowskich Plantach. Ma podkręcony „w sznurek" bardzo sumiasty wąs, okrywa go peleryna, a na nogach ma takie śmieszne, jakby zbyt duże, buty z zadartymi noskami. Obok leży cylinder. Na drugiej fotografii siedzi przy kawiarnianym stoliku we Lwowie. Jest gładko wygolony, ubrany w szary garnitur i mocno poluźniony krawat. Zupełnie jakby zdjęcie zrobiono już w XXI w. Minęło nieledwie 30 lat i człowiek znalazł się w innej epoce. Z młodopolszczyka i przybyszewszczyka stał się orędownikiem lewicowości i wyzwolenia kobiet. Ale trzy dekady to naprawdę sporo.

Nieoczekiwanie dla samego siebie, ale pewnie i niemałej części mojego pokolenia, i ja znalazłem się w zupełnie innej epoce. Stało się to jednak znacznie szybciej, rzekłbym z prędkością światła. Czuję się tak, jakbym wieczorem przed pójściem spać zdjął z siebie pelerynę, surdut i cylinder, a rano włożył dżinsy, T-shirt z jakimś nadrukiem i bejsbolówkę (koniecznie daszkiem do tyłu). Stało się to tak nagle, że dopiero teraz do mnie to dociera. A dociera prawda oczywista, że miejsca dla mnie (i sporej części mojego pokolenia) jest coraz mniej. Bo ja cały czas chcę mieć prawo do peleryny i cylindra. Z dnia na dzień granice, za którymi nie mam co szukać, obkurczają się i zapewne wkrótce zobaczę je z piętra swojego domu, potem będę je widział już bez wchodzenia na piętro, a w końcu dotrą do mojego ogrodzenia i wcale nie mam pewności, czy się na nim zatrzymają.

Dociera do mnie prawda oczywista, że miejsca dla mnie (i sporej części mojego pokolenia) jest coraz mniej

Nie ma we mnie (i sporej części...) strachu ani nawet rozgoryczenia, jest tylko niezmierzone zdumienie nad naturą ludzkiego umysłu, który dokonał zadziwiającej wolty, przeistaczając się z ciała grawitującego ku transcendencji w organ podążający w stronę płazów.

Zasypiałem, a może dałem się uśpić, w normalnym świecie, w którym szanowano wszystko, co na szacunek zasługuje, zasypiałem, odkładając na stolik nocny „Pana Tadeusza" albo „Tworzywo" Wańkowicza, a obudziłem się w świecie, w którym elokwentne media wmawiają mi, że Kazik Staszewski jest wieszczem, ba! – filozofem – i na dodatek potrafi śpiewać. Kazano mi istnieć w nadrealistycznej przestrzeni, w której Scheuring-Wielgus, Nitras, Biedroń czy jakiś inny Brejza mogą być reprezentantami narodu (z woli tego narodu!). Wieczorem obejrzałem film o Pileckim, a rano dowiedziałem się, że ci, którzy donoszą na Polskę, to prawdziwi patrioci, a nie zwykli kolaboranci. Zaraz potem przeczytałem w sieci, że wpis profesora polonistyki pod plakatem przedstawiającym czytającą dziewczynę (cytuję: „pannica wygląda korzystnie") media okrzyknęły skandalem seksualnym na uczelni.

Zasypiałem, wspominając ratujących ludzkie życie Kolbego czy Frelichowskiego, a z porannej prasy dowiedziałem się, że jestem mniej ważny od zwierzęcia, drzew i motyli. Przed snem przycinałem brodę i wąsy, a rano na mojej półce w łazience stała pomadka do ust, cienie do powiek i tusz do rzęs. Przed snem pocałowałem małżonkę w rękę, a rano w tramwaju zostałem wyzwany od seksistów, bo ustąpiłem miejsca ciężarnemu osobnikowi z macicą.

Przed snem rozpamiętywałem swoje sprawy, nasze sprawy rodzinne, a z porannych rozmów w radiu usłyszałem nakaz, że mam myśleć kolektywnie kategoriami dobra Unii Europejskiej, której prawo już na zawsze będzie ważniejsze niż nasza konstytucja.

Jeszcze przed kolacją zadzwoniłem do pani dyrektor, potem do pani dziekan, ale nazajutrz usłyszałem, że nie mam mówić jeden, dwa, trzy, lecz jedynka, dwójka, trójka. I w ogóle gdzie się da używać feminatywów.

Wieczorem słuchałem Norwidowskiego „Bema pamięci żałobnego rapsodu" w wykonaniu Niemena, a nazajutrz słuchałem rapsodu Frasyniuka nad trumną Lityńskiego.

A wszystko stało się tak nagle, że nie wiem, w imię czego i za sprawą czyich decyzji profesorowie, publicyści, politycy wmawiają mi, że to, co cytuje się za pomocą ośmiu, pięciu czy dziesięciu gwiazdek, to nie objaw degrengolady i spławienia, lecz słuszny głos ludu, signum temporis i prawdziwa poezja? Na mocy jakiego prawa unieważniono logikę, etykę i cały wykaz słów, które znaczą już coś innego?

Tak naprawdę to przyczyny tego stanu rzeczy przestały już mnie interesować. Pozostaje mi tylko jedno pytanie – jak długo moje życie będzie tylko moje, chociażby do płotu? Czy zdążę odejść, zanim każą mi przepraszać, że żyję, że jestem białym, heteroseksualnym mężczyzną i katolikiem?

eprasa.pl f739b9f58a

Prelegenci wystąpili w specjalnie zaaranżowanym studiu, a ich prezentacje mogli śledzić online wszyscy pracownicy spółek grupy PGNiG

Odkryć w sobie innowatora

Ciągłe poszukiwanie nowatorskich rozwiązań stało się koniecznością w dynamicznie zmieniającym się świecie. Dla przedsiębiorstw takich jak PGNiG innowacyjność jest jednym z naturalnych kierunków rozwoju. Jej stały wzrost znajduje się wśród kluczowych wyzwań sektora energetycznego w najbliższej dekadzie. Konkurencyjność tej gałęzi przemysłu, wymagania regulacyjne, potrzeby klientów, a także trendy rynkowe determinują przyszłość gospodarczą Polski

PGNiG zorganizowało dla swoich pracowników specjalną konferencję online, w której eksperci dzielili się wiedzą i doświadczeniem na temat innowacji w polskiej energetyce na tle aktualnych megatrendów w światowej gospodarce, społeczeństwie i technologii.

– Warunkiem rozwoju jest innowacyjność, która zmusza nas do nieustannego poszukiwania sposobów pozwalających pokonać własne ograniczenia, rutynę i utarte schematy. Innowacje są zatem kluczem do wzrostu – powiedział Paweł Majewski, prezes zarządu PGNiG, zwracając się do uczestników. – Nasze innowacyjne podejście potwierdzają prowadzone przez nas programy – wodorowy, program cyfryzacji, zwłaszcza wykorzystanie chmury do prac związanych z poszukiwaniem i wydobyciem, program zwiększania efektywności energetycznej, a także projekty realizowane ze start-upami – dodał. Podkreślił także, że wpisują się one w obrany przez polski rząd model transformacji energetycznej kraju.

Pracownicy PGNiG zgłosili już kilkanaście projektów związanych z poprawą efektywności energetycznej, z których kilka jest w trakcie wdrażania. Pierwsze rezultaty pokazują, że inicjatywy pracownicze mogą być źródłem inspiracji dla nowych technologii i przewagi konkurencyjnej.

– Efektywność energetyczna pozwala na skokową redukcję zapotrzebowania na energię – mówił podczas swojej prezentacji Marcin Popkiewicz, analityk megatrendów i dziennikarz zajmujący się tematyką energii i klimatu. Podał przykład budynku szkoły, która może potrzebować średnio 520 kWh energii na metr kwadratowy rocznie, a po modernizacji pod względem energetycznym tylko 40 kWh.

Innowacje zmieniają świat, a naszą branżę i jej otoczenie czynią lepszą, łatwiejszą i wygodniejszą. Technologia to ważny element rozwoju rynku i każdej organizacji. W Grupie Kapitałowej PGNiG nieustannie się rozwijamy, idziemy zgodnie z postępem, a naszych pracowników inspirujemy do poszukiwania niestandardowych rozwiązań. Konferencja „Innowatorzy" była pierwszym tego typu wydarzeniem w naszej organizacji, przygotowanym z myślą o naszych pracownikach, przeprowadzonym w wygodnej formule online. Innowacyjność to droga do nowej, lepszej jakości, relacji, sposobów działania. Dlatego tak ważne jest, abyśmy codziennie poszukiwali nieszablonowych rozwiązań i wzajemnie inspirowali się do zmian.

***Arkadiusz Sekściński**, wiceprezes zarządu PGNiG SA ds. rozwoju*

Maria Parysz, ekspertka z zakresu sztucznej inteligencji, przypomniała, że innowacje prowadzą do konkretnych zysków biznesowych. Kapitalizacja pięciu największych firm amerykańskiego indeksu giełdowego S&P 500 (Apple, Amazon, Google, Microsoft i Facebook) jest równa 282 pozostałym firmom z tej listy. Z kolei Seweryn Tlałka, główny technolog z Geofizyki Toruń – firmy z Grupy PGNiG – zaprezentował innowacyjny system IMAS do zbierania danych sejsmicznych. Zastosowanie rozwiązań bezprzewodowych pozwoliło spółce na rezygnację z ciężkiego i niewygodnego sprzętu.

Z odbywających się w trakcie konferencji prezentacji i dyskusji płynęła konkluzja, że każdy może się włączyć w tworzenie innowacyjnych rozwiązań, z których wiele nakierowanych jest również na poprawę komfortu i bezpieczeństwa pracy. To korzyść dla wszystkich – pracowników i pracodawcy. Firma angażująca kadrę w działania proinnowacyjne na wielu poziomach jest ponadto wysoko oceniana przez potencjalnych kandydatów do zatrudnienia.

Patronat nad wydarzeniem objęło Ministerstwo Aktywów Państwowych.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 57/0621/F

eprasa.pl f739b9f58a

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

TRENDY I OWĘDY

Apoteoza głupoty

Ryszard Makowski

Jesteśmy świadkami i uczestnikami tworzenia światowej przestrzeni, gdzie mądrość nie jest żadną wartością.

Znana jest maksyma: „Nie rozmawiaj z głupcem, ściągnie cię do swojego poziomu i pokona doświadczeniem”. Ostatnio sieć obiegła sentencja: „Mam wrażenie, że już niedługo tolerancja dojdzie do takiego momentu, w którym mądrym ludziom zabronią myśleć, aby nie urazić uczuć ludzi głupich” (Noam Chomsky). Chyba już doszła. Mamy wręcz terror w imię tolerancji.

Środowisko LGBTQ i coś tam jeszcze nie dość, że okazało się największym osiągnięciem ewolucji, to jest to grupa agresywna i nieznosząca żadnych krzywych spojrzeń. Tych hetero trzeba tępić, a gej to brzmi dumnie i basta. Podobnie z Black Lives Matter. Nagle się okazało, że będąc białasem, jest się czemuś winnym, co więcej – kimś gorszym. Przed meczami Premier League piłkarze klękali w geście skruchy i przeprosin. W drużynach angielskich gra wielu czarnoskórych piłkarzy, świetnie opłacanych i cieszących się popularnością. W NBA Murzyni stanowią znamienitą większość, więc czy jest faktycznym problemem ucisk z powodów rasowych? Wykorzystano nieszczęśliwy wypadek podczas interwencji policji w USA, by sformatować rzeczywistość. Za to sekowanie księży i katolików jest bardzo trendy.

Kształtowany jest człowiek globalny o narzuconym jednolitym systemie wartości. Technologia cenzurą wspiera zniewolenie ideologiczne. Każdy wirtualny okrzyk: „Król jest nagi”, wyszydzi chór głupców. Zamiast dążyć do mądrości, trzeba być skoncentrowanym, żeby nie dać się ogłupić.

eprasa.pl f739b9f58a

Michał Korsun prezentuje:
Marzenia opozycji po dojściu do władzy

Wycinki z przeszłości

To zdjęcie zamieścił jeden z polskich tygodników kolorowych wiosną 1939 r. Przedstawia podobno najnowszy krzyk mody amerykańskiej. „Elegantki tamtejsze noszą obecnie rękawiczki z otworami, przez które widać kolorowo lakierowane paznokcie" – czytamy.

Jak dziś wiemy, nowinka się nie przyjęła, ale kto wie – może to dopiero przed nami. W tym zwariowanym świecie wszystko jest możliwe.

(mk)

Leszek Długosz

Przypowieść z piwoniami

Na świecie – bliżej
Sandomierza
W stronę Lublina
Jest ogródek
W nim zagłębienie w ziemi
Gdzie niegdyś stała
ogrodowa ławka
Obok – krzak piwonii
(sadziła je Matka)
„Pachnące szalone różowe"
Urojenie z dzieciństwa:
Takie musiały być
w dawnych czasach
Burgundzkie księżniczki?

Nie ma tamtego świata
I naturalnie –
Nie myślę o burgundzkich
księżniczkach
– Ale dom, ścieżka?
– Na ścieżce postać
z konewką?
To widzę...
– I widzę, w jakiej
to rozsypce

Z wszystkiego,
co z ogródkiem żyło
Dziś Ona jedna
– piwonia tamta
(I ani chybił w dzień
Bożego Ciała)
W czerwcowym skwarze
Dalej kwitnie...

– To na pamiątkę Matki,
pomyślałem
Potem myśl dalsza przyszła:
Gdy zniknę
Nikt się nie dowie
– O czym pamiętając
Pewna piwonia
Na świecie kwitła

Mała to strata dla świata
Lecz z piwoniami
ta przypowieść
Raz jeszcze ten dowodzi
– Jak długo, z jakim trudem
Odkleja się od świata
człowiek...
Zanim w kosmicznym
nie zniknie zsypie
Cały
I ten na świecie jego świat
mały
– Ogródek
– Ślad po ławce
– W czerwcu piwonii
oddech znajomy...

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl f739b9f58a

OD A DO ZYBERTOWICZA

Heraklit, Kołakowski i Mentzel

„Kołakowski. Czytanie świata. Biografia" – tak brzmi tytuł książki opublikowanej przez krakowskie wydawnictwo Znak. Szybki przegląd internetu ukazuje, że ta napisana przez Zbigniewa Mentzla znakomita biografia intelektualna nieżyjącego już filozofa Leszka Kołakowskiego (1927–2009), opublikowana w październiku roku 2020, nie spotkała się dotąd z poważną recenzją czy debatą, godną zarówno wysiłku biografa, jak i dorobku filozofa. Może trzeba poczekać...

W krótkim felietonie nie sposób biografii tej oddać sprawiedliwości. Pozwolę sobie jednak na przygarść uwag zainspirowanych mottem, którym Mentzel dzieło swe opatrzył.

MYŚLICIEL Z EFEZU

„Czuwający mają jeden świat wspólny, we śnie tylko zwraca się każdy do swego własnego".

Z punktu widzenia współczesnych badań nad mózgiem należy to spostrzeżenie starożytnego myśliciela może nie tyle podważyć, ile – z pewnym smutkiem (o smutku jeszcze tu będzie) – uściślić, doprecyzować.

Intencję tej myśli Heraklita i intencję biografa Kołakowskiego odczytuję, jak sądzę, typowo, następująco. Każdy z nas żyje w dwóch światach – w świecie percepcji zewnętrznej (zwanej czasem ekstraspekcją) oraz wewnętrznej (zwanej introspekcją). To, co dzieje się w snach, należy do introspekcji; jest tylko nasze, prywatne, często intymne, wstydliwe. W każdym razie jest głęboko zindywidualizowane. Inaczej ma być ze światem zewnętrznym, w którym wszyscy żyjemy – ze światem przyrody i ze światem społecznym. On ma być wspólny i zarazem (często tak się przyjmuje) obiektywny. Rzeki, góry, miasta, budynki, pola, parki – czyż wszyscy nie widzimy bowiem ich tak samo, czy nie widzimy ich prawdziwej, uniwersalnej postaci? I czyż podobnie, choć może z pewnymi korektami, nie

Umożliwione przez rewolucję cyfrową wglądy w pracę ludzkiego mózgu pokazują, że nawet rzeczy – zdawałoby się – elementarne odbieramy w sposób nader zróżnicowany

jest tak w przypadku ludzi? Czyż nie widzimy tak samo, że ciocia Henia jest dość przysadzista i zarazem bardzo przyjazna, wuj Zenon zaś żylasty i złośliwy? Otóż – nie bardzo tak samo to widzimy.

RÓŻNE ŚWIATY

Umożliwione przez rewolucję cyfrową wglądy w pracę ludzkiego mózgu, w tym w to, jak postrzegamy i utrwalamy wrażenia zmysłowe, pokazują, że nawet rzeczy – zdawałoby się – elementarne odbieramy w sposób nader zróżnicowany. Że nasze geny (plus wczesne fazy naszego wychowania) powodują, że mamy niekiedy istotnie odmienne wrażliwości na bodźce płynące ze świata „wspólnego". Że inaczej selekcjonujemy i utrwalamy bodźce, które do nas – czuwających – docierają. Że jedni z nas widzą w świecie wzorce zupełnie niedostrzegalne dla innych. Co więcej, jak wskazują poważne badania, także to, że ktoś bardziej skłania się do ideologii konserwatywnej, a ktoś inny do liberalnej, ma swe podłoże w zróżnicowanej strukturze naszych mózgów.

JEST SMUTNY

Mentzel pisze, że świat Kołakowskiemu jawił się jako smutny. I że wywarło to poważny wpływ na jego filozofowanie. Ale nie dla wszystkich z nas świat jest taki. W świetle badań nad mózgiem należy powiedzieć, że „smutność" świata nie jest jego własną, wewnętrzną cechą. Jest raczej wnioskiem czy wrażeniem formowanym na podstawie czyichś – uwarunkowanych przez specyfikę jego mózgu – predyspozycji poznawczych. Jest raczej subiektywną oceną świata niż zimną informacją o jego faktycznej kondycji. Zatem to „świat" mózgowy (tudzież społeczny – kultura!) określa to, co powiemy o świecie zewnętrznym, nam wspólnym.

WYRWA

Rewolucja cyfrowa, uzależniając młode pokolenie od niekończącego się strumienia ekranikowych bodźców, wyrwała młodych spod odwiecznego mechanizmu tzw. transmisji kulturowej, czyli przekazywania wartości przez pokolenie dziadków i rodziców. Na naszych oczach poszerzana jest brutalna wyrwa w łańcuchu pokoleń.

Czy w epoce zrywającej ciągłość kulturową sztuka poważnej biografistyki będzie w stanie przetrwać gdziekolwiek indziej niż w jakimś rezerwacie? Trwa głęboka – choć, paradoksalnie, wszelkie bodaj myślenie ludzkie spłycająca – rewolucja cyfrowa. Czy pozwoli ona dorobkowi nie tylko Kołakowskiego, lecz i filozofów, których on sam uznałby za większych od siebie, zachować żywotność? Można racjonalnie argumentować, że nie. Cieszy to kogoś?

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 21/0521/F

eprasa.pl f739b9f58a

Forum wGospodarce.pl

Zapraszamy do śledzenia relacji i wniosków
z dorocznego cyklu debat o wyzwaniach gospodarczych
z udziałem ekspertów i liderów administracji oraz biznesu

III edycja projektu Grupy Medialnej Fratria poświęcona jest temu

– JAK STWORZYĆ ODPOWIEDNIE WARUNKI DO BUDOWY NOWEGO ŁADU SPOŁECZNO-GOSPODARCZEGO I OSIĄGNĄĆ ROZWOJOWY SUKCES

PATRONAT HONOROWY:

Ministerstwo Finansów
Ministerstwo Klimatu i Środowiska
Ministerstwo Rozwoju, Pracy i Technologii
Ministerstwo Zdrowia
Patronat Honorowy Ministra Zdrowia
govtech Polska

PARTNERZY GŁÓWNI:

allegro
BAT POLAND
Dr. Schumacher Sp. z o.o.
PHILIP MORRIS POLSKA
VEOLIA

PARTNERZY WSPIERAJĄCY:

Abbott
abbvie
AstraZeneca
Deloitte.
emitel
JTI
LIDL
Microsoft
SERVIER
VELUX

Więcej informacji na **www.wGospodarce.pl/sektory/forum-wgospodarce**

GAZETA BANKOWA
SIECI
wPolityce.pl
W POLSCE PL
wGospodarce.pl

eprasa.pl f739b9f58a

TOTALIZATOR SPORTOWY
NAJWIĘKSZY MECENAS SPORTU I KULTURY
ROZDALIŚMY
1 000 000 FLAG
BY Z DUMĄ
KIBICOWAĆ NASZYM!
TOTALIZATOR SPORTOWY
65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO
#WielkieChwile